

ŚWIĘTY BENEZET, STEPHENSON I EIFFEL.

S-ty Benezet, Stephenson i Eiffel uosabiają trzy charakterystyczne epoki w dziejach budowy mostów, znacząc pracami swemi punkty wytyczne rozwoju téj najstarszéj gałęzi sztuki inżynierskiéj. Początki jéj sięgają czasów przedhistorycznych i bez przesady rzec można, że pierwsze mosty stawiali chyba pierwsi ludzie, bo nie mogli ani żyć zdala od rzek lub strumieni, ani téż uniknąć potrzeby przechodzenia z jednego brzegu na drugi. Jak dotąd jeszcze dzikie plemiona z lin i kawałków drzewa wiążą chwiejne kładki, zawieszając je na sterczących wśród rzek odłamach skał, tak i w pomroce dziejów powstały zapewne pierwsze mosty. Późniejszemi już były mosty drewniane, zrazu na wązkich strumykach przerzucane bez podpór pośrednich, z jednego brzegu na drugi, potém na rzekach stawiane na palach, — a przedhistoryczne mieszkania nawodne dowodzą nabytéj praktyki w stosowaniu drzewa do robót wodnych. Historya wprawdzie dochowała pamięć mostów: na ramieniu Nilu, zbudowanego przez jednego z najpierwszych królów egipskich, Menesa,—na Eufracie wzniesionego z rozkazu Semiramidy,—na Dunaju i na Hellesponcie ustawionych ze statków przez Daryusza i Kserksesa,—ale dopiéro o pierwszych mostach rzymskich doszły nas pewniejsze wiadomości.

W Rzymie, u stóp Awentynu, stanął pierwszy most drewniany na palach, za panowania Ankusa Marcyusza, około 630 r. przed Chr. Dyonizy z Halikarnasu utrzymuje, że most ten, zwany mostem Sublicyusza, zbudowali swym kosztem pierwsi kapłani rzymscy, by ułatwić składanie ofiar bogom po obu brzegach Tybru i dlatego nazywano ich *pontifices*, a nazwa arcykapłana *pontifex maximus* przeszła w następ-

stwie na papieży. Mostu Sublicyusza bronił Kokles przed napadem Etrusków, wstrzymując ich dopóki most nie został zburzony, a Pliniusz podaje, że most odbudowano potém bez żelastw i gwoździ, by łatwiéj mógł być rozbierany w razie potrzeby. Żelazo więc było już wtedy używane, jako materyał pomocniczy. Za czasów Cezara sztuka budowy mostów drewnianych tak już była rozwinięta, że most tymczasowy na Renie, 600 metrów długi, zbudowany został podczas pochodu wojennego w ciągu dni dziesięciu. Apollodor z Damaszku, za czasów Trajana, zaprojektował i zbudował na Dunaju wielki most drewniany, na filarach murowanych, ale cesarz Adryan polecił go zburzyć. Rysunki tych trzech mostów, jakkolwiek niedokładne, odtworzone zostały według płaskorzeźb i opisów.

Najdawniejsze zabytki sklepień rzymskich pozostały w kanałach, zbudowanych za Tarkwiniusza Starego (na 600 lat przed Chr.), z których największy do dziś istniejący (*Cloaca maxima*) ma sześć metrów otworu. Być może, że już wtedy budowali Rzymianie mosty kamienne sklepione, — te wszakże, które się dotąd zachowały w Rzymie, stanęły dopiéro w drugim wieku przed Chrystusem. Szczątki najdawniejszego z nich, mostu Senatorów, zbudowanego około 181 r. przed Chr., znane dziś pod nazwą Ponte Rotto, świadczą o rozwiniętéj już umiejętności w budowie mostów sklepionych. Po za miastem, w górze rzeki, stoi most Milwiusza, zbudowany na 109 lat przed naszą erą, a zwany dziś Ponte Molle. Wreszcie na lewém ramieniu Tybru, przy wyspie, dochował się most Fabrycyusza (*dei quattro Capi*), zbudowany około 62 r. przed Chr., a złożony z dwóch okazałych arkad, mających każda 24½ metra otworu. Inne zabytki z czasów rzymskich datują się już z późniejszych epok Augusta lub Adryana, wiele z nich dochowało się we Włoszech i Hiszpanii, do najwspanialszych należy akwedukt na rzece Gard w południowéj Francyi.

Po upadku państwa rzymskiego, w czasie wędrówki ludów, mosty pobudowane na drogach wojskowych rzymskich, zostały zniszczone i Europa pod względem komunikacyi powróciła do pierwotnego prawie stanu. Na wschodzie, cesarze byzantyjscy mniéj się zajmowali robotami publicznemi i w dziale mostów przytoczyć można tylko zbudowane za Justyniana: akwedukt w dolinie Burgas w pobliżu Konstantynopola i most na rzece Sangarius pod Brussą w Turcyi azyatyckiéj. W wiekach średnich przez rzeki przeprawiano się na łodziach lub promach, a punkty przepraw były uprzywilejowanemi miejscami rozbojów i grabieży. Przewoźnicy tworzyli stowarzyszenia zbójeckie,

bezkarnie obdziérające podróżnych. Daremnie Karol Wielki usiłował położyć tamę rozbojom, zachęcając do budowy schronień dla podróżnych w przesmykach Alp. Jego *missi dominici* mieli polecenie naradzania się w każdém mieście z biskupem i hrabią w kwestyi naprawy i utrzymania mostów. Z tych téż czasów zapewne pochodzi najstarszy most francuski w Espalion na rzece Lot. Ale ze śmiercią wielkiego monarchy wróciły znów dawne nieporządki i tylko gdzieniegdzie budowano jeszcze większe mosty, jak Kösen przy Neuenburgu (982), Fulda (1033), Albi we Francyi (1035) i inne. Dopiéro w XII-ém stuleciu rozpoczynają swą działalność różne bractwa zakonne, zajmujące się specyalnie budową schronień dla podróżnych nad brzegami rzek, promów i mostów. Zakonników, którzy oddawali się przeważnie budowie mostów, nazwano we Francyi braćmi mostowymi, *frères pontifes*, a jeden z pierwszych, Ś-ty Benezet rozpoczyna w téj gałęzi sztuki inżynierskiéj epokę odrodzenia mostów kamiennych.

Zgromadzenie braci mostowych w Avignonie zasłynęło budową mostu na Rodanie, złożonego z 21 arkad, a mającego 420 m. długości. Ś-ty Benezet, który według legend miał być pasterzem w swéj młodości, sporządził projekt tego mostu i rozpoczął roboty. Arkady miały po 33 m. otworu każda i były nie półkoliste, ale łukowe lekko spłaszczone. Strzałka, to jest wzniesienie klucza sklepienia nad podstawami, innemi słowy wysokość wnętrza samego sklepienia bez podpór, wynosząca przy sklepieniu półkolistém połowę otworu, była tu trochę mniejszą. Sklepienia zaprojektował śmiało Ś-ty Benezet: grubość w kluczu wynosiła zaledwie 87 centymetrów. Śmierć głównego kierownika w r. 1184 nie przerwała budowy. Wyrobieni przy nim pomocnicy ukończyli i otwarli most w cztery lata po zgonie Ś-go Benezeta, otrzymawszy, w uznaniu zasług położonych, konfirmacyą papieską dla zgromadzenia braci mostowych w Avignonie. Członkowie tego bractwa nosili na białym habicie wyszyte wyobrażenie mostu i krzyż—i ślubowali bronić podróżnych, budować i utrzymywać mosty, promy i schronienia na brzegach rzek. Według legend, Ś-ty Benezet pochowany został w kapliczce, wzniesionéj na jednym z filarów mostu, kilkakrotnie późniéj zrywanego i z którego pozostały tylko cztery arkady od strony Avignonu.

Przykład Ś-go Benezeta i braci mostowych z Avignonu znalazł naśladowców we Francyi i w innych krajach, a w następnych stuleciach zakonnicy i biskupi, już to sami, już przy współudziale budowniczych, zajmowali się budową mostów. Jako jeden z najpiękniejszych zabytków z tych czasów we Francyi, wymienić należy most w Cahors, złożony z sześciu arkad ostrołukowych, o otworach około

16½ m., z wysokiemi wieżami na filarach. Powoli, stopniowo, mosty sklepione stawiane są we wszystkich większych miastach Europy. We Włoszech w pomoc zakonnikom przyszli artyści, uprawiający nieraz w owych czasach, podobnie jak późniéj Leonard Vinci i Michał Anioł, budownictwo i inżynieryą, obok malarstwa i rzeźby. Malarz Taddeo Gaddi zbudował w wieku XIV-ym Ponte Vecchio we Florencyi, a z tych czasów także pochodzą szczątki największéj do dziś arkady mostowéj, zbudowanéj na rzece Adda, pod zamkiem Trezzo, przez Barnabę Visconti. Arkada mostu Trezzo miała 72¼ metra otworu, a 20 m. strzałki.

W początku XVI-go wieku zasłynął budową Ponte Corvo na rzece Metza we Włoszech brat mostowy, Giocondo, z Werony. Sprowadzony do Francyi przez Ludwika XII, zaprojektował i zbudował most Notre Dame w Paryżu, w ostatnich czasach dopiéro zastąpiony nowym. Z epoki odrodzenia pozostały we Włoszech mosty kamienne, słynne i dziś jako wzory tego rodzaju budowli. Stawiali je prawie równocześnie budowniczowie: Bartłomiéj Ammanati i Da Ponte. Most Ś-téj Trójcy we Florencyi elegancyą swych silnie już spłaszczonych arkad, z których środkowa ma 29 m. otworu, a nie całe 5 m. strzałki, zepewnił Ammanaticmu pierwszorzędne stanowisko w dziejach téj gałęzi sztuki inżynierskiéj. Mniéj wdzięku, a więcéj potęgi i charakteru przedstawia most Rialto w Wenecyi, zbudowany także w końcu XVI-go stulecia. Projekt tego mostu był przedmiotem konkursu między budowniczymi: Da Ponte i Scamozzim. Pierwszy odniósł zwycięstwo i pokonawszy liczne trudności budowy, ukończył ją w roku 1587-ym.

Ostatni brat mostowy pojawia się we Francyi w XVII-ém stuleciu, uświetnioném z samego początku ukończeniem budowy do dziś stojącego wspaniałego Pont Neuf w Paryżu, dzieła budowniczych Du Cerceau i Marchand, a następnie mostami słynnego inżyniera wojskowego Vaubana. Brat Romain z Gandawy, odznaczywszy się w Holandyi budową mostu w Maestricht, wezwany zostaje przez Ludwika XIV-go do Paryża, gdzie wznosi do dziś stojący wprost ogrodu tuilleryjskiego Pont Royal. Po ukończeniu téj budowy w r. 1685-ym, otrzymał Romain od króla urzędowy tytuł inżyniera dróg i mostów, i powierzono mu inspekcyą komunikacyi. Związaną została tym sposobem w jego osobie pięciowiekowa działalność braci mostowych, z pracami wtedy właśnie biorących swój początek dzisiejszych inżynierów cywilnych.

Nazwa inżyniera, pochodząca od hiszpańskiego *ingenio*, machina wojenna, dawana była pierwotnie tym, którzy budowali i prowadzili

podobne machiny, a następnie wszystkim stosującym nauki ścisłe do sztuki wojennéj. Za czasów Vaubana znano już inżynierów wojskowych w całéj Europie, a i nasi autorowie owocześni wspominają téż o „indzinierach.“ W końcu XVI-go stulecia nazwa ta przechodzi i na techników, zajmujących się wogóle budownictwem lądowém i wodném, których poprzednio nie odróżniano od budowniczych-architektów—i tak powstali inżynierowie cywilni. Z rozwojem nauk ścisłych i ich zastosowań w różnych gałęziach przemysłu, pojawili się późniéj inżynierowie-górnicy, mechanicy, chemicy i t. d., mamy już i inżynierów-elektryków,—i nazwa inżyniera, uogólniając się coraz bardziéj, dochodzi obecnie do ogarnięcia całego obszaru zastosowań nauk ścisłych do przemysłu. We Francyi inżynierów cywilnych w służbie rządowéj, mających w swéj pieczy komunikacye lądowe i wodne, nazywano inżynierami dróg i mostów, a w r. 1716 utworzono z nich korpus, rozwijający się odtąd stale i liczący w swych szeregach wiele znakomitości w zakresie budowy mostów. Przed innymi zasłynął tu Perronet, założyciel Szkoły dróg i mostów w Paryżu, który w końcu ubiegłego i początku bieżącego stulecia zbudował kilka wielkich mostów kamiennych, nader cenionych przez specyalistów.

Postępy sztuki inżynierskiéj we Francyi, w zakresie budowy mostów sklepionych, w przeciągu sześciu stuleci po Ś-ym Benezecie, streścił Gauthey w obszerném dziele, wydaném w końcu XVIII-go stulecia, a stanowiącém do dziś podstawę badań technicznych w tym kierunku. W początkach bieżącego stulecia, Telford, Rennie i Harisson budowali wielkie mosty sklepione w Anglii, a mosty stawiane przez Telforda odznaczają się w wysokim stopniu estetyką kształtów. Przy sporządzaniu projektów nie posiadano jeszcze ścisłych wskazówek naukowych co do wytrzymałości sklepień. Prace w tym kierunku słynnego w zeszłém stuleciu uczonego francuskiego Coulomba, mało były rozpowszechnione,—znano tylko wyniki doświadczeń, jakie robili nad sklepieniami: Gauthey, Roudelet i Rennie. Dopiéro Mery położył podstawy teoryi sklepień, dającéj pewne wskazówki inżynierom przy sprawdzaniu wytrzymałości, a od r. 1840 nie było większego mostu z kamienia lub cegły, projektowanego bez zastosowania téj metody. Późniejsze poszukiwania teoretyczne Yvona de Villarceau i innych, nie doprowadziły jeszcze teoryi sklepień do względnéj nawet doskonałości—i dotąd metody, jakie wskazał Mery, z nadającemi im większą ścisłość poprawkami Durand-Clay'a, stanowią podstawę wykreśleń i rachunków przy projektowaniu mostów sklepionych. Pomimo stanowczéj przewagi belek i łuków żelaznych, nie przestała się jednak rozwijać budowa tych mostów, górujących zawsze trwałością,

piękniejszych, a w okolicach obfitujących w kamień, nawet tańszych niż żelazne. Wprawdzie otwór arkady mostu Trezzo nie został dotąd dościgniętym, ale jednak w Stanach Zjednoczonych zbudował inż. Rives w r. 1859-ym most Cabin John, przez który przechodzi akwedukt Potomac, złożony z jednéj arkady łukowéj o 67 m. otworu, a 25 m. strzałki. Arkady o otworze 61 m. posiada most Chester na rzece Dye w Anglii, zbudowany według projektu Harissona, a w ostatnich czasach stanęło parę podobnych mostów we Francyi, wytrzymując konkurencyą co do kosztu z belkami żelaznemi.

Podczas gdy Ś-ty Benezet był tylko odnowicielem sztuki, znanéj już dobrze Rzymianom, — Stephenson stał się twórcą nowego zupełnie systemu mostów. Budowano i przed nim mosty żelazne, ale on dał początek nowemu i najwięcéj rozpowszechnionemu ich typowi, mianowicie mostom belkowym. Przy tym nowym typie dopiéro żelazo w zastosowaniu do budowy mostów przemogło inne materyały, gdyż jako materyał pomocniczy, było już używane, jak wspominałem, przy budowie mostów drewnianych rzymskich. Późniéj, przy mostach murowanych, stosowano bronz lub żelazo, do wiązania ze sobą murów bocznych, ściągania pękających sklepień i t. p. Było to żelazo kowalne, otrzymywane w małych ilościach bezpośrednio z rudy, jak i teraz jeszcze otrzymują je niektóre dzikie plemiona Afryki.

W końcu XVI-go stulecia pojawiają się w prowincyach nadreńskich tak zwane piece wielkie, wydające z rudy w większych ilościach surowiznę, czyli żelazo lane. Jest-to połączenie żelaza z węglem, dające się odlewać w formy, wytrzymalsze na ucisk od żelaza kowalnego, ale za to niedające się kuć i pozbawione zalet sprężystości. Wielkie piece rozpowszechniły się wkrótce w Anglii, ale do końca XVII-go wieku, opalane jeszcze węglem drzewnym, nie wydawały więcéj, jak 5 tonn żelaza tygodniowo. Dopiéro rodzina Darbych posunęła naprzód w XVIII-ém stuleciu otrzymywanie żelaza lanego. W r. 1709 Abraham Darby nabywa kuźnice w Coalbrookdale, położone wybornie pod względem przemysłowym, bo wśród lasów, kopalń rudy żelaznéj i węgla kamiennego—i obok spadku wody, dającego się użyć jako motor. Jeden z robotników, John Thomas, wynajduje sposób odlewania surowizny w formach z piasku i system ten, zastosowany na wielką skalę w Coalbrookdale, otoczony tajemnicą, zapewnia zakładom Abrahama Darby wielkie powodzenie.

Po śmierci Darby'ego, jego syn, także Abraham, pracuje nad zastąpieniem w wielkich piecach węgla drzewnego kamiennym. Po

wielu nieudanych próbach, w r. 1735 wpada wreszcie na pomysł, by w miejsce surowego węgla używać koksu, to jest węgla wypalonego poprzednio w ten sam sposób, jak się wypala drzewo na węgiel drzewny. To nowe paliwo, zarazem ścisłe i porowate, pozbawione materyi lotnych, które dają wiele dymu i posiadające znaczną potęgę cieplikową, tak się nadało do wytapiania surowizny w wielkich piecach, że ich wytwórczość zwiększyła się z 5 do 25 tonn tygodniowo. Późniejsze, w r. 1828 wprowadzone zastosowanie powietrza ogrzanego do ożywiania ciągu, powiększyło znów w czwórnasób tę wydajność. Ale już w r. 1768, gdy kuźnice w Coalbrookdale przechodzą na własność trzeciego Darby'ego, tak samo jak dziad i ojciec Abrahama, nastaje pora wykazania, jak rozległe zastosowanie znaleść może żelazo lane, otrzymywane w znacznych ilościach z wielkich pieców. Darby, przy współudziale Wilkinsona, sporządza projekt mostu na rzece Severn, w pobliżu kuźnic, złożonego z jednéj arkady z żelaza lanego o 30 m. otworu. Budowa tego mostu ukończoną została w r. 1779.

Była to pierwsza próba, więc też przedstawiająca poważne niedostatki. Łuki podtrzymujące pokład mostu, prawie kołowe, utworzone zostały ze sztab krzywych, odlanych z surowizny. Trzy szeregi tych sztab, połączone ze sobą umieszczonemi w kierunku promieni łuku i na śruby umocowanemi rozporami, piętrzyły się jeden nad drugim w każdym łuku, a same łuki połączone były za pomocą beleczek żelaznych lanych, które je utrzymywały w położeniu stojącém w niezmiennéj odległości jeden od drugiego. W sztabach krzywych, żelazo lane pracowało więcéj na zgięcie, aniżeli na ucisk, a więc w sposób nieodpowiedni swéj naturze. O ile bowiem, gdy pracuje na ucisk, żelazo lane wytrzymalszém jest od granitu,—to znów przy zginaniu, nie będąc sprężystém, łatwo pęka i dlatego w budowlach do pracy takiéj stosowaném być nie powinno. To téż przy budowie następnych mostów z żelaza lanego, usiłowano stosować różne systemy, dążące do takiego użycia materyału, aby pracował wyłącznie na ucisk,—ale dopiéro wspominany już znakomity inżynier angielski, Rennie, zastosował w r. 1818 racyonalny i powszechnie dziś przyjęty system, przy budowie mostu Southewark w Londynie. Arkady tego mostu, mające każda 73 m. otworu, złożone są z łuków, mających kształt zakrzywionych belek żelaznych, o przekroju podobnym do podwójnéj litery wielkie T, to jest złożonych z dwóch pasów poziomych, połączonych jednym pionowym. Każdy łuk składa się z trzynastu części, dotykających się szerokiemi podeszwami, przez które przechodzą śruby. Według tego systemu, opatentowanego jeszcze w r. 1797 przez Jana Nash w Londynie, lecz stosowanego przedtém tylko do budowy dwóch

małych mostów na kanale Katarzyny w Petersburgu, zbudowane zostały wszystkie prawie słynniejsze mosty z żelaza lanego, jak np. Solferino i Ś-go Ludwika w Paryżu, a także będący dziełem generała Kierbedzia most Mikołajewski na Newie w Petersburgu [1]). Jeden tylko Pont de Carrousel w Paryżu, zbudowany w r. 1833 przez inż. Polonceau, przedstawia typ zupełnie odrębny. Pojedyńcze łuki składające arkadę, jeden od drugiego niezależny, utworzone są z rur z żelaza lanego o przekroju eliptycznym. Most ma wygląd nader efektowny, stoi do dziś dnia, ale drga zbyt silnie podczas przejazdu cięższych wozów.

O ile żelazo lane przedstawia wielką wytrzymałość na ucisk, o tyle znów żelazo kowalne pracuje wybornie na rozciąganie i tę jego własność pożytkowano już oddawna w łańcuchach, używanych do różnych celów, a między innemi i przy budowie mostów zwodzonych. Pomysł wszakże zawieszania stale na łańcuchach wielkich pokładów mostowych, urzeczywistniony został po raz pierwszy w Ameryce w r. 1796 przez Finleya. Łańcuchy tych pierwszych mostów wiszących składały się z długich ogniw, lub też sztab żelaznych. W roku 1815-ym zbudowano w Filadelfii most dla pieszych, zawieszony już nie na łańcuchach, ale na linach, utworzonych z drutów żelaznych i według tego systemu budowano w następstwie mosty wiszące, które nabyły wielkiego rozgłosu, gdy w r. 1822, wspominany już znakomity inżynier angielski, Telford zaprojektował most o otworze 177 m. nad cieśniną Menai, dzielącą wyspę Anglesey od Walii. Most ten, ukończony w r. 1826, wzbudził ogólny zapał. Rzucono się wszędzie do budowy mostów wiszących, a między innemi inżynier Chaley zbudował we Friburgu w Szwajcaryi most, którego pokład 246 m. długi, umieszczony został na wysokości 51 m. nad poziomem rzeki Sarine. Ale Amerykanie poszli dalej jeszcze w tym kierunku. W r. 1855-ym zbudował Jan August Röbling most wiszący na Niagarze o 250 m. otworu z podwójnym pokładem, górnym dla drogi żelaznéj, a dolnym dla zwyczajnéj. Gdy wreszcie postępy metalurgii umożebniły wyrób drutów stalowych, których wytrzymałość pięć razy większa od żelaznych,

---

[1]) W r. 1830 zaprojektował najznakomitszy inżynier nasz z tych czasów, Feliks Pancer, most z żelaza lanego na Wiśle pod Warszawą, o jednéj arkadzie mającéj 576 m. otworu. Projekt ten opisany został przez autora szczegółowo w zeszycie majowym „Pamiętnika fiz. mat. i stat. umiejętności z zastosowaniem do przemysłu“, wydawanego w r. 1830 przez S. Janickiego i M. Pawłowicza. Zasługuje on na uwagę ze względu na śmiałość pomysłu, — łuki wszakże arkady Pancera złożone były ze zworników, utworzonych ze sztab żelaznych lanych, na wzór dawniejszych mostów z żelaza lanego.

dopuszcza natężenie 150 kilogramów na milimetr kwadratowy przecięcia poprzecznego, powzięto śmiałą myśl przerzucenia mostu wiszącego nad zatoką oddzielającą Brooklyn od Nowego Jorku. Wykonał ją syn Jana Augusta, pułkownik Waszyngton Röbling, ukończywszy przed ośmioma laty budowę mostu wiszącego, którego środkowe przęsło ma prawie pół wiorsty otworu, to jest mniéj więcéj tyle, ile wynosi całkowita długość mostu Aleksandrowskiego na Wiśle. Ten tak zwany East River Bridge, dający przejście dwóm torom drogi żelaznéj, dwom drogom szosowym i dwom trotoarom dla pieszych, zawieszony jest na czterech linach stalowych. Każda lina o średnicy 40 centymetrów, składa się z 5296 drutów, mających każdy 3 milimetry grubości. Podobnie jak most na Niagarze, tak i ten największy dotychczas most wiszący, zabezpieczony jest od bocznego działania wiatrów zapomocą specyalnych lin i urządzeń.

Około r. 1830 zajmowano się żywo w Europie budową mostów wiszących. Na Rodanie, pomiędzy Lyonem a Beaucaire stanęło w tym czasie ośm podobnych mostów. Ale wkrótce przyszła reakcya, wywołana kilkoma wypadkami, a głównie zerwaniem mostu w Angers w r. 1833. Zerwanie to wykazało, jak szkodliwemi dla budowli żelaznych mogą być miarowo po sobie następujące drgania. Przez most maszerował batalion piechoty. Gdy kolumna wojska zajęła już całą długość pokładu, nagle liny druciane pękły i cały most razem ze znajdującymi się na nim pięciuset ludźmi, runął do wody. Utonęło wtedy 226 żołnierzy. Wywołało to powszechne oburzenie i zraziło wielu do mostów wiszących, tak, że przez pewien czas wstrzymywano się od ich stawiania. Z czasem jednak praktyka wykazała, że budowane starannie, oddawać mogą istotne przysługi, wszędzie, gdzie budowa filarów jest utrudnioną i potrzeba przęseł o wielkich otworach. Ale przyjmując mosty wiszące w wyjątkowych warunkach, nie posunięto się w Europie tak daleko jak w Ameryce i ograniczono ich zastosowanie wyłącznie do dróg wozowych lub pieszych. Tymczasem rozwój dróg żelaznych wymagał coraz większéj liczby mostów i to o wielkich otworach, przekraczających możność stosowania sklepień murowanych lub łuków z żelaza lanego. Zachodziła więc potrzeba wytworzenia nowego typu i tego właśnie dokonał Stephenson.

Robert Stephenson był synem wielkiego twórcy dróg żelaznych Jerzego. Urodził się w r. 1803, gdy ojciec wiódł jeszcze ciężki żywot maszynisty w kopalniach węgla. Matka umarła wkrótce, ale nie zbrakło małemu Robertowi na starannéj opiece. Ojciec usilną pracą zarabiał na kształcenie syna, posyłał go do szkoły, a wieczorami uczyli się wspólnie i razem z synem kształcił się ojciec, który urodzo-

ny w biédzie, nie miał możności nabycia nauki w swém dzieciństwie. Gdy wrodzony geniusz Jerzego Stephensona skierował go do prac nad lokomotywą, które później uwieczniły jego imię i polepszyły się warunki jego bytu, Robert, wysłany przez ojca, kończył nauki na uniwersytecie w Edynburgu. Po powrocie znalazł w nim ojciec dzielnego pomocnika i odtąd prawie nierozłącznie pracowali obaj nad budową pierwszych dróg żelaznych w Anglii. Skoro Jerzy Stephenson, strudzony pracą i wiekiem, wycofywać się zaczął od zajęć, z któremi go zespoliła praca całego życia i nabyta sława, szczęśliwym był składając je w ręce syna, stojącego już wtedy w rzędzie najznakomitszych inżynierów angielskich. Jeszcze na lat kilka przed śmiercią ojca, która nastąpiła w r. 1848, pracować zaczął Robert nad mostami belkowemi.

Jak sklepienia murowane naprowadziły na pomysł łuków z żelaza lanego, tak samo belki drewniane były punktem wyjścia belek z żelaza kowalnego. Najpopularniejszą dziś belką żelazną jest szyna. Przyglądając się jéj na drodze żelaznéj, widzimy, że szeroką swą podstawą leży na podkładach, a po zaokrąglonéj jéj główce toczą się koła parowozu i wagonów. Główkę z podeszwą łączy ścianka pionowa, zwana szyjką. Gdy koło parowozu znajduje się pomiędzy dwoma podkładami, wtedy tłocząc ciężarem swym na szynę, usiłuje ją wygiąć. Przy tém wyginaniu, podeszwa szyny się rozciąga, główka ściska a szyjka łączy w jedną całość główkę z podeszwą, utrzymując je w niezmiennėm względem siebie położeniu. W ten sam sposób pracuje każda belka żelazna i ma téż kształt podobny do szyny, tylko, że zamiast główki i podeszwy, ma dwie jednakowe podeszwy u dołu i u góry. To téż przekrój poprzeczny belki żelaznéj przedstawia się w kształcie drukowanéj litery wielkie T, z drugą kréską poprzeczną u spodu i belka nosi stąd nazwę belki o przekroju podwójnego T. Podeszwy dolną i górną nazywamy pasami poziomymi a szyjkę — ścianą pionową belki. Gdy belka ma być wysoką, wywalcowanie jéj z jednéj sztuki nie jest możebném. Wtedy pasy poziome i ściana pionowa, wywalcowane oddzielne, spajają się w jedną całość za pomocą kątowników i nitów. Przy wyższych jeszcze belkach ścianę pionową pełną, zastępuje się kratą, gęstszą lub rzadszą i takie belki kratowe widzimy najczęściéj w mostach żelaznych. I tak np. w moście Aleksandrowskim w Warszawie, ściany boczne są belkami kratowemi i one to dźwigają cały most. Gdy most jest obciążony, pasy górne tych belek są ściskane, pasy dolne rozciągane, a krata wiąże je w jednę całość. Ściskanie i rozciąganie pasów jest największe w pośrodku przęsła a najmniejsze przy filarach; przeciwnie znów pojedyńcze krzyżulce kraty, pra-

cujące także jedne na ściskanie a drugie na rozciąganie, ściskane są i rozciągane najwięcéj przy filarach, a najmniéj we środku przęsła. Z tego téż powodu widzimy, że pasy belek są grubsze we środku a krzyżulce kraty przy brzegach przęsła. Wielkie belki mostowe związane są ze sobą u spodu i góry belkami poprzecznemi i krzyżami, by się mogły utrzymać niezmiennie w położeniu stojącém i stawiać opór bocznemu działaniu wiatru. Belki poprzeczne dolne są w moście Aleksandrowskim silniejsze znacznie od górnych, bo dźwigają pokład mostu. W moście pod Cytadelą przeciwnie, mającym dwa pokłady, belki poprzeczne górne są silniejsze, bo dźwigają drogę żelazną, podczas gdy pokład dolny przeznaczony jest dla ruchu wozowego.

Mosty żelazne belkowe wzięły swój początek w Anglii wraz z rozwojem hutnictwa żelaznego. Jakkolwiek wyrób żelaza lanego rozwinął się tam jeszcze w końcu ubiegłego stulecia, jednakże belki lane nie mogły znaleść szerszego zastosowania przy budowie mostów. Żelazo lane, odpowiednie w ściskanym pasie górnym belki, nienadawało się zupełnie w pasie dolnym, pracującym na rozciąganie. Trzeba tu materyału sprężystego, jak żelazo kowalne, którego wyrób w początkach naszego wieku był jeszcze bardzo ograniczony. Po zaprowadzeniu wielkich pieców, zatraciło się pierwotne otrzymywanie żelaza z rudy w ogniskach i zamiast niego powstało świeżenie, albo tak zwane fryszowanie, polegające na przetapianiu surowizny w silnym strumieniu powietrza, z dodaniem roztopu, zawierającego tlennik żelaza, przez co surowizna utraca część węgla i staje się żelazem kowalném, po jedném lub kilku przetopieniach. Przy téj metodzie, długiéj i mozolnéj, przemysł żelazny niemógł się należycie rozwinąć. W r. 1783 otrzymał Henryk Cort w Anglii patent na pudlowanie, t. j. otrzymywanie z surowizny żelaza kowalnego w odpowiednich piecach, przy użyciu płomienia węgla kamiennego, a w roku następnym patent na walcownię. Wynalazek pudlowania był pierwszym krokiem dzisiejszego rozwoju hutnictwa żelaznego, nie zaraz jednak się przyjął. Cort, poświęciwszy dla doprowadzenia do skutku swego wynalazku 20 tysięcy funtów szterlingów własnego mienia, umarł w nędzy. W początku dopiero bieżącego stulecia pudlowanie i walcowanie żelaza rozwijać się zaczęło w Anglii, a w ciągu pierwszych trzech dziesiątków lat postąpiło tak dalece naprzód, że gdy rozwój dróg żelaznych w Anglii zwiększył nagle zapotrzebowanie mostów—ograniczając jednocześnie zastosowanie belek lanych, z przyczyny niedostatecznéj ich wytrzymałości, do mostów o bardzo małych otworach—stało się możebném stosowanie w szerszym zakresie żelaza walcowanego.

Z początku, opierając się na różnicy pracy pasów dolnego i górnego belki, zaczęto używać belek mieszanych, z pasem górnym i żelaza lanego, a dolnym z walcowanego. W ten sposób zbudował w r. 1846 Robert Stephenson, dla drogi żelaznéj North Western, jeden z najdawniejszych mostów żelaznych belkowych w Anglii, w kształcie rury, o przekroju prostokątnym. Była to jednak właściwa belka, tylko zamiast jednéj, miała dwie ściany pionowe i te właśnie stanowiły ściany boczne mostu. Płaskie pudło z żelaza lanego stanowiło pas górny belki, a takież pudło z żelaza walcowanego pas dolny. Środkiem wytworzonego w ten sposób kurytarza przechodziła droga żelazna. Kombinacya była ściśle racyonalną: żelazo lane pracowało na ściskanie, a kowalne na rozciąganie; przekonano się jednak w następstwie, że most nie odpowiadał warunkom, wymaganym na drogach żelaznych. Żelazo lane, zwłaszcza w punktach zetknięcia z żelazem kowalném, z powodu różnicy sprężystości dwóch materyałów, nie wytrzymywało zadawalniająco drgań przy przechodzeniu pociągów. To téż przyjaciel i współpracownik Stephensonów przy budowie pierwwszych dróg żelaznych w Anglii, Wiliam Fairbairn, już w r. 1848 wziął patent na budowę mostów tego kształtu, jak co dopiéro opisany, ale z żelaza walcowanego. Równocześnie Robert Stephenson zajęty był projektem mostu dla drogi żelaznéj nad cieśniną Menai, w pobliżu mostu wiszącego Telforda. Projektował takowy pierwotnie na łukach żelaznych lanych, ale parlament niechciał przyjąć projektu, utrudniającego żeglugę na cieśninie i żądał wielkich otworów, dla łuków z żelaza lanego niemożliwych. Próbował następnie Stephenson projektu zawieszenia belki rurowéj z żelaza walcowanego na linach drucianych. Doświadczenia wszakże wykonane wtedy przez Fairbairna i Hodkinsona, dowiodły, że belki rurowe z żelaza walcowanego, nawet przy otworach, jakich żądano na ciśnienie, obejdą się bez pomocy lin i Stephenson zatrzymał się ostatecznie na projekcie dwóch belek rurowych, każda dla jednego toru kolejowego, spoczywających na filarach murowanych, wzniesionych na 30 m. nad najwyższym poziomem morza. Dla żeglugi przeto zostawały dwa olbrzymie otwory, mające każdy 140 m. szerokości. Budowa tak wielkiego mostu, według nowego zupełnie systemu, prowadzona być musiała z należytą ostrożnością. Stephenson, przyzwawszy do pomocy Fairbairna, Hodkinsona i Clark'a, zbudował naprzód model jednego przęsła w $1/_6$ naturalnéj wielkości. Model ten poddany został w r. 1847 całemu szeregowi prób, które dały zadawalniające rezultaty. Przystąpiono wtedy do budowy filarów, a tymczasem Clark obmyślił sposób ustawienia belek, bez rusztowań lub mostu tymczasowego, bo to przez

pewien czas utrudniałoby żeglugę na cieśninie. Każde przęsło belki, złożone i znitowane na brzegu, podprowadzano na statkach pomiędzy filary, a następnie za pomocą potężnych pras hydraulicznych, ta wielka masa metalu, ważąca dwa miliony kilogramów, wciąganą była na filary.

Most otrzymał nazwę Britania, bo cała Anglia dumną była z tego tryumfu sztuki inżynierskiéj. Rozpoczęty w r. 1846 ukończony został w przeciągu lat czterech. Odtąd téż datuje rozwój budowy mostów żelaznych belkowych. Robert Stephenson wzniósł jednocześnie drugi podobny most na cieśninie Conway, o jedném przęśle, mającém 122 m. otworu, a wkrótce potém stawiać zaczęto podobne mosty we Francyi i innych krajach Europy. Stephenson, uznany za najpierwszego inżyniera swego czasu, wzywany był do budowy dróg żelaznych we Francyi, Szwajcaryi, Norwegii, jeździł także do Egiptu i Kanady, był członkiem parlamentu i zmarł otoczony sławą w r. 1859, widząc w pełnym rozwoju tak drogi żelazne, stworzone przez ojca, jak i mosty belkowe, którym sam dał początek.

O ile wiadomości o pracach i zasługach Ś-go Benezeta i Roberta Stephensona w dziedzinie budowy mostów, mało są rozpowszechnione wśród ogółu, o tyle każdemu prawie znaném jest nazwisko inżyniera Gustawa Eiffla, który zbudował wieżę trzystometrową na ostatniéj wystawie paryskiéj. Tak dawniejsze prace Eiffla, jak i sama wieża, nietylko należą do działu sztuki inżynierskiéj, który nas zajmuje, ale nadto są wyrazem ważniejszych postępów w tym dziale, urzeczywistnionych od epoki Roberta Stephensona. Wielu znakomitych inżynierów złożyło się na te postępy, ale Eiffel udziałem swym we wszystkich prawie stadyach rozwoju budowli żelaznych w ostatnich czasach a głównie spopularyzowaniem tego rozwoju przez budowę wieży, zajął w rzędzie pracowników na tém polu zaszczytne a zarazem najgłośniejsze stanowisko. Początek jego pracy w zawodzie inżynierskim przypada właśnie na ostatnie lata życia Roberta Stephensona. Sieć dróg żelaznych we Francyi zaczęła się wtedy szybko rozszerzać, wzmagając potrzebę mostów o wielkich otworach. Pierwszy most żelazny belkowy we Francyi postawiono w r. 1851 na drodze żelaznéj zachodniéj w Argenteuil pod Paryżem. Były to belki ze ścianą pionową pełną, podobnie jak i w kilku mostach zbudowanych w latach następnych. Jednocześnie wszakże inżynierowie francuscy podjęli uczone prace około wytworzenia teoryi belek, stanowić mogącéj ścisłą podstawę obliczeń przy projektowaniu mostów żelaznych,

oraz wprowadzili do ich budowy nowy zupełnie typ, mianowicie belki kratowe.

Jeszcze Galileusz zajmował się wytrzymałością bali drewnianych i położył pierwsze podstawy teoryi belek prostych. Dowiódł on, że bal o przekroju prostokątnym, położony węższą ścianą na podporach, znosi większe obciążenie, niż leżąc na płask, oraz, że bal wewnątrz wydrążony, w jednakowych warunkach wytrzymuje więcéj, niż tejże saméj masy bal pełny. Mylnie wszakże mniemał, że wszystkie włókna bala wyciągają się wskutek wygięcia, zarówno po stronie wklęsłéj, jak po stronie wypukłéj. Teorya Galileusza znalazła wielu zwolenników i przechowała się bez zmiany, aż do r. 1678, w którym sławny fizyk angielski Robert Hooke, zajmujący się badaniem ruchu sprężyn metalowych, odkrył prawdziwe podstawy teoryi wygięcia, podawszy prawo proporcyonalności wydłużeń lub skróceń do natężeń sprawiających te odkształcenia i zaznaczywszy, że pręt wygięty rozciąga się po stronie wypukłéj a kurczy po stronie wklęsłéj. Pracowali późniéj nad tym przedmiotem Mariotte i Parent, nad teoryą sprężystości Euler i Coulomb, doświadczenia nad wytrzymałością belek wykonywali liczni inżynierowie francuscy i angielscy, ale dopiéro Navier w r. 1824 wyjawił stanowcze znaczenie teoryi wytrzymałości przeciw złamaniu, wobec teoryi wygięcia, rozwiązał mnóstwo zadań przed nim jeszcze niedotykanych, a między innemi położył podstawy teoryi łuków metalicznych. Wspominane już doświadczenia Hodkinsona i Fairbairna, w końcu prace Lamé'go, Clapayron'a, Belanger'a, Bresse'a i innych doprowadziły te części mechaniki praktycznéj, które stanowią podstawę obliczeń przy projektowaniu mostów żelaznych belkowych i łukowych, do dzisiejszego ich stanu [1]).

Gdy jedni pracowali nad teoryą belek prostych i łuków, drudzy inżynierowie, zajmujący się budową mostów, wprowadzali w życie nowe typy. Pierwszy most żelazny z belkami kratowemi zbudowano we Francyi na kolei południowéj w r. 1857. Było to dzieło zakładów Gouin'a, które odtąd, pod kierunkiem inżynierów Clapayron'a i La-

---

[1]) W szeregu inżynierów pracujących nad tym przedmiotem, zaznaczyć należy u nas Tadeusza Chrzanowskiego, który nietylko jako pomocnik Kierbedzia przy budowie mostu Aleksandrowskiego i główny kierownik budowy mostu pod Cytadelą, ale także jako autor poważnych prac naukowych, odznaczył się w dziale inżynieryi cywilnéj, który nas zajmuje. Dwie zwłaszcza z tych prac wymienić wypada: „Wyznaczenie sił działających w krzyżulcach i ścianach pełnych pionowych belek mostów systemu amerykańskiego“ (po francusku w oddzielnéj broszurze, Warszawa, 1860, a po polsku w „Przeglądzie Technicznym“ z r. 1875 t. I. str. 36), i „Teorya sklepień“ (Warszawa 1877).

valley'a, oddały się prawie specyalnie budowie podobnych mostów, lub tylko ich części żelaznych, jak naprzykład mostu Aleksandrowskiego. Zakładom Gouin'a zawdzięczamy także pierwszy most łukowy z żelaza walcowanego, zbudowany w Szegedynie na Węgrzech. Oprócz belek prostych i łuków, powstało jeszcze mnóstwo innych typów mostów żelaznych. Najoryginalniejsze obmyślił inżynier angielski Brunel. W jego moście Windsorskim, belki mostowe mają pas górny łukowy, a pas dolny prostolinijny, stanowiący cięciwę tego łuku— w moście Saltash oba pasy, górny i dolny są łukowe i belka przedstawia kształt wrzeciona—wreszcie most Chepstow stanowi kombinacyę systemów łukowego, wiszącego i belkowego. Niepodobna tu podawać szczegółowych opisów znacznéj liczby odmian, wspomniéć jednak należy o mostach belkowych amerykańskich, które się wzorowały głównie na typie opatentowanym w Anglii w r. 1844 przez kapitana Warren'a. System ten nazwać można artykulacyjnym, gdyż pojedyńcze krzyżulce belki połączone są z pasami górnym i dolnym, jakby na zawiasach. Wszystkie części belki pracują w tym systemie zupełnie racyonalnie, ale całość nie posiada sztywności mostów żelaznych europejskich, których pasy i krzyżulce związane są stale między sobą nitami.

Oprócz nowych typów, przybył także do budowy mostów nowy materyał a właściwie nowa odmiana żelaza, mianowicie stal. Zajmuje ona, odnośnie do procentu węgla, jaki w sobie zawiéra, miejsce pośrednie pomiędzy surowizną a żelazem, a wyróżnia się własnością nabierania i tracenia hartu i większą wytrzymałością. Otrzymywano ją oddawna z surowizny temiż samemi metodami jak żelazo. Stal świeżoną otrzymywano z wyjątkowo czystéj i bogatéj w węgiel białéj surowizny, ale oczywiście, podobnie jak i żelazo świeżone, w bardzo małych ilościach. Po odkryciu pudlowania żelaza usiłowano otrzymywać tym sposobem i stal, udało się to dopiéro jednak w r. 1849 Antoniemu Lohage. Tym sposobem można już było w ciągu tegoż samego czasu otrzymać siedm razy więcéj stali niż za pomocą świeżenia. Ale dopiéro metoda Bessemera, podana w r. 1856 powiększyła sto razy ten stosunek i pozwoliła dostarczać stali w ilościach takich, że można już było używać jéj jako materyał do budowy mostów. Korzystając z jéj większéj wytrzymałości stosować ją zaczęto do mostów o wielkich otworach. W Ameryce inż. Eads zbudował około r. 1870 most St. Louis na Missisipi o trzech arkadach, mających każda po półtorasta metrów otworu. Arkady składają się z łuków kratowych ze stali a most ma dwa pokłady: górny dla drogi zwyczajnéj i dolny dla dwóch linij kolei żelaznéj. Pokład górny przecho-

dzi nad łukami, a pokład dolny umieszczony jest w pośrodku pomiędzy wierzchołkami a podstawami łuków.

Obok postępów teoryi wytrzymałości, dającéj podstawę obliczeń, oraz rozwoju rozlicznych systemów budowy przęseł mostowych, zaznaczyć wypada znakomite ulepszenia i wynalazki praktyczne, odnoszące się do zakładania fundamentów filarów i przyczółków. Dawniéj stawiano mosty tam tylko, gdzie można było zakładać fundamenty na betonie lub na palach. W miejscach, gdzie warstwa podmywalna przedstawiała znaczną grubość, przekraczającą zwykłą długość pali, zakładanie fundamentów nie było możebném. Potrzeba stawiania mostów dla dróg żelaznych, w punktach wyznaczonych *à priori*, zmusiła inżynierów do pokonania i téj trudności. Na szczęście, pomysł był już gotowy. W r. 1839 inż. Triger, mając zbudować szyb kopalniany na wyspie, położonéj wśród Loary, koło Chalonnes, schodzący przez wodonośne warstwy piasku, na głębokość 20 m. pod poziomem wody, aż do gruntu ścisłego, powziął myśl szczęśliwą opuszczenia wielkiéj rury z blachy żelaznéj, z któréjby powietrze, ściskane za pomocą pomp, wypędzało dopływającą dnem wodę. Robotnicy dostawali się do wnętrza rury przez szluzę, umieszczoną na wierzchu i przez tęż szluzę wynoszono skopaną wewnątrz rury ziemię. Rura opuszczoną została aż do gruntu nieprzepuszczającego wody, który już daléj przekopywany był na sucho, i w ten sposób utworzony został szyb kopalniany, dla pomieszczenia przewodów rurowych, służących do wypompowywania wody z dna kopalni. Pomysł Trigera zastosowano naprzód w Anglii, przy budowie mostu Rochester, gdzie opuszczano wielkie rury z żelaza lanego, mające 2 m. średnicy i każdy filar oparto na czternastu takich rurach, wypełnionych betonem. Późniéj Brunel zastosował ten system przy budowie mostu Saltash a następnie inżynierowie francuscy przy budowie wielu mostów. W ten sposób także założone były fundamenty filarów mostu Aleksandrowskiego na Wiśle, a przed tém jeszcze w r. 1859 fundamenty mostu w Bordeaux, przy budowie którego pracował debiutujący wtedy w karyerze inżynierskiéj Gustaw Eiffel. Jednocześnie metoda ta ulepszoną została znakomicie przez inż. Fleur St. Denis, przy budowie mostu pod Kehl na Renie i odtąd pewną liczbę rur, zapuszczanych każda oddzielnie pod filarem, zastąpiła jedna wielka skrzynia żelazna bez dna, stanowiąca podwodną izbę pracy, z kominami, przedłużanemi w miarę opuszczania skrzyni a u wierzchu zaopatrzonemi w szluzy. Skrzynia taka, odpowiednio obciążona, opuszczoną zostaje na dno rzeki a ściśnienie powietrza wypycha z niéj wodę. Robotnicy schodzą przez szluzy, umieszczone na kominach i kopią na dnie skrzyni, wyprowadzając

przez szluzy skopaną ziemię. Tymczasem na suficie skrzyni wokoło kominów, wewnątrz otoczenia z blachy żelaznéj, stanowiącego jakby przedłużenie bocznych ścian skrzyni, leje się beton, i skrzynia w miarę przybywania betonu i kopania ziemi u spodu, zagłębia się powoli w przepuszczalną warstwę gruntu. Gdy dojdzie do warstwy nieprzesiąkliwéj, wypełnia się wnętrze izby pracy i kominów betonem i otrzymuje podstawę betonową, opartą na gruncie nieściśliwym, na któréj murować można filar po nad wodą. Przy użyciu takich skrzyń, czyli kesonów, budowane są obecnie fundamenty filarów mostowych, w gruntach przesiąkliwych.

Zbliżamy się do ostatnich olbrzymich kroków postępu w budowie mostów żelaznych. Przy rozwijaniu się sieci kolejowych w krajach górzystych, wynikała często potrzeba przerzucania drogi żelaznéj w poprzek głębokich a wąskich dolin. Wypadało budować wiadukty na filarach tak wysokich, że stawianie ich z kamienia okazało się zbyt kosztownem. Żelazo musiało tu przyjść w pomoc i już w r. 1853 zbudowany został w ten sposób wiadukt Crumlin w Wallii. Filary tego wiaduktu, mające 53 m. wysokości, postawiono w kształcie rusztowań z żelaza lanego. W latach następnych na podobnych filarach postawiono dwa wiadukty w Szwajcaryi. Jeden z nich zwłaszcza, zbudowany przez inż. Mathieu we Friburgu, odznacza się wielką wysokością filarów, wynoszącą 80 m. a nadto, podczas jego budowy, zainaugurowano nowy system ustawiania części żelaznych. Belka kratowa ciągła, zestawiona na brzegu wąwozu, posuwana była na wałkach, leżących na brzegu w kierunku osi wiaduktu, tak, że stercząc kolejno po nad fundamentem każdego filaru, podtrzymywała windy, które służyły do podnoszenia z dołu wąwozu części składowych filaru i ułatwiała w ten sposób jego budowę. Gdy pierwszy filar został wzniesiony, układano na nim wałki i popychano daléj belkę mostową.

Praktyka wykazała, że przy znacznych wysokościach, filar żelazny kosztuje o połowę taniéj od kamiennego i inż. Nordling zbudował kilka wiaduktów na podobnych filarach w południowéj Francyi. Przy nim pracować zaczął nad tym przedmiotem Eiffel, mający już wtedy w r. 1868 własne zakłady mechaniczne. Pierwsze filary wiaduktów budowane przez Eiffla miały kształt ostrosłupów ściętych o podstawie prostokątnéj. Filar, stosownie do szerokości pokładu wiaduktu, składał się z czterech lub ośmiu kolumn z żelaza lanego, powiązanych krzyżulcami z żelaza walcowanego. Wkrótce jednak przekonał się Eiffel, że tylko zupełne usunięcie żelaza lanego, a wyłączne stosowanie do budowy filarów żelaza walcowanego, zapewnić

może rozwój tego rodzaju budowli. W miarę bowiem wzrostu wysokości, działanie wiatru na filar staje się coraz potężniejszém. Kolumny filaru, pracujące na ściskanie pod ciężarem belki i obciążenia wiaduktu, wskutek działania wiatru pracować muszą także na zgięcie, co nieodpowiada naturze żelaza lanego i zmniejsza stopień bezpieczeństwa budowli. Nadto kolumny z żelaza lanego są grubsze od słupów z żelaza walcowanego i wystawiają większą powierzchnią na działanie wiatru. To téż w ostatnich dwudziestu latach wszystkie filary żelazne wiaduktów budowano już wyłącznie z żelaza walcowanego, a Eiffel wprowadził do ich budowy znakomite ulepszenia, z których najważniejsze miały na celu zwiększenie oporu na działanie wiatru.

Jednocześnie z filarami i same mosty żelazne stały się przedmiotem prac Eiffla. Znakomitém jego dziełem jest zbudowany w roku 1877-ym wiadukt Maria-Pia, pod miastem Porto, w Portugalii. Rzeka Duro przy swém ujściu płynie tam wąskim a głębokim wąwozem, przez który trzeba było przerzucić most, umieszczony dostatecznie wysoko i o tak znacznym otworze, aby nie tamował ruchu okrętów morskich, wchodzących do portu na rzece. Eiffel zaprojektował wiadukt żelazny kratowy na filarach żelaznych; gdy jednak zakładanie fundamentów na dnie rzeki Duro okazało się niemożliwém, przęsło środkowe wiaduktu posiadać musiało otwór 160 m. Przy projektowaniu połączył Eiffel system belkowy z łukowym i przęsło zbudowane zostało w ten sposób, że na olbrzymim łuku żelaznym kratowym, mającym 160 m. otworu, wzniesione zostały z obu stron wierzchołka dwa małe filary żelazne, podtrzymujące belkę kratową, która tym sposobem, wsparta na wierzchołku łuku i na tych filarach, podzielona jest na cztery przęsła nad łukiem. Oprócz skombinowania dwóch systemów, łukowego i belkowego, wprowadził jeszcze Eiffel przy budowie tego wiaduktu jedno nader ważne ulepszenie, powiększające znacznie opór budowli na działanie wiatru. Ściany boczne budowli nie są równoległe, ale idą skośnie od filarów do klucza, tak że rozstawienie łuków zewnętrznych arkady wynosi 15 m. przy filarach, a tylko 4 m. w kluczu. W ten sposób ściany boczne łuku są nachylone do najniekorzystniejszego kierunku wiatru, i lepiéj opiérać się mogą jego działaniu.

Według typu zainaugurowanego przez Eiffla, przy budowie wiaduktu Maria-Pia, wzniesione zostały przed kilkoma laty: wiadukt Ludwika I-go także w Porto przez inż. Seyriga i wiadukt Garabit w departamencie Lozère we Francyi przez Eiffla. Zasadę nachylania ścian bocznych budowli dla zwiększenia oporu na działanie wiatru

przyjął także inż. Fowler, projektodawca największego ze zbudowanych dotąd mostów belkowych, na zatoce Forth w Szkocyi. Dwa przęsła środkowe tego mostu mają każde 517 m. otworu, a dwa boczne po 207 m. Typ tu przyjęty został inny zupełnie, jak w znanych dotąd mostach żelaznych belkowych. Budowano je zawsze pod postacią belki leżącéj na dwóch lub więcéj podporach, gdy tymczasem most na zatoce Forth złożony jest z trzech belek, z których każda podpartą jest w środku. Końce zewnętrzne dwóch belek skrajnych przymocowane są do filarów murowanych, po za któremi, po obu stronach mostu ciągną się jeszcze zwykłe wiadukty,—ale między końcami wewnętrznemi tych belek, a końcami belki środkowéj, pozostają puste przerwy, mające po 106 m. długości. Przerwy te wypełnione zostały zwykłemi belkami kratowemi, które zamiast na filarach, spoczywają na końcach wielkich belek w środku podpartych. Za wynalazcę tego typu poczytują Niemcy inż. Gerbera, — właściwie jednak uważać należy ten system budowy mostów, jako zapożyczony z Chin, gdzie oddawna stawiano w ten sposób mostki bambusowe.

Projekt inż. Fowlera przeprowadził na gruncie inż. Baker i w listopadzie 1889 r. most na zatoce Forth został ukończony. Każdy z trzech wielkich filarów składa się z czterech rur stalowych o średnicy przeszło półczwarta metra, silnie powiązanych krzyżami i pochylonych ku osi mostu, tak że ich rozstawienie wynosi 36 m. u spodu, a 10 m. u szczytu. Części metalowe każdego filaru mają 105 m. wysokości i stanowią środki dwóch olbrzymich belek kratowych, pochylonych ku osi mostu. Po obu stronach, idąc od filaru, wysokość tych belek stopniowo się zmniejsza, tak że przy końcach dochodzi do zera, bo pasy górny i dolny stykają się tam ze sobą [1]). Pasy górne, utworzone z belek kratowych, idąc od filaru stopniowo się obniżają, a pasy dolne, utworzone z szeregu rur stalowych, podnoszą się w kształcie łuku. Jednocześnie oba pasy górne zbliżają się do siebie i tak samo pasy dolne, tak że rozstawienie ich, wynoszące na filarze u dołu 36, a u góry 10 m., zchodzi na obu końcach do 10 i 7 m. Krzyżulce tych olbrzymich belek, w środku podpartych, utworzone są podobnie jak pasy: te, które podlegają ściskaniu — z rur, a rozciągane—z beleczek kratowych. Jak zaznaczono wyżéj, na końcach wiel-

---

[1]) Jak widzimy, w tych wielkich belkach, w środku podpartych, pasy pracują nie tak, jak w belce leżącéj swemi końcami na dwóch podporach, ale odwrotnie. Pasy dolne stanowią jakby olbrzymie krokszty̆ny i pracują na ściskanie, a pasy górne, wiążąc szczyt filaru z końcami pasów dolnych, podtrzymują je i pracują na rozciąganie.

kich belek w środku podpartych, spoczywają jak gdyby na filarach zwykłe belki kratowe, o pasie górnym parabolicznym, pokrywające każda 106 m. otworu. Pokład mostu, przechodzący środkiem olbrzymich ostrosłupów, utworzonych przez ściany belek w środku podpartych i wiązania pasów górnych i dolnych, spoczywa na belkach kratowych powiązanych z belkowaniem poprzecznem i wzniesiony jest na 49 m. nad powierzchnią morza. Do budowy całego mostu użytą była stal zlewna, a ciężar czterech wielkich przęseł wynosi 36,000 tonn. Koszt budowy mostu wraz z wiaduktami po obu stronach wynosi około 45 milionów rubli.

Obliczenia wytrzymałości wielkich przęseł mostu na zatoce Forth wykazały, że niektóre pojedyńcze części belek w środku podpartych, pracują nierównie więcej pod działaniem wiatru, aniżeli pod ciężarem przechodzących pociągów. Zarzucano nawet projektowi, że nachylenie wielkich belek nie jest wystarczające, bo porównywując największe natężenie, wywołane przez różne siły w pasie dolnym belki, okazuje się, że kiedy na ciężar własny przypada 37%, a na obciążenie przechodnie od pociągu 16%, to na ciśnienie wiatru przypada aż 47%, to jest prawie trzy razy tyle, co na obciążenie przechodnie. Kształt więc ogólny i wymiary pojedyńczych części wielkich budowli żelaznych, winny być obliczane i wykreślane z uwzględnieniem przedewszystkiem działania wiatru, które też wyłącznie miał na uwadze Eiffel, przy projektowaniu wieży 300-to metrowej dla ostatniej wystawy paryskiej.

Zajmując się zdawna budową filarów żelaznych pod wiaduktami, Eiffel nie przekraczał nigdy wysokości 75 m. Upowszechniło się też mniemanie, że dalej iść nie można, z powodu zbyt wielkiego parcia wiatru. Aby mu stawić opór, przedewszystkiem nachylano słupy tworzące filar, który tym sposobem otrzymywał kształt piramidy, — a następnie wiązano silnie wszystkie słupy filaru pomiędzy sobą. Wiązania te powiększały znacznie ciężar budowli, a przez to ograniczały jej wysokość. Chcąc tę wysokość zwiększyć, wypadało określić teoretycznie taki kształt filaru, przy którymby wiązania poprzeczne dały się sprowadzić do *minimum*. W ten sposób właśnie wyznaczony został przez Eiffla i jego współpracowników, inżynierów Nougiera i Koechlina, ogólny kształt wieży. Podzielono ją na warstwy poziome, wykreślono dla każdej z nich wypadkowe ciśnienie wiatru i nadano słupom wzdłuż tej warstwy takie nachylenie, aby wzmiankowana wypadkowa przechodziła przez środek ciężkości. Jak się wyraził malowniczo Tissandier, kształt wieży został tym sposobem jakby przez wiatr wymodelowany. Nie jest-to projekt architekta, ale ścisły wy-

nik obliczeń i wykreśleń statycznych. A gdy tym sposobem otrzymano kształty lekkie i piękne, dowód jeden więcéj, że racyonalne użycie materyału i ścisłe obliczenie wymiarów, same przez się wytwarzają estetyczny wygląd budowli.

Wieża zbudowaną została z żelaza walcowanego i waży około 7,500 tonn, a więc zaledwie piątą część ciężaru czterech przęseł mostu na zatoce Forth. Zbudowana została w ten sposób, że wszystkie składowe jéj części przygotowano i dopasowano w fabryce, a na miejscu dokonywane były tylko niezbędne nitowania. Przeciwnie, przy budowie mostu Forth, blachy stalowe, z gruba tylko przygotowane, dopasowywane były na miejscu budowy. W porównaniu z ogromem mostu wieża stanowi budowlę drugorzędną, zaleca się jednak ścisłością wykonania, cechującą w ogóle prace inżynierów francuskich. Wieża Eiffla wykazała przytém, że wysokość wiaduktów na filarach żelaznych, iść może znacznie daléj niż sądzono dotychczas i przekonała wszystkich, że budowle żelazne mają przed sobą przyszłość, któréj zakresu niepodobna jeszcze przewidzieć.

Ale właśnie wobec tego tryumfu żelaza, uwydatnionego w ostatnich latach budową mostu na zatoce Forth, rozpoczęciem budowy większego jeszcze mostu na rzece Hudson w Ameryce o otworach ośmiosetmetrowych, a rozgłoszonego przez wieżę Eiffla, popularniejszą od wielu nierównie znakomitszych budowli żelaznych, bo się rzucała w oczy całemu światu na ostatniéj wystawie paryskiéj,—inżynierom przychodzi teraz w niektórych razach odgrywać rolę owego niewolnika, który w starożytności miał obowiązek przypominania tryumfatorom, że władza ziemska jest znikomą. Za pomocą żelaza i stali można budować mosty o otworach kilkanaście razy większych, niż otwory mostów kamiennych, ale kto może przewidzieć, jak długo wytrzymają te budowle. Układ wewnętrzny cząsteczek metalu, pod wpływem długoletnich jednostajnych drgań, może się zmienić ze szkodą dla wytrzymałości, rdza działa szkodliwie od zewnątrz, główki nitów, łączące pojedyńcze blachy, często odpadają i budowle żelazne wymagają nader starannego dozoru i utrzymania. Na niektórych drogach żelaznych we Francyi, a nawet w Ameryce, przekonano się, że małe mosty żelazne, jeżeli przy budowie kosztują taniéj, to po skapitalizowaniu kosztów utrzymania w ciągu długiego szeregu lat, przedstawiają się mniéj korzystnie — i zaczęto je zastępować powoli mostami kamiennemi. W pośród rysunków i modeli mostów, zbudowanych w ostatnich latach, jakie były wystawione w r. 1889 w Paryżu, odznaczały się mosty kamienne niektórych dróg żelaznych francuskich, mające do 61 m. otworu. Kosztowały one nie drożéj od żelaznych, a mają

zabezpieczoną trwałość na długie wieki i nie potrzebują prawie żadnego utrzymania. Przetrwały bowiem kilkanaście już wieków mosty kamienne rzymskie, kiedy mosty żelazne posiadamy zaledwie stuletnie z żelaza lanego, a czterdziestoletnie z walcowanego i nie można powiedzieć nic stanowczego o liczbie lat, jaką jeszcze przetrwają. Ale też obecnie trudno liczyć przyszłość na stulecia, gdy każda ćwierć wieku przynosi nowe wynalazki, usuwające z pola dawniejsze, zanim jeszcze zdołano z nich wyciągnąć wszystek pożytek.

Z pobieżnego przeglądu dziejów budowy mostów, widzimy, że mosty drewniane sięgają czasów przedhistorycznych, a kamienne czasów rzymskich. Z pomników sztuki rzymskiéj, jakie nas doszły, zasługują głównie na uwagę mosty w Rzymie i akwadukt w departamencie Gard we Francyi. W XII-ém stuleciu Ś-ty Benezet rozpoczyna obfitą w owoce działalność braci mostowych i odtąd budowa mostów kamiennych w Europie nie przestaje się rozwijać. W końcu ubiegłego stulecia przybywa do budowy mostów nowy materyał — żelazo lane. Żelazo walcowane, najwięcéj rozpowszechnione obecnie przy téj budowie, stosuje poraz pierwszy w szerszym zakresie Robert Stephenson i jego most „Britania“ jest ojcem wielkich mostów tegoczesnych; w końcu przybywa w pomoc stal. Odtąd téż rozpoczyna się olbrzymi rozwój budowli żelaznych, których tryumf wieża Eiffla rozgłasza całemu światu. Ś-ty Benezet, Stephenson i Eiffel uosabiają tym sposobem trzy charakterystyczne epoki w dziejach budowy mostów. Pierwszy jest odnowicielem mostów kamiennych, drugi istotnym inicyatorem żelaznych, trzeci wreszcie popularyzatorem rozwoju téj gałęzi sztuki inżynierskiéj w ostatniéj chwili.

Feliks Kucharzewski.





DZIELNA KOBIÉTA.

POWIEŚĆ *).

(Dokończenie).

IX.

Po odjeździe Adama, Zalesie posmutniało, a raczéj posmutnieli jego mieszkańcy.

Roman wstydząc się za brata, zrobił się nieśmiałym i milczącym. Marya wybornie udawała olimpijski spokój, umiała panować nad sobą, stała się jednak zamyśloną i poważną.

Judyt odczuwała zmianę jéj usposobienia. Malarz, nie zakłócający w niczém porządku, nie narzucający się nikomu, był duszą tego domu, młodym mężem, pięknéj, pełnéj życia kobiéty.

Jeżeli w Zalesiu zapanowały cisza i smutek, za to ożywiła się okolica nagłym wyjazdem Adama.

Naprzód służba zaczęła roznosić plotki o ucieczce pana. Nikt nie mógł się domyśléć powodów. Gubiono się w dziwacznych kombinacyach. Najciekawsza, a jako krewna, mająca pewne przywileje, pierwsza pani Wiktorowa zjawiła się w Zalesiu.

Zapytana przez nią Marya o męża, odpowiedziała z prostotą i prawdą.

— Pojechał do Monachium kończyć rozpoczęty obraz.

Cóż mogło być naturalniejszego, a mimo to czuć było jakąś tajemnicę w uroczystym nastroju Zalesia.

Pod pozorem akompaniamentu i gry na cztery ręce, a dla dowiedzenia się prawdy, pani Wiktorowa zabrała do siebie Judytę.

— No, powiédz moja droga — odezwała się w pauzie — co to wszystko znaczy?

---

*) Patrz „Ateneum“ ze maj, czerwiec i lipiec r. b.

Judyta podniosła swe koloru morza oczy.

— Co to znaczy?—powtórzyła, udając zdziwienie.

— Odepchnąć najpiękniejszego i najwytworniejszego mężczyznę na pięćdziesiąt mil wokoło, dla nieokrzesanego chłopaka; robić awantury, na wspomnienie których oddech w piersiach zamiéra, aby się tylko wydać za niego; a chłopczysko to w kilka miesięcy ucieka!.. Pokazała sztukę, zdała egzamin, niech ją Bóg kocha. Lecz dlaczego i za co moralnie zabiła najbliższego swego krewnego, a bez kwestyi jednego z najprzyjemniejszych i najdzielniejszych ludzi?

Judyta milczała.

— Słyszałam, żeś pomagała Henrykowi w odszukaniu Maryi.

— Byłam wtedy zdania pani — odpowiedziała Judyt.

— Zmieniłaś je teraz?

— Marya kocha.

— Kogo?

— Malarza; musimy uszanować jéj uczucie i wolę.

— Waryatka... Mając do wyboru między Henrykiem, a tym chłopakiem, kogobyś wybrała? Czy jest kobiéta, któraby się zawahała?

— Marya — odparła Judyt.

— Ona jedna na całym świecie. Tém więcéj, że chłopak idyota.

— Artysta.

— Mówiący o sławnym obrazie, że w nim za mało, czy za dużo jakiegoś bizmutu.

— Podobno nikt w całém Monachium nie umié lepiéj malować aktów.

— Czego?

— Aktów...

— Choćby szyldów — pani Wiktorowa zaśmiała się. — No dobrze, dobrze, ale czego on uciekł?... W tém tkwi tajemnica.

— Faktycznie, pojechał kończyć obraz.

— A nie faktycznie musi miéć kochankę, jakąś opasłą Niemkę, pijącą piwo kuflami.

— Jeżeli ją ma, to niezawodnie piękną. Wielki znawca, a sam ładny chłopiec.

— Ty ją Judyt znasz?

— Nie wiem czy ją ma, lecz w Monachium są ładne dziewczyny.

— Tém gorzéj dla Maryi, nieuczciwiéj dla niego. Trzęsę się z oburzenia na tego chłopaka. Jakim sposobem oczarował piękną, bogatą i rozumną pannę...

— Wierzyła w jego geniusz.

— I dlatego biédny Henryk zrujnowany, ośmieszony, pod zarzutem niezdania rachunków. Okropne! I to wszystko dla jakiegoś z rozczochraną głową „bizmutu“... Dlaczego go Henryk nie wyzwie na pojedynek?

— Po pojedynku nie odzyskałby serca Maryi.

— Nigdy go już nie odzyska.—Pani Wiktorowa zamyśliła się... Coby to był za przyjemny dom w Zalesiu, pomyśl moja droga... *Mary* rozumna, Henryk wykwintny, gościnny, świetny jeździec, myśliwy... Jakbyśmy się bawiły... Gdy dziś przyjeżdżamy z litości dla Maryi.

— Malarz mało przeszkadza.

— Nie pomaga, a zawsze cięży. Ile razy spojrzę na Maryę, serce mi się kraje z litości, a ile razy na rozczochraną czuprynę i nieprzytomne spojrzenie chłopaka, śmiać mi się chce.

Powóz zbliżał się do pałacyku mieszkania państwa Wiktorów.

— Więc nic nie powiész, nie rozwiążesz zagadki?

— Nic nie wiem — odparła Judyta — zdaje się, nie ma zagadki.

— *Mary* ci się nie zwierza?

— Nie, bo jak dotąd nie ma z czego.

Na przyjęcie dam wybiegli, pan Wiktor i kuzynek Zygmunt, ten sam, którego Marya, jako pierwszego swego gościa po zamążpójściu przywiozła do Zalesia.

— Jakież wiadomości? — pytali.

— Dotąd żadne. Judyta milczy jak zaklęta.

— Jak zaklęta królewna? Jeżeli tak, odczarujemy panią— pochwycił kuzynek, podając rękę angielce przy wysiadaniu z powozu. Niech tylko pani wyrzeknie słowo zaklęcia.

— Miłość, jedyne dla pięknéj i młodéj kobiéty — dorzucił pan Wiktor.

Weszli do salonu.

— Stefa, opowiadaj — dokończył.

— Zastałam Maryę wspaniale zamyśloną i szlachetnie znudzoną. Niezawodnie ma już malarza, farb i płócien wyżéj uszu. No kuzynku— zwróciła się do Zygmunta — korzystaj, przeszkody usunięte. Przywiozłam ci dzielnego sprzymierzeńca— wskazała na Judytę. — Tylko go z jednaj. — Zwróciła się do Judyty. — Wiész, moja droga, Zyzio zakochany od pięciu lat,

— Domyślałam się tego, lecz nie wierzę w skuteczność méj pomocy.

— Judyt, jesteś jakby zlodowaciała od tego ponurego zimna, panującego w Zalesiu. My cię odchuchamy i ogrzejemy. Ucieszyłabym się nadzwyczajnie, gdyby ten chłopak po powrocie swym zastał zamkniętą bramę pałacu. Takie zakończenie całéj téj historyi byłoby najprzyjemniejsze. Jeżeli już nie Henryk, to przynajmniéj Zyzio.

— To „przynajmniéj“ — przerwał pan Wiktor— nie jest pochlebne dla kuzynka. Gdybym był na miejscu Zyzia...

— Ty, ale nie kuzynek. Rozumiemy to dobrze i zgodziliśmy się oddawna, że Henryk był pośród nas królem. Lecz jest jeszcze miejsce dla książąt krwi—podała rękę Zygmuntowi.

— A teraz wielka narada — mówiła daléj strojąc poważną minkę. — Przysięgnijcie — podniosła rękę do góry — przysięgnijcie na tajemnicę.

Zygmunt i Józef podnieśli ręce, co widząc Judyt, uczyniła to samo.

— Kuzynek zakochany szalenie w Maryi, od jutra rozpoczyna seryo pracować nad zdobyciem jéj serca.

— Praca trudna i ciężka — zrobiła uwagę Judyt.

— Praca trudna i ciężka — powtórzyła Stefa — lecz my, jak tu jesteśmy, tworzymy koalicyę, walczącą przy boku kuzynka. Wierzajcie mi, te wszystkie pancerze, ukute ze stali obowiązków i przymusu, łatwo pękają.

Rozśmiano się chórem.

— Stefa, oskarżasz się — rzekł mąż.

— Przeciwnie, ja nic nie robię z obowiązku i dla obowiązku. Kochałam mego narzeczonego, teraz kocham męża i dobrze mi.

— Marya... — zaczęła Judyt.

— Moja droga — zawołała Stefa — nie wierzę, aby Marya nieprzerwanie pałała namiętnością do malarza. Dziś ona go tylko kocha z dumy i uporu. Przełammy ten upór, a wyświadczymy jéj łaskę, nieocenione dobrodziejstwo... Od téj chwili biorę w téj sprawie dyktaturę, zgoda?...

Zygmunt ucałował jéj rękę.

— Przyrzekacie posłuszeństwo?...

— Przyrzekamy.

Judyta milczała.

— O męża i kuzynka jestem spokojną. Głównie idzie mi o ciebie Judyt.

— Nie znam swéj roli.

— Obowiązkiem bezwzględne posłuszeństwo, a rola przyjemna. Naprzykład, Judyt dziś z mego rozkazu u nas nocuje. Jutro układa z nami przepyszny bukiet, odwozi go i wręcza Maryi w imieniu naszém i kuzynka. Przy tém wolno jéj powiedzieć, nawet musi, parę wyrazów lekkich, przejrzystych jak mgła, poetycznych i tkliwych, zaadresowanych do Maryi od Zygmunta. Daléj, otrzymuje rozkaz

unoszenia się nad wszystkiemi przymiotami młodzieńca, wychwalania jego urody, rozumu i serca.

— Ależ oddawna to spełniam z przekonania.

Zygmunt uroczyście się ukłonił.

— Pojutrze przyjeżdżamy na obiad—kończyła Stefa— i nieznaznacznie, niepostrzeżenie popieramy sprawę.

Pierwszy akt, ekspozycya, zawiązanie intrygi. Akt drugi, punkt kulminacyjny, wyznanie miłości, trzeci unieważnienie małżeństwa zawartego we Włoszech, rzecz bardzo łatwa, i zamknięcie bram pałacu przed nosem powracającego malarza.

— A teraz ja proszę o głos — odezwał się pan Wiktor.

— Przeczuwam coś bardzo poważnego i bardzo nudnego — rzekła Stefa — lecz mów mój drogi — westchnęła.

— Kuzynko— stanął w obronie męża Zygmunt—uwagi Wicia...

— Mogą być rozumne, lecz nieprawdziwe. Wy się łudzicie, że nas znacie, że znacie kobiety. Nie przeszkadzam, proszę mówić.

— Nie znamy kobiét, zgoda — zaczął pan Wiktor — lecz mamy pretensyę do psychologii.

— Kobiéta jest zagadką psychologiczną, niespodzianką, tajemnicą. Lecz mów, mów, słucham.

Pan Wiktor, Zygmunt i Judyta zaśmiali się wesoło.

— Nie wydobędziecie ze mnie ani jednego wyrazu. Mówże już raz, zaczynasz straszliwie nudzić.

— Marya przedewszystkiém posiada charakter dumny i wytrwały.

— Zagramy na jéj dumie.

Pan Wiktor spojrzał po towarzystwie.

— Słuchamy cierpliwie.

Stefa zrobiła poważną minę.

— Podstawy jéj charakteru są szlachetne. Idealistka...—Zwrócił się do Judyty.—Kocha swego męża...

— Jestem tego pewną. Powiedziała sobie, że go chce kochać, musi i kocha.

— Jakże chcecie, żeby osoba dobra, szlachetna, zakochana w swym mężu, zamykała mu wrota pałacu, tém więcéj, że wierzy w niego.

— W jego geniusz i przywiązanie do siebie — dokończyła Judyta.

— A jeżeli przestanie wierzyć? Jeżeli będzie miéć dowody jego zdrady? Bo że on ją zdradza, że pojechał do kochanki, którą zostawił, jestem prawie pewna.

— Moi drodzy, Marya nie jest pospolitą kobietą i nie zniesie pospolitego z sobą postępowania.

— Będziemy postępować niepospolicie. Dyktaturę zatrzymuję, z rad skorzystam, posiedzenie przerywam. Idziemy do ogrodu. Potém wam zaśpiéwam walca Arditi przy akompaniamencie Judyty, a po kolacyi koncert: uwertura Mendelsona na cztery ręce.

Podała rękę Zygmuntowi, pan Wiktor Judycie.

— My się rozumimy — mówił cicho. — To są dzieci, pokazał oczyma na żonę i Zygmunta.

— Przyjemne, rozkoszne, wesołe dzieci — poświadczyła Judyta.

— Przykro mi, że żona moja w ten sposób zaczyna się bawić i uprawiać tego rodzaju sport. Lecz pani...

— O ja będę ostrożna. Gdyby się Marya domyślała mego udziału w spisku...

— Nigdyby pani nie przebaczyła i sprawiedliwie. Ja również nie przyłożę ręki do téj sprawy.

Nazajutrz Judyt z misternie ułożonym bukietem wracała do Zalesia.

— Jeżeli w Monachium zaczną szukać dla siebie broni, łatwo mogą zgubić chłopca. A że znajdą tę ładną niemeczkę, to więcéj jak pewna. *Mary* nie pozwoli, aby ją lekceważono, nie zniesie zdrady. Przeczuwam dramat. Biédny chłopcze, ja cię nie wydam, jestem uczciwą kobietą. Niewdzięcznością się nie odpłacam, brzydzę się intrygami, do podstępów nie jestem zdolna... Ja mogę tylko być zdradzaną.

Jakim się to sposobem stało, że człowiek, u którego przeczuwałam złe instynkta, którego się bałam, mógł mnie tak opanować, wyzyskać i zdradzić?

Zmrużyła oczy...

— Były to chwile upojenia, gorączki, szału i méj bezwładności... Cicho, cicho niech zamilkną te rozkoszne wspomnienia, i te okropne udręczenia.

Gdyby oni wiedzieli co to za straszny człowiek... Nie przestałby w ich przekonaniu być wytwornym i pięknym królem. Królowie nie przebierają w środkach. Biédna *Mary* za to tylko, że się odważyła zejść z utartych dróg, jakie chmury zaciągają nad jéj głową.

Ciekawe zaczynają się dnie. Co zrobi i jak porwie te nici intryg, w tém kwesya. Bo że Stefa nie zwycięży, nie ulega najmniéjszéj wątpliwości...

Zerwałam z tym strasznym człowiekiem i moja rola jest bierna, *Mary* panią, da sobie radę.

Zajechała do Zalesia.

— Od kogo bukiet — spytała Marya sucho i poważnie.

— Układali go Stefa, Zygmunt, pan Wiktor i ja im pomagałam. Pojutrze zjeżdżają na obiad. Chcą cię rozruszać, zabawić, pocieszyć.

— Rozrywek nie szukam, bawię się dobrze, pociech nie potrzebuję. Była rozdrażniona. Zwróciła się do Judyty.

— Co mówili, czego od ciebie chcieli?

— Mówili o twym smutku, a chcieli mnie wybadać.

— Coś im powiedziała?

— Że nie jesteś smutna, a mąż twój pojechał kończyć obraz.

— Nie uwierzyli?

— Z pewnością.

— Pokażemy im, że nie jestem smutna. — Zadzwoniła gwałtownie, służący stanął we drzwiach.

— Dwóch posłańców konnych natychmiast. — Zwróciła się do Judyt.—Układajmy listę tych, których zaprosimy na obiad. Napisz kartkę od siebie do Stefy, że jutro wielki proszony obiad i dodaj, że ja wystąpię w tualecie koloru Nilu, ubranéj białemi, strusiemi piórami... To będzie dla nich wskazówką.

— *Mary*, to wszystko jest dziwne.

— To konieczne, zapewniam cię, że jestem panią siebie i nią zostanę... Podrażnię ich troszkę i zemszczę się.

Mary ją pocałowała.

Podczas proszonego obiadu za oleandrami ustawionemi w rogu salonu, umieszczono sprowadzoną z miasta orkiestrę wojskową, złożoną z ośmiu dzielnych muzykantów. Tony walca rozbrzmiewały przyjemnie.

Niespodziankę przyjęto z radością.

Marya czarowała wdziękiem, wesołością, a nawet sportem flirtu, nie oszczędzając nikogo.

Po skończonym obiedzie rozpoczęły się tańce, pierwszy raz w Zalesiu od niepamiętnych czasów.

Towarzystwo dobrane, muzyka wyborna, świetne tualety, młodzież olśniona pięknością pań, rozweselona szampanem, wszystko razem składało się na uroczą, pełną życia całość.

Stefa ściskała serdecznie za ręce Judytę. Była pewna, że wta-

jemniczyła Maryę w jéj plany i na znak zgody młoda gospodyni Zalesia wyprawiła balik.

— Marya sprytna osóbka. A jaka dziś rozkoszna — szeptała Stefa do ucha Judyty. — Moja droga, odrazu przeczułam, że to niemożebne, aby ten rozczochrany chłopak miał tu całe życie panować.

I nie czekając na odpowiedź, pochwycona przez Zyzia, ślizgała się z wdziękiem i upojeniem po gładkiéj posadzce.

Zmęczeni siedli razem na oddalonéj kozetce, prowadząc cicho żywą rozmowę. Młodzieniec rozpromieniony, wodził rozmarzonemi oczyma za przesuwającą się w tańcu Maryą.

Po wieczerzy, zetknąwszy się z Judytą, pocałował ją z wdzięczności w rękę.

O trzeciéj dopiéro rozjeżdżali się rozbawieni goście.

— *Mary*, jestem dziś tobą zachwycona — mówiła jéj przy pożegnaniu Stefa.—Dopiéro dziś widziałam cię prawdziwą naszą, nieskrępowaną... Gdyby to mogło tak pozostać na zawsze, uścisnęła ją znacząco...

W rannym szlafroczku wsunęła się Marya do pokoju Judyty. Była niezwykle ożywioną.

— Odgadłam wszystko.

Judyt rozwarła szeroko oczy.

— Ten banalny, wypchany komunałami, uczesany na gładko Zyzio...

W chwilach zirytowania używała języka męża.

Judyt usiadła na łóżku.

— Formalnie chce zdobyć moje serce. Mówił mi o swych idealnych uczuciach, szlachetnych pragnieniach... A o Zalesiu, jako o raju.

— Za prędko — szepnęła Judyt.

— Tém lepiéj. Są to projekta Stefy. Ona ułożyła cały plan.. Judyt, za kogo oni mnie biorą? Komiki, prawdę mówił Adam... Bawi mnie to i zarazem gniéwa. Artyście nie wolno pojechać do miasta, aby skończyć obraz, radzić się swych mistrzów? Tego nie mogą rozumiéć, w głowach ich wyradzają się potworne projekta, śmieszne i małe jak ich pojęcia.

Wzburzona, zaczęła chodzić po pokoju.

— Dobrze się stało. Pokazałam im, że jestem wesołą i szczęśliwą. A teraz zamykam dom.

— Tak odrazu *Mary*, niepodobna.

Marya mówiła daléj:

— Zygmunt zapewne przyjedzie za dwa dni z nowym bukietem.

Nie przyjmę go, a ty mu powiész, że w nieobecności męża ani młodych mężczyzn, ani od nich bukietów nie przyjmuję.

— Srodze ukarzesz biédnego chłopca.

— Przetnę odrazu intrygę. Cóżbyś pomyślała o mnie, gdybym pozwoliła na dalsze wizyty Zyzia? Flirt, jako salonowy sport, dla zabicia czasu jest przyjęty i uznany. Co z nimi robić, o czém mówić? Lecz flirt we dwoje, przyjmowanie z pobłażaniem, lub naiwnością nieświadomości dziecka, czułe apostrofy młodego mężczyzny, pozwalanie aby mnie obejmował wzrokiem, całował promieniami oczu... Na tego rodzaju rozrywki, zabawy, romanse, nazwij jak chcesz, szanując samą siebie, pozwolić nie mogę.

— *Mary*, ja cię podziwiam.

— Za co, moja droga, gdy ja niczém inném nie jestem jak najzwyklejszą uczciwą kobietą. Patrz, jak upadliśmy, biorąc pospolitą uczciwość za bohaterstwo. To ja raczéj powinnam ci być wdzięczna, że w młodości méj nie prowadziłaś mnie na pasku konwenansów i utartych, ciasnych form życia naszego. Żeś mnie karmiła arcydziełami mojéj i twojéj literatury, że mi pozwoliłaś rozwijać się saméj, i jak kwiaty wyciągać kielich do słońca rzeczywistéj prawdy.

Odetchnęła, przeszła przez pokój i zamyśliwszy się, uśmiechnęła łaskawie.

— Zyzio jest miły, ładny chłopiec, lecz porównaj go z Adamem, z tą artystyczną duszą o potarganéj czuprynie i zapatrzonym wzrokiem w głąb swych myśli... Porównaj moja droga, rozśmiała się głośno i wesoło. Domyślam się, że całe moje sąsiedztwo oburzone jest na Adama za to, że za mało jest wykwintnym, za mało eleganckim, za mało wymownym na ich sposób... Wyobraź sobie artystę, mówiącego czułe madrygały jak Zyzio, uśmiechającego się jak Wiktor, wykwintnego jak Teodor. Czyż nie byłby śmiesznym w tych rolach? On musi przecie mieć swój sposób bycia, musi przedewszystkiém być sobą.

Tego nie rozumieją i gniewają się za to, że można kochać człowieka, któryby nie był do nich podobny. Zrobimy im niespodziankę. Judyt dobranoc ci.

Wyszła.

— I to mówi młodziutka kobiéta, tylko co po skończonym balu, na którym królowała, psuta hołdami i hymnami podchlebstw... Jakąż siłą i sztuką wmówiła w siebie, że go kocha. *Mary*, dziwny w tobie hart duszy i surowość o jakich nie mam pojęcia. Ty jesteś mistrzem saméj siebie, jak byłaś absolutną panią swéj woli, gdy weszłam w twój dom. Co zrobią Stefa i Zygmunt?... Stefa, o ile ją znam, nie ustąpi

tak łatwo. A w każdym razie mścić się będzie. *Mary*, jeżeliś ty wyzwała i pokonała Henryka, króla piękności i siły...

Zmrużyła oczy i marząc o nim, usnęła.

Tego samego dnia rano, Roman w swéj kancelaryi pisał do Adama.

„Ulisesie, jeżeli nie jesteś idyotą, wracaj natychmiast... Musiałeś już dosyć nałykać się artystycznego powietrza, ugadać z braćmi cyganami, i... nie wiem co, odpycham od siebie złe myśli. Ale już dosyć tego. Przez szacunek dla samego siebie, przez miłość do żony, wracaj“.

Roman.

Przeczucia Maryi sprawdziły się. Zygmunt trzeciego dnia przyjechał, przywożąc wspaniały bukiet.

Przyjęła go Judyta.

— Z uroczystéj miny pani przeczuwam, że musiało się coś stać złego.

— Nieszczęście—dokończyła.—Robiliście za gwałtownie.

— Cóż więc?

Mary odgadła plany pani Stefy i pańskie zamiary. Sprytna, wzrok ma orła, nie da się podejść.

— Zaręczam pani, sama wyzywała i ciągnęła do oświadczeń — tłómaczył się Zygmunt.

— Aby zdemaskować nieprzyjaciela. Dopóki mąż nie wróci, dom zamyka, bukietów od młodych mężczyzn nie przyjmuje.

Zygmunt podał bukiet Judycie.

— W dowód méj wdzięczności i sympatyi.

— Dziękuję, domu nie zamykam i nie oczekuję powrotu męża.

— A więc bal, muzyka, szampan, świetne tualety, wszystko było użyte jako broń, do zdemaskowania?

— Prawdopodobnie...

— Powiem pani szczerze i otwarcie, że kuzynka moja postąpiła sobie nieuczciwie. Nie żartuje się z uczuć i nie zmusza do wyznań, z postanowieniem odepchnięcia ich. To nie delikatnie... Lecz pani Marya o tych subtelnych przejawach serca nie miała nigdy i nie ma pojęcia. I to tłómaczy jéj pociąg do natur szorstkich i grubych. Do widzenia, w przyjemniejszych dla nas obojga czasach.

Mówił głośno, w nadziei, że Marya przysłuchuje się jego rozmowie z sąsiedniego pokoju.

Nadzieje go zawiodły, Marya się nie przysłuchiwała, Judyt poważna, w wyrażeniach ostrożna, odprowadziła go na werendę.

— Boże, ileż to rodzajów na świecie uczciwości? Jeżeli Zyzio wystąpił z tak śmiałym aforyzmem, to Stefa zrobi z mojéj biednéj *Mary* zbrodniarkę.

Weszła do pokoju Maryi.

— Wszystko skończone, bukiet mnie ofiarowany. Nie przesadzę, jeżeli powiem, że był wściekły. Mówił, żeś go prowokowała.

— Tylko słuchałam cierpliwie.

— Chciałabym być za godzinę w salonie Stefy. Wpadnie w furyę. Straszliwie nie lubi, jeżeli się jéj projekta nie udają. Wiktor będzie tryumfował.

— Mąż jéj jest rozsądny i uczciwy człowiek. A na zemstę Stefy jestem przygotowaną.

Nie mówiono dłużéj o tym przedmiocie.

* * *

Nastała zima, paki książek przyszły z Krakowa, Marya z namiętnością oddawała się gospodarstwu, lgnęła do ludu, który przepadał za swoją jasną, pomstując pocichu na „ciaracha“, który takie śliczności odleciał.

Od Adama rzadko przychodziły wiadomości, a i te były krótkie, urywane.

Żelazna brama, prowadząca do pałacu, nie otwierała się. Proboszcz, interesanci i Marya wjeżdżali od strony zabudowań gospodarskich.

Sąsiedzi i sąsiadki zaledwo widywali Maryę na drodze do powiatowego miasta. Powoziła się zwykle sama z energią i dzielnością jéj tylko właściwą.

W téj ciszy spokojnego i jednostajnego życia, Roman promieniał radością i czcią dla swéj bratowéj.

— Myślałeś, że będę szaléć, a może mścić się na Adamie. Za co?... jestem pewna, że on tam ciężko pracuje.

Jednego z ponurych, śnieżnych dni, przyniesiono pocztę, dzienniki i list z Monachium. Na wytwornéj kopercie adres napisany kobiecą ręką.

— Jakaś niespodzianka — odezwała się Marya do Judyty, rozcięła kopertę, przeczytajmy podpis — „Nieznana lecz współczująca przyjaciółka“.

Zapaliła świécę, list przyłożyła do ognia, buchnął płomieniem.

— Nie prosiłam nieznanéj o współczucie, listów bez podpisu nie czytam. Jeżeli to jest potwarz, mimowolnie zawsze jakaś cząstka jadu zostałaby w mém sercu. A jeżeli jest prawda, pocóż się nią

dręczyć; najlepiéj jak najdłużéj jéj nie znać. Zawsze się zjawi: im późniéj, tém lepiéj...

— *Mary*, *Mary* — wołała Judyt—wprowadzasz mnie w podziw.

— Ależ nie ma nic godnego podziwu. Każda kobiéta kochająca męża postąpiłaby tak samo. Jeżeli to jest zemsta Stefy, uniknęłam ciosu, a jeżeli niedźwiedzia przysługa nieznajoméj przyjaciółki, nie doświadczam jéj skutków. Chciéć wierzyć i wierzyć, to wielka pociecha w naszém biedném życiu.

— *Mary*, pozwól mi pojechać do Stefy...

— Zawsze, kiedy ci się tylko podoba. Dnie krótkie, jedź na obiad...

Zadzwoniła, dając rozkaz założenia do sanek koni.

— Cóż ta waryatka, zakochana w rozczochranym chłopaku?

Takim tonem spytała się Stefa o Maryę. W głosie jéj czuć było oburzenie i niepohamowany gniéw.

Judyt opowiedziała historyą anonimowego listu.

— To tylko poświadcza wysoki stopień jéj zaślepienia, posunięty do idyotyzmu, utraty rozsądku...

Judyt wystąpiła z energiczną obroną.

— Napróżno moja droga, napróżno— mówiła Stefa poważnie. — Czuć w całéj téj sprawie zacięty upór rodowy, rodzaj zboczenia umysłowego. Bo jakże to wszystko inaczéj wytłómaczyć, powiédz sama? Z początku Wicio ją bronił, Zyzio czuł się upokorzonym i dotkniętym; lecz powoli dali sobie wytłómaczyć i zgodzili się na to, że w téj kobiecie dają się spostrzegać objawy niezgodne z pojęciami ludzi rozsądnych i rozumnych. Jest to opinia całéj prawie okolicy. Dosyć już mamy malarza i jego żony, nie zajmujmy się niemi dłużéj...

Judyt, zgnębiona niesprawiedliwością względem ukochanéj swéj *Mary*, wróciła smutna do Zalesia. Czekał na nią w jéj pokoju list. Mimo, że charakter na kopercie był zmieniony, poznała pismo Henryka.

— Nigdy, nigdy — zawołała przerażona.

Pochwyciła nerwowo list i z obawy, aby za chwilę nie upadła na duchu i nie otworzyła, rzuciła go gorączkowo na ogień płonący w kominku. Odetchnęła, podniosła w górę ręce i dziękowała Bogu za swój heroizm i zwycięstwo nad samą sobą.

Niezwykle ożywiona pobiegła do Maryi, opowiadać jéj gniéw i oburzenie Stefy.

— Stefa zawiedziona i pokonana, miota się i ciska pioruny.

Marya rozkoszowała się swym tryumfem. Judyta zwycięstwem nad sobą, chociaż nie zdradziła się ani jedném słowem. Dopiéro

w nocy, gdy położyła się do łóżka, zaczęła się wytwarzać w jéj umyśle reakcya.

— Może on jest nieszczęśliwy, biédny, chory, wzywa méj pomocy, wyciąga do mnie ręce.

— Nigdy — zawołała — nigdy...

Następnych dni niecierpliwie oczekiwała posłańca z poczty a bała się jego przybycia.

Dnie jéj płynęły w rozdrażnieniu i gorączce. Była zamyślona i roztargniona, przesiadując długie godziny w swoim pokoju.

— Czego on odemnie chce, gdzie ja się przed nim schronię, gdzie ucieknę.

W dwa tygodnie późniéj przyszedł drugi list z Paryża. Schowała go pośpiesznie do kieszeni sukni z silném postanowieniem, że go wieczorem spali, tak samo jak pierwszy. Inaczéj się stało. Przed pójściem do łóżka otworzyła go drżącemi rękami, czytała...

Droga memu sercu Judyt!

„Maltretujesz mnie swém milczeniem. I za co najdroższa? za co się znęcasz nad biedakiem, którego morduje zawzięty los... Cóż ci zawiniłem?... Czy dla tego się pastwisz, żem ci oddał serce i myśli me, że tęsknię za tobą i pragnę cię całą siłą mego skołatanego serca?...

Zabierz swe oszczędności, przyjeżdżaj... Nic się nie stanie, czego sama nie zechcesz. Teraz ty będziesz rozkazywać... Zobaczysz i poznasz o ile jestem pokornym, cichym i posłusznym na każde skinienie twéj woli... Czekam spragniony.

Judyt moja, całuję twoje usta, białe ramiona, rozkoszne piersi, łabędzią szyję...

Twój na wieki
Henryk.“

Opanowana czułością, zaklęciami, zwyciężona, rozbierała się szybko, list schowała pod poduszkę, położyła się i powtarzając w myśli: całuje twoje usta, twoje białe ramiona, twoją łabędzią szyję, zasnęła.

Nazajutrz rano czesząc się, z lubością przypatrywała się białości swych ramion, piersi i łabędziéj szyi.

— Tu mi dobrze, cicho, spokojnie, kocham *Mary*, mam wszystko czego zapragnę, tylko mi ciebie brakuje. Boję się, drżę, czuję, że nie ja, lecz ty masz władzę nademną i dla tego nie wyciągniesz mnie stąd, chociażbym z taką rozkoszą rzuciła się w twoje ramiona. Ach z taką rozkoszą całowałabym twoje usta i mdlała w twych silnych objęciach.

Po śniadaniu zaczęła rachować swoje oszczędności, składać listy, pamiątki, biżuterye, przeglądać suknie... Obiad przeszedł smutno.

Roman nieśmiały, zamyślony, milczał. Adam przestał odpowiadać na jego gwałtowne listy. Marya odosobnieniem swém, zamknięciem domu, po chwilach radości upokarzała go. Uczciwa jego natura oburzała się; na brata, połowę winy przyjmował na siebie, radby był uciec, żałował swéj pozycyi dzierżawcy na folwarku.

O szaréj godzinie Marya przeszła do swego pokoju. Nie skarżyła się, lecz Roman i Judyt spostrzegli na jéj twarzy, w jéj obejściu, postawie, znużenie. Oczy podkrążone sinawemi obwódkami, dziwnie błyszczały.

Nie śmieli zwierzać się wzajemnie ze swych spostrzeżeń. Panna służąca przyszła z prośbą od swéj pani, aby Judyta grała „Nocturn“ Chopina, lub „Pieśni bez słów“ Mendelsona.

Drzwi salonu otworzono, nie zapalano światła, pokoje wypełniły się srebrném światłem księżyca. Po godzinie muzyki, Judyta zastała Maryę leżącą na otomanie. Usiadła przy niéj, ujęła jéj rękę.

— Dziękuję ci: muzyka uspakaja poszarpane moje nerwy. Nie pojmuję co się ze mną dzieje, nie sypiam po nocach, nieokreślony smutek opanowuje mnie i bierze w posiadanie. Książki, zajęcia gospodarskie, praca choćby ciężka, nie wystarczają. Czuję, jak powoli tracę siły, energię a z niemi zapał do życia. Żal mi poczciwego Romana, dręczy się, schudł, zczerniał... Boję się, żeby i on nie uciekł. Smutno zaczyna być w Zalesiu!... Jakże mi przyjemnie, że ty moja Judyt jesteś ze mną, przy mnie. Bez ciebie czułabym się strasznie osieroconą. My się już nie rostaniemy nieprawdaż?

Judyt milczała.

— Przysięgnij mi, że nigdy mnie nie porzucisz. Jestem pod wrażeniem, że wszyscy niedługo mnie opuszczą... I zostanę sama na pustym świecie.

— Nie porzucę cię—przerwała jéj nerwowo Judyta —nigdy, tylko droga *Mary* uspokój się. Jestem pewna, że twoja samotność się skończy i będzie nam znowu dobrze... *Mary*, *Mary* panuj nad sobą, cierpię twoim smutkiem.

Tuliła się do niéj całując jéj włosy, czoło, ręce.

Duma Maryi nie pozwalała się skarżyć, lecz serce jéj i umysł opanowały dziwnie poplątane uczucia smutku, żalu, wstydu. Powoli pod wpływem serdeczności Judyty rozgadała się, marzyły obie głośno, dopóki znowu młodość nie zobaczyła jasnych promyków nadziei.

Judyt późno wróciła do siebie. Pod świeżem wrażeniem rozbudzonego przywiązania do Maryi pochwyciła pióro:

„Kocham Mary i nie rozstanę się z nią nigdy... Mąż ją odjechał, jest sama, smutna, potrzebuje méj opieki... Bądź zdrów...

Judyta“.

List zaadresowała włożyła go do torby pocztowéj i odniosła do kancelaryi Romana.

— *Mary*, po raz drugi zwyciężyłaś— szeptała.— Boże, Boże, żebym już nigdy na te straszne próby nie była wystawiona.

Zamyśliła się.

— Tęskno mi za nim i jego pieszczotą. Listem swym rozdmuchał ognie, tlejące na dnie serca i w mych uciszonych nerwach... Dlaczego ty tak strasznie każesz sobie płacić?! Nigdy! nigdy! Panie—rzuciła się na kolana — jestem słaba, nędzna... Ratuj, daj więcéj sił.

W parę tygodni późniéj, Judyta odebrała potajemnie przez żyda z miasteczka kartkę szczelnie zaklejoną.

„Pod jakimkolwiek pozorem, byle *Mary* nie wiedziała, że do ciebie piszę, przyjeżdżaj do nas dziś, koniecznie dziś... twoja

Stefa.“

— Znowu jakieś nowe pomysły, nowe projekta, a pewno nowe szaleństwa Stefy...

W pierwszéj chwili nie miała ochoty jechać, późniéj zwyciężyła ciekawość i tęsknota za dobrém towarzystwem, rozrywką, wesołością i flirtem, za którym przepadała.

Ubrała się szybko z właściwym jéj smakiem, a nawet pewną kokieteryą, odjechała.

W oknie pałacyku stała Stefa, witając ręką Judytę. Za Stefą dostrzegła sylwetkę mężczyzny. Serce jéj zadrżało, na twarz buchnęły ognie, nie mogła powstać. Zaledwo przy pomocy służącego dźwignęła się. Drżącemi rękami odpinała futro, tchu jéj brakło w piersiach.

Wpadła Stefa.

— Judyt, dziękuję ci—zaczęła po angielsku — jestem pewna, że nie zdradziłaś tajemnicy wezwania cię tu. Jesteśmy w nowéj fazie ratowania *Mary*. Przygotuj się na miłą niespodziankę. Zdziwisz się i pewno przestraszysz swoim zwyczajem, a zarazem ucieszysz, bardzo się ucieszysz. Pochwyciła ją za rękę.

— Chodź, chodź, trzymaj się mężnie.

Judyta miała czas oprzytomniéć i zapanować nad swém wzru-

szeniem, była jednak blada, czuła, jak jéj ręka, ujęta dłonią Stefy, drżała.

Weszły do salonu.

Zawsze jednakowo wytworny, piękny, spokojny, dobrotliwie i łaskawie uśmiechnięty, stał Henryk.

— Otóż jest i nasza serdeczna przyjaciółka — przemówił słodko. — Znowu znaleźliśmy się razem, jak dawniéj, jak przed rokiem. Brak tylko jednéj *Mary*.

— Nie mów tak — przerwała Stefa — bo mi się zdaje, że *Mary* umarła, pałac w Zalesiu jest jéj grobem i nigdy, nigdy już jéj nie zobaczymy. To jest tak straszne i przejmujące, że myśléć o tém nie mogę.

Powiedziała to umyślnie, aby pobudzić wrodzoną egzaltacyą Judyty, wzruszyć ją i opanować.

— A i ty, moja Stefo, nie mów o śmierci w chwili przywitania się z gościem tak niespodziewanym, odpowiedziała Judyta, zsuwając się ze wzruszenia na kozetkę.

Wyrazy: śmierć i Marya wstrząsnęły ją.

— Prawda, że niespodziany — pochwyciła Stefa...— Dowiedział się, że rozczochrany, bizmutowy malarz uciekł od żony do kochanki i przyjechał postawić ostatnią stawkę. Cóż ty na to Judyt?

Judyta spojrzała na Henryka, wpatrywał się w nią, jak gdyby w duszy jéj chciał wyczytać wyrok.

Jego głębokie spojrzenie, spokój i uśmiech szatański przejęły ją dreszczem. Zamyśliła się.

— Ten piękny mężczyzna, wielki pan, bożyszcze kobiét, to mój kochanek — przemknęło się jéj przez myśl. Przypomnienie to upajało ją — westchnęła.

— Judy, wzdychasz tylko. Nie masz nic dla Henryka prócz westchnienia nad jego dolą?...

— Niestety, nic więcéj. Znacie *Mary*, ostatnia walka pana Henryka z nią zostawiła w jéj umyśle niezatarte ślady.

— A gdyby upatrzył odpowiednią chwilę — zawołała entuzyastycznie Stefa — rzucił się przed nią na kolana i potokiem wymowy rozdarł jéj serce na dwoje. Wobec zdrady jéj męża, obrażonéj dumy, samotności, przygnębienia, wspomnień młodości... Wobec piękności Henryka, jego powłóczystego spojrzenia, którém wszystkie nas sidła, może się ostać, powiedz?...

Judyta milczała, blade rumieńce wystąpiły na jéj twarz, oczy przysłoniła. Niespodziewanie opanowało ją uczucie zazdrości, nie mogła go pokonać, nie była nawet w stanie z niém walczyć.

— Judy odpowiadaj — zawołała zirytowana Stefa. — Milczysz tak zawzięcie, jak gdybyś była stronniczką rozczochranego bizmutu.

Judyta uśmiechała się smutno.

— Żadnéj rady dać nie potrafię, gdyż nie mogę brać jéj na swą odpowiedzialność. Gdyby Mary dowiedziała się o mojéj schadzce z panem Henrykiem, wypędziłaby mnie. Na to mogę przysiądz.

— Nie dowié się. Oprócz naszéj osobistéj służby, która umié milczéć, nikt nie wie o jego przyjeździe. Powiédz, czy jest możliwa zgoda między nimi, mów z ręką na sercu.

Judyta odparła ruchem głowy, że nie...

— Ale bo widzisz co innego Zyzio, co innego Henryk. Przyznaję, że protegując Zyzia do Maryi, popełniłam niedorzeczność. Zyzio w porównaniu z Henrykiem?... Spojrz tylko na niego. Po powrocie z Paryża więcéj jeszcze roztacza dynstynkcyi. Gdyby nie to, że kocham mego męża, sama szalałabym za nim. I jeżeli ty nie jesteś w nim zakochana, podziękuj swéj angielskiéj zimnéj krwi i swemu purytanizmowi...

Judyta uczuła na twarzy rumieńce, Stefa zaczęła się śmiać.

— Judy, te rumieńce upokarzają twój purytanizm. Kto wié czy ty nie jesteś zazdrosna o Henryka i dla tego nie życzysz sobie jego zgody z Maryą.

— Gdyby nawet tak było, gdybym była zakochana w panu Henryku, to przecież wolałabym go miéć obok siebie w Zalesiu, jak nie widywać wcale.

— Brawo, wybornie, droga Judy. I my jesteśmy tego samego zdania, mamy te same pragnienia, chcemy aby był blisko nas, a często z nami. A zatém musi być w Zalesiu. Wprowadzamy go do Zalesia!...

— Niepodobna — rzekła Judyta poważnie. — Marya nienawidzi pana Henryka.

— Przeciwności schodzą się i dla tego jutro może go pokochać.

— Nie rozumiész mnie. Po katastrofie gonitwy i ucieczki, nie wolno wymawiać wobec niéj imienia Henryk.

— A więc ta waryatka, ze swą idyotyczną miłością do rozczochranego głupca, nigdy nie ustąpi.

— Nigdy — potwierdziła Judyta poważnie.

— Oburzenie i gniew mogą doprowadzić do szaleństwa. Bo i czego ta malarka żyje na świecie i zawadza drugim?...

Stefę przeciwności silnie rozdrażniały, nie była w stanie nad sobą panować. Wzburzona chodziła po salonie, chłodząc się nerwowo wachlarzem.

Henryk wpatrywał się w Judytę; przerażona angielka nie śmiała oczu podnieść. Rada była uciec, nie miała sił podnieść się.

Niehamująca się w wybuchach młoda kobiéta bez myśli wypowiedziała słowo, które z przerażenia zatrzymywało bicie serca Judyty, zapierało oddech.

Stefa wyczerpana gniewem, zdenerwowana panującém milczeniem, wyszła z salonu.

Henryk odgadł bieg myśli Judyty, dostrzegł na jéj twarzy przerażenie, usiadł obok niéj na kozetce, ujął ją w pół, przytulił, rękę jéj poniósł do ust, całował.

— Znam nienawiść *Mary* do mnie, domyślam się jéj wstrętu. Milczałem jedynie dla tego, aby się nie sprzeciwiać Stefie. Przyjechałem nie w zamiarze przebłagania Maryi. Czuję przepaść rozdzielającą nas, któréj nic nie zapełni... Judy droga, dlaczegoś się tak okropnie ze mną obeszła? dlaczego tak nieludzko odepchnęłaś mnie? Czy dla tego, że biédny, opuszczony, zmaltretowany przez los, potrzebuję cię, tęsknię za tobą, pragnę... Ach jak ja cię pragnę! — dokończył szeptem, tuląc ją silniéj do siebie.

Judyta omdlewała w jego objęciach.

— Zostaniesz tu? — spytał namiętnie.

— Niepodobna—odpowiedziała cicho Judyta. —Stefa jest podejrzliwa, zazdrosna, rozdzieli nas piętrem i kilkunastu pokojami.

— A więc powiedz, że przyjedziesz do mnie. I nie rozstaniemy się już nigdy! Potrzebuję kobiety dobréj, łagodnéj, rozumnéj, potrzebuję ramienia, na którém mógłbym skołataną głowę złożyć. Judy, ja pragnę twych pieszczot, twego serca...

Judyta zmrużyła oczy, oddychając głęboko.

— Ja się ciebie boję — wyszeptała.

— Nic się nie stanie, czego sama nie zapragniesz, czego sama nie rozkażesz. Nigdy usta moje nie wymówią żądania, które mogłoby cię przerazić, przysięgam ci. Wierzysz?...

— Muszę—odpowiedziała; lecz czuć było w jéj głosie poddanie się woli silniejszego.

— Czekam cię w Paryżu.

— Nie teraz—pochwyciła Judyta nerwowo. — Ja kocham *Mary* i nie opuszczę jéj, póki mąż nie wróci.

— A jeśli nie wróci?...

— Wróci, z pewnością wróci. Niepodobna na chwilę przypuszczać, aby nie wrócił. *Mary* jest ładna, łagodna i kocha go. Malarz może być, że jest dziki, lecz ma rozum...

— Chłopa—dokończył Henryk—nie ucieknie od omasty.

— I artysty — dodała Judyta — gardzi mamoną, lecz dużo jéj potrzebuje.

— A więc?...

— Gdy *Mary* odzyska męża.

— Jakże cię pragnę—mówił słodko—jak kropel rosy na pustyni mego życia. Droga moja, jedyna Judyt, nie odepchniesz mnie, chociaż jestem biédny i nieszczęśliwy.—Przytulił się do niéj.

Judytę przeszły rozkoszne dreszcze.

— Jeżeli przyjadę, to jedynie dlatego, że jesteś biédny i nieszczęśliwy, że mnie pragniesz, że ci będę potrzebną.

Spojrzała mu w oczy.

— Musisz mi przysiądz, że nigdy nie wspomnisz...

— Przysięgam ci na wszystko, na co tylko chcesz. Złamany życiem, potrzebuję serca, ciszy, zapomnienia. Innych pragnień nie mam.

Z za portyery ukazała się twarzyczka Stefy.

— Gruchacie, jak dwa gołąbki. Idylla wobec grozy położenia. Historycy podobno mówią, że tak zawsze bywa. Podczas strasznych dni rewolucyi francuskiéj romansowano na zabój... Może przeszkadzam?

— Prosimy! — zawołali jednocześnie Henryk i Judyta, siląc się na wesołość.

— Kilka lat przeżyliśmy razem z *miss* Judyt, prawie jakby pod jednym dachem—mówił Henryk. — Pomyśl, kuzynko, ile mamy wspólnych wspomnień.

Judyta zerwała się, chcąc ukryć wzruszenie, zbliżyła się do pianina i zaczęła grać etiudę Szopena.

Podczas obiadu nie mogła zapanować nad sobą. Niespokojna, roztargniona, wywoływała uśmiechy na usta Stefy.

Przed wieczorem odprowadzona do powozu przez Henryka — odjechała.

— Cóż ci mówiła angielka?

— O samych niepodobieństwach. I wierzę jéj. Trzeba znać dziki charakter Maryi, jéj zawziętość, dumę i gwałtowność.

— Cóż myślisz robić?

— Po spieniężeniu resztek méj fortuny wracam do Paryża.

— Nie uwierzysz, jak mi cię żal... Już to mamy prawdziwy pech.

Pogroziła w stronę Zalesia.

— Znienawidziłam tę ogłupiałą demokratkę, czy waryatkę — i noga moja nie przestąpi progu jéj domu.

Stefa, nie mogąc się długo utrzymać na tragicznych koturnach, zmieniła ton.

— Zbałamuciłeś poczciwą Judyt, była prawie nieprzytomna.

— Radbym się troszkę na niéj zemścić. Ona to protegowała malarza, pod jéj opieką rósł i dojrzéwał romans Maryi. Gdyby Judyta nie miała przewróconéj głowy śmiesznym romantyzmem, gdyby w tym kierunku nie kształciła Maryi, gdyby nareszcie nie faktorowała, Marya byłaby dziś moją żoną.

— Zmarnowała idyotka dwoje ludzi, z wdzięczności za kawałek chleba i wygodny kąt. Nie ma nic głupszego na świecie nad stare panny... Zemścij się i ukarz ją... Czy tylko nie w sposób, który dla niéj będzie rozkoszą i upojeniem.

Rozśmiała się srebrnym, wesołym głosem i uciekła.

— Kuzynko, kuzyneczko—wołał za nią Henryk.

— Zagalopowałam się, jestem zarumieniona ze wstydu, wrócę, gdy zapomnisz.

— Nic nie słyszałem.

— Słyszałeś! Po każdéj powiedzianéj niedorzeczności muszę chwilę w samotności przepędzić.

Henryk został sam w wielkim salonie. Podniósł dumnie głowę, zacisnął usta.

— Judyta jest moją — dramat się rozpoczął, przeprowadzenie szczegółów odemnie zależy. Judyty dziś jestem pewny... Malarzowo, ty mną gardzisz, walka nieskończona. Za dużo nas dwoje na tym padole płaczu i małych przyjemności. Tyś mi zostawiła płacz, przyjemności zagarnęłaś dla siebie,—to niesprawiedliwie... Przyjdzie i na mnie koléj. Z jaką rozkoszą wypędzę tych drabów z folwarku... Starszego za kradzież kasy, — skradnie ją z pewnością, — każę okuć w kajdany i odstawić piechotą do powiatu... On mi zarzuca niedokładności moich własnych rachunków i nadwerężenie mojéj kasy, — błazen, nędznik...

Zacisnął pięście, a straszny był w wybuchu gniewu i zawziętości.

Judyta zgnębiona, oczarowana, wracała do Zalesia.

— Nie kochałam nigdy, nie znam tego uczucia, lecz jeżeli ono objawia się przez bojaźń, a zarazem niewolnicze posłuszeństwo — to pewno kocham. Boję się go, a mimo to nie jestem zdolna oprzéć się mu. Radabym uciec, a pojadę do niego i za nim na koniec świata... Przygniata mnie siłą i spokojem, a zarazem upajam się jego obecno-

ścią i lgnę do niego... Jeżeli to jest miłość, kocham go, ale jakże jestem nieszczęśliwa. Miłość dla biédnéj siéroty, jak ja, jest cierpieniem, szamotaniem się i zgryzotą.

Zaczęła cicho płakać.

— *Mary*, moja *Mary*, bądź co bądź, nie zostawię cię saméj w Zalesiu. Może zapomnę, może zapanuję nad sobą, może się zwyciężę... Jakżebym rada, lecz czuję, że to nad moje siły.

X.

Jaskółki zjawieniem swém dały znać o wczesnéj wiośnie. Rozstąpiły się ciemne chmury, ciepły, południowy wiatr przeciągał, ostatnie smugi zczerniałego śniegu topniały! Życie budziło się gwałtownie w naturze.

Z jaskółkami przyleciał do Zalesia telegram, zaadresowany do Romana.

„Skończyłem,—czekam wyroku—ani słowa przed nikim.

Adam.“

Nieśmiało, lecz z promykiem nadziei w oczach, wsunął się Roman do pokoju Maryi.

Przeczytała telegram.

— Nareszcie, — zawołała radośnie. — Rozpogódź lice okrutny i niesprawiedliwy bracie. Żal mi cię było, mój Romku. Bałam się, abyś nie uciekł... Nie jesteśmy artystami i nie rozumiemy ogni palących się w tych wyjątkowych organizmach, — nie rozumiemy oryginalnego biegu ich myśli i objawów ich uczuć... Adam ciężko pracował, suszył mózg, szarpał nerwy i to wszystko dlatego, jak mi sam mówiłeś, że ja chcę mieć męża wielkiego artystę... Tak, prawda — chcę... I dlatego, że ja chciałam, a on pojechał spełnić moją wolę, dokuczaliśmy mu, krzywdzili go, a w ostatnich czasach zaniedbali.

— Ten łotr ma dzielnego obrońcę — zawołał rozpromieniony Roman. Lecz dlaczego milczał?

— Literatem, ani poetą, jak Michał Anioł, widocznie nie jest. Ja byłam obojętna, tyś naglił gwałtownie do powrotu. Odbiérał twe listy w chwilach najcięższych zapasów. Jako niezrozumiana ofiara naszego teroryzmu—zniechęcił się.

— Za chwilę my będziemy winni, a on będzie biały, jak śnieg, niewinny jak baranek...

— Bo tak jest rzeczywiście.

Roman zaczął się śmiać, lecz dla zamaskowania łez, które się cisnęły do jego oczu.

— Nie, jak Boga kocham, Marynia dla tego urwisa jest nadto dobra, jak i dla nas wszystkich. Przyciskał jéj ręce do ust rozrzewniony.

— Tylko sprawiedliwa, mój drogi. Uczucie sprawiedliwości każe mi postawić się w położeniu Adama. Gdybym ja była malarzem, i w czasie méj ciężkiéj pracy wzywano mnie bez gwałtownéj potrzeby do powrotu, czyżbym usłuchała?... Umiéć być sprawiedliwym względem drugich, to wielka rozkosz dla siebie saméj.

— A teraz powiem ci nowinę. Zabiéram Judyt i jutro jadę z nią do Krakowa. Wiosna, na powrót pana męża trzeba się odświéżyć i ubrać.

— Nadzwyczajna kobiéta — powtarzał w duchu Roman. — Inna, żyjąca nerwami, coby nie narobiła awantur, scen, historyi, intryg...

Dopiéro w drodze Marya wyspowiadała się przed Judytą ze swych projektów.

— Kochana Judyt, tylko zanocujemy w Krakowie. Nazajutrz rano wprost do Monachium.

— Jedziesz do męża?

— Ponieważ on do mnie nie przyjeżdża. Cóż może być naturalniejszego, powiedz sama.

— *Mary*, twoja duma...

— Ani się obraża, ani cierpi. Skończył obraz.

— Słyszałam.

— Pół roku pracował. Któż pierwszy powinien zobaczyć pracę swego męża, jeżeli nie żona?

Judyt ją pocałowała z lubością.

— Bojąc się, aby Roman nie zatelegrafował, nie mówiłam w Zalesiu o naszéj wyprawie do Monachium. Zrobimy Adamowi niespodziankę... Tak, Judyt, to ja chciałam i chcę go miéć artystą...

XI.

— Dosyć,—zawołał Stach—ani jednego dotknięcia, bo pendzle ci wydrę i wyrzucę przez okno, za niemi paletę, a za paletą ciebie.

— A za mną wyrzuć i tę osmarowaną płachtę.

— Co to, to już bratku nie. Murzyn zrobił swoje, murzyn może odejść, ale dzieło jego zostanie. Gdzie sykatywa? Pochwycił flaszkę, odkorkował, wstawił w nią rozpylacz. Przeżegnaj!

— W imię Ojca i Syna, — zawołał drżącym głosem Adam, podnosząc rękę w górę.

— Wyrzekasz się szatana i jego gładkich, łatwych, wylakierowanych dróg. Ojcze, odpowiadaj za dziecko, do milion dyabłów.

— Wyrzekam.

— I jego lokai, bombastycznych idyotów, nazwanych krytykami?

— Wyrzekam.

— I wszystkich wesołych i słodkich panów?

— Wyrzekam.

— A więc, raz, dwa—dmuchnął. Lotne kropelki wytrysły, unosząc się padały na płótno.

Praca trwała całe dziesięć minut. Stach dmuchał, Adam patrzał. Paliły go ognie radości, zmieszane z nieokreślonemi smutkami.

— Skończone—szepnął. Czuł, że postaci, z któremi się zżył, o których tyle myślał, tyle nad niemi pracował, odejdą. I już go nie będą zajmować ich wyrazy twarzy, siła, energia, ich piękność i wdzięk... Żegnał się z niemi na zawsze i żal go opanował. Przywiązał się do nich, nawet kochał je skrycie. Teraz je porzuca i odchodzi na zawsze. Smutno mu było. Tęsknił za wypieszczoném przez siebie ciałem dziewczyny, za rozkosznemi marzeniami i temi szarpiącemi nerwy bólami między zwątpieniem a nadzieją.

— Umiéracie dla mnie i cząstka méj istności z wami zamiera. Żegnajcie — zawołał.

— Żegnajcie—powtórzył Stach — ale żyjcie tysiące lat. Ciała téj dziewczyny, ramion, piersi... muszą przez wieki zazdrościć kobiéty.

— Skończone, słyszysz i rozumiész, co to znaczy skończone.

Porwał Adama w pół, podniósł i postawił.

— Skończone—powtórzył odurzony Adam. — Coś mi koło serca ckliwo; czegoś pragnę, sam nie wiem czego.

— Ja szaleć — śmiać się, uściskać rudą Dorchen, nawet moją gospodynię, a na zakończenie pobić się na ulicy z tłustym bawarem. Radość pali mnie, jak gdyby to było moje dzieło... Mów, co chcesz, zawsze tam jest cząstka mego. Czegóż tak patrzysz?... Uciekajmy, bo można zwaryować. Zamknij drzwi, klucz do kieszeni... Niemka gotowa zamiatać. Znasz ich namiętność do zamiatania.

Zatrzymali się na ulicy.

— Co robić? Tyle mieliśmy projektów, a teraz stoję, jak pies do bekasa, z podniesioną łapą w górę, i nic nie wiem.

— Chodźmy obejrzéć ramy.

— A potém?

— Do *Quatre saisons* na śniadanie.

— Pycha — ja i *Quatre saisons*. Ja z ukoronowanemi głowami... Umiérać ze śmiechu, lub w pyski się bić.

— Nauczymy ich rozumu—dodał Adam poważnie.

— Dużo masz jeszcze „blatów?“

— Ostatnie dwieście.

— Jazda!

— Ostrygi, *chabli*, po kawale bifu z maderą i szampan ..

— Rozjaśni się nam w mózgownicach. Po szampanie uwierzysz w swą wielkość.

— Spróbuję.

W *Quatre saisons*, do którego zajeżdżają ukoronowane głowy i książęta krwi, służba wykrochmalona i wyfryzowana, przyjęła protekcyonalnie artystów, patrząc z góry na ich aksamitne kurtki i wielkie kapelusze. Lecz Knajp zmiażdżył ich jednym rzutem oka, a Adam świetną dyspozycyą, przyzwyczajony do wytwornéj kuchni w Zalesiu.

Służba zrozumiała, że to są głowy ukoronowane przez sztukę.

Koniak, *chabli* przy ostrygach, szampan przy pieczystem, likier przy czarnéj kawie i cygarach, dobrze usposobiły przyjaciół.

Adam z wydanéj reszty zostawił parę marek dla służby.

— Patrzaj, te wykrochmalone draby nie padają nam do nóg — odezwał się Knajp.

— Mają ochotę, tylko nie śmią.

— Wiész Adam, że to ścierwo uduszone w maderze ma swoją wagę, a te słodkie, spienione mydliny wyszukują w człowieku wesołość i łechcą ją. Przyjemna zabawka. Idziemy do Maksymiliańskiéj knajpy?

— Nie, nudzi mnie ta knajpa ze starym Ibsenem, i z jego psiarnią. Skaczą przed nim na dwóch łapach i myślą, że są wymowni... Nudzi mnie miasto. Wszystko to samo—powszednie!...

— Te same idyotyczne „fizognomie“ filistrów, że się chce...

— Szerokiego horyzontu i budzącéj się wiosny w naturze.

— Wielkiego horyzontu. Lećmy na złamanie karku, gdzie oczy poniosą.

— W ramiona objąć świat. Stachu, czy ty to pojmujesz?

— Ba, chce się ze skóry wyskoczyć, wylecieć ponad światy i znowu w nią wleść. Poczciwe skórzysko, razem z nami trzęsło się od zimna, nieraz głód znosiło. Przeżyliśmy z sobą tyle biéd i tyle radości, że gdyby mi dziś dali skórę Apolina, nie wlazłbym w nią.

— Niezawodnie, Apolin dureń. Nie sztuka być bogiem i mieć dziewięć muz na zawołanie. Ale mieć tylko dziesięć palców...

— Trochę farb, płótno i kpić z Apolina — dodał Stach z entuzyazmem.

Lecieli, gdzie ich oczy niosły, bo co do nóg, te ich prowadziły najkrótszą drogą do browaru, wydzierżawionego przez państwa Schmidt, w którym królowała piękna *Frau* Kätti.

Południowy wietrzyk chłodził ich rozpalone twarze, słońce wiosenne łagodnie ogrzéwając, rozweselało.

Bo téż weseliła się cała przyroda. Ludzie uczuwali rozkosz w sercach,

W ogródku, przed schludnym piętrowym domkiem, naprzód wysuniętym od zabudowań fabrycznych, krzątała się młoda gosposia, osłonięta wielkim kapeluszem słomkowym, w rękawiczkach po łokcie. Rozpinała wino na ścianach, odkręcała słomę z drzew.

— Domyśliły się oczy, gdzie nas prowadzić—odezwał się żartobliwie Stach.

— To niezawodnie twoje.

— Niech mnie piorun trzaśnie, jeżeli wiedziałem, gdzie idę i gdzie jestem.

Kätti spojrzała, przyłożyła rękę do oczu—patrzała.

— Kłaniajmy się.

Zdjęli kapelusze, powiewając niemi.

— *Kind, mein Kind*—wołała młoda kobiéta, lecąc jak kula.

Stanęła, odwróciła się, zrekognoskowała i rzuciła się Adamowi na szyję. Zasłaniała ją od browaru wielka stodoła.

— Nareszcie nie zapomniałeś, przyszedłeś! *Herr* Knajp, dziękuję panu. Cieszę się, że was widzę. Chodźcie, chodźcie. Zawisła na ramieniu Adama, promieniejąca radością i szczęściem.

Pierwszy raz na mojém gospodarstwie tacy goście! Ale jakie zastajecie nieporządki—Jezus, Marya!

Adam wpatrywał się w szczebioczącą młodziutką kobiétę, upojony jéj radością i zakłopotaniem.

— Taki kawał drogi przyszliście piechotą, będzie smakować kawa. Mam własną śmietankę, młynek angielski, francuską maszynkę...

— Kawę zrobimy razem—oświadczył Adam.

— Ja mielę—rzekł Stach, pokazując ręką.

— Ja przegotuję śmietankę.

— A ja z maszynką dam już sobie radę—wołała Kätti. — Ach, jak jestem szczęśliwa, rada, wesoła... pobiegła naprzód.

— Adam, dobrze się stało, żeśmy tu przyszli. Naiwność niemiecka i wesołe szczebiotanie ładnéj kobiéty ułagodzi nam nerwy.

Zabawimy się w dzieci. Lubię się bawić w dzieci. Tak już długo powaga ściskała nam swą obrożą gardła.

— Tędy—prosiła Kätti, otwiérając drzwi—tędy, prędko.

Weszli do schludnego pokoju.

— Tu nie nasze miejsce—oświadczył Stach—idziemy do kuchni. Poszedł naprzód, tymczasem Kätti pocałowała Adama i ująwszy go za rękę, poprowadziła do kuchni.

Pachniało czystością.

— Co za refleks od tych miedzianych, żółtych rądli?

Adam patrzał ciekawie.

— Tego mi już nie ukradniesz, bratku — oświadczył poważnie Stach.

Młoda, pucołowata dziewczyna, w niebieskiéj sukience, przyniosła garnuszek zebranéj śmietanki. Zrobiło się przyjemnie. Młynek warczał, huczało pod blachą, Kätti się śmiała przy wesołym akompaniamencie pucołowatéj bawareczki, Adam z blaszaną łyżką stał na straży gotującéj się śmietanki.

Z kuchni w tryumfalnym pochodzie przeniesiono się do jadalnego pokoju. Na stole ukazała się srebrna cukiernica z pozłacanemi szczypczykami, wydobyta ze szklannéj szafki, na uczczenie Adama. Stach obcałowywał pulchne rączki Kätti, mówiąc, że mu to frajdę sprawia, Adam obejmował ją wzrokiem, kobiécina promieniała.

Resztę kawy wlała do imbryczka, zabrała chléb i masło.

— A teraz chodźmy do mego starego, do browaru, zaniesiemy mu podwieczorek. Zwróciła się do Stacha:

— Bardzo dobry człowiek, grzeczny, cichy i przyjemny. Pan Adam go zna.

Po drodze obejrzeli ośm pięknych białych krów i dwa wypasione wieprze—tryumf Kätti.

W kancelaryi browaru przyjął ich pan Schmidt, rumiany, niebieskooki, o rudawéj brodzie, bawar. Witał się serdecznie, dziękował za pamięć o żonie. Artystów tytułował „*von*“, co mu widocznie wobec służby pochlebiało.

Po powrocie Kätti oświadczyła młodym ludziom, że muszą zostać na wieczerzy. Obiecywała kotlety wieprzowe z powidłami i piwo z lodu.

— Gdyby nie to, że podłoga nie umyta w gościnnych pokojach, musielibyście zostać na noc...

Powiedzeniu temu towarzyszyło długie, promienne spojrzenie na Adama.

Młodzi, nie chcąc się nudzić z bawarem, pod pozorem długiéj drogi i ciemnéj nocy, pożegnali się.

Kätti odprowadziła ich do gościńca. Przy sposobności szepnęła Adamowi, że na przyszły jarmark przyjedzie. Teraz przy nadchodzącéj wiośnie nie ma chwilki czasu. A prosząc go, żeby się nie gniéwał, głaskała go pieszczotliwie po twarzy.

Aby kochankom dać czas i możność serdecznego pożegnania, Stach wysunął się naprzód.

Wesoła, rozradowana kobiécina, nucąc piosnkę wracała biegiem. Młodzi wpatrywali się w nią. Odwracała się, żegnała ich ręką i szczerém, wśród serdecznego śmiechu powtarzaném: do widzenia.

— Serce się cieszy i wielką sprawia sobie frajdę, patrząc na tę niekłamaną swobodę, tę prawdziwą naiwność i szczęście. Nieumyte podłogi uratowały niewinność Kätti. Cóż ty na to, kochany idyoto? Rozpaczałeś ze strachu, aby Kätti, przeniosłszy się do browaru, nie umarła z tęsknoty za tobą. Już to my, póki świat światem, zostaniemy staremi osłami, prowadzonemi za nos przez baby wszelkiego kalibru.

Adam milczał zamyślony i chmurny.

— Nie rozpaczaj, Kätti kocha cię, przepada za tobą, ale ma swoją manierę... Wszystko ma swoją manierę.

— Niezawodnie—mruknął ponuro Adam.

— Kätti, ta ładniutka Kätti—zapalał się Stach—o wypieszczoném ciałku, o karnacyi tak świeżéj, białéj, przezroczystéj, przy najidealniejszych liniach... o zaokrągleniach, o których tylko marzyć można... Ten leciutki, powolny spadek ramion, ta ręka... wypukłości piersi... Adam, — dodał basem — ta Fidyaszowa ręka obejmie tłustą szyję bawara, a jego broda...

— Cicho—zawołał Adam — bo mi pod czaszką kipi. Słyszałeś, co Ulises zastał w domu po powrocie?

— Gachów. Więc cóż z tego?

— Ja nie chcę wracać do domu, nie mam po co.

— Kochany idyoto, tyś naprawdę zgłupiał, jak najzwyklejszy filister. Zauważyłem, że my, mężczyźni, mamy od urodzenia podłą naturę. Gdy tylko zdradzamy nasze żony, zaczynamy się na nie obrażać, podejrzéwać je, mścić się.

— Ty nie masz żony.

— Zrobiłbym to samo, gdybym ją miał. Tego rodzaju łajdactwo tkwi we wszystkich facetach na całym globie. Jeżeli sami jesteśmy łajdakami, chcemy, aby wszyscy byli podobni do nas. A gdy nasze

żony są zacne, oburzamy się... Czemu ty nie jesteś podobny do Kätti, która w swéj naiwności jest niepokalana i to ją robi tak powabną. Myślisz, że ona grzeszy... Do świadomości i ocenienia grzechu, trzeba miéć wyrzuty sumienia.

— Knajp, znowu filozofia?

— Do filozofii mam pociąg od urodzenia.

Stanęli obaj jednocześnie. Stach zmienił ton głosu.

— Patrz na te światła, skupione, nocne, żółte, na wytwarzającą się łunę nad miastem i te refleksa czerwieni zachodzącego słońca... Czujesz, jak się to wszystko łamie i łączy.

Adam schwycił przyjaciela za rękę.

— Zaczyna mi świtać we łbie — mówił wzruszony. — Gdyby tylko zapamiętać te łamania świateł. Jutro je przy tobie naznaczę, pomożesz?...

Porwani nowemi myślami, pochwyceni sztuką, zapomnieli o całym świecie. Nie szli, lecz biegli, popychani rozpaloną krwią i wyobraźnią.

Zanim dostali się do miasta, mieli już gotowy pomysł do przyszłego obrazu.

Rozprawiali zawzięcie, roznamiętniając się.

Nie myśleli już o tylko co skończoném płótnie. Dopiéro widok ulicy, na któréj mieszkał Adam, przypomniał im.

— Chodźmy popatrzéć, co się z niém dzieje.

Wpadli na schody. W pracowni z zapaloną lampą z pewnym niepokojem zbliżali się do obrazu.

— Kätti nie uciekła—jest, ta sama...

— Wiész Stachu, zaczyna mnie już nudzić banalność całéj téj roboty, nie ma na niéj nic. Trzeba raz z nią skończyć, niech zejdzie z oczu.

— Nowy się zjawił pan, nowe sitko na kołek. Komiku, komiku, tyś prawdziwy artysta, czyli skończony łajdak. Nabierasz wstrętu do dzieci, które przyszły na świat, a kochasz tylko te, które się jeszcze nie narodziły.

— Taki już nasz los i taka przez nas samych poniewierka naszych dzieci.

— Masz racyą, miernoty niech kochają swych garbusów i ciągle o nich mówią — my nie. Ile razy teraz spojrzę na Kätti i na jéj dziewicze ciałko, przychodzi mi na myśl rudawa broda bawara...

— Nie patrzmy więc. Odniósł lampę na drugi koniec pracowni...—Stach, kto wié, czy ty nie masz racyi, kto wié, czy ja nie jestem skończony łotr?! Do żony nie pisałem dwa miesiące, bratu nie odpowiedziałem na trzy listy. „*Connu*“ -- mówiąc po francusku. Należało się na kogoś obrazić i znaleść ofiarnego kozła. Dziwisz się, skąd się u mnie wzięła filozofia... Życie mi ją daje.—Chodź.

— Gdzie?

— Na ulicę. Tu przecie nie zostaniemy. Ujął go pod ramię i wyprowadził.

— Z takimi narwanymi facetami, jak my, trzeba świętéj cierpliwości. Zatelegrafujmy do brata, żeś obraz skończył.

XII.

Wiosna rwała się do lotu, słońce coraz, coraz wyżéj mknęło w górę po niebie, wiatr z południa przeciągał coraz cieplejszy, pączki na kasztanach błyszczały, a na pręcikach brzóz złotawo-zielonawe listki nieśmiało zaczynały wyglądać...

Przed kamienicą, w któréj mieszkał Adam, stało sześć dorożek.

Bawarzy, zwróceni plecami do słonka, grzali się gawędząc o smaku wczorajszego piwa, gdy zajechała siódma dorożka. Wysiadły z niéj dwie eleganckie damy.

Naradzały się chwilę. Starsza zbliżyła się do jednego z dorożkarzy, zapytując na kogo czekają?

— Na całą *majsterszulę* ze swym „starym“ odpowiedział.

— Judyt, pierwszy raz w życiu straciłam odwagę, idź zobacz i daj mi znać, zaczekam tu.

Marya oparła się o poręcz schodów pierwszego piętra, Judyt powoli, cicho poszła na drugie.

Drzwi zostawiła odchylone, spojrzała przez nie i skinęła na Maryą.

— Chodźmy cicho, są wszyscy, siwy jegomość wśród nich, to pewno profesor.

Weszły na palcach. Zobaczył je Stach, przywitał tajemniczemi znakami Judytę, Maryę poznał z portretu. W milczeniu wskazał im miejsce w dobrém świetle, a za plecami profesora i Adama.

Wszystko to odbyło się bez żadnego szelestu.

Adam, Julek i reszta młodzieży w skupieniu ducha, z wytężoną uwagę, wodząc oczyma za wzrokiem „starego“—czekali wyroku.

— Ja tak nie maluję, ani w ten sposób rozmieszczam światła. Lecz wy, młodzi, jesteście na to, aby iść naprzód, szukać nowych dróg i rozpalać na nich ognie...

Wyciągnął rękę, Adam pochylił się, aby go pocałować w ramię.

— Wielka to dla mnie pociecha—mówił daléj wesoło, lecz z odcieniem wzruszenia profesor — że nie potrzebuję się rumienić za mych uczni. Są oni dziś w starości jedynie moją sławą. Przez nich się odradzam.

— Niech żyje nas mistrz—zawołał Knajp serdecznie.

— Niech żyje—powtórzyła chórem młodzież.

Adam w téj chwili zobaczył Judyt i Maryą. Zbladł, nie mógł słowa przemówić, nie śmiał się ruszyć. Marya zbliżyła się do profesora, dziękując mu za uznanie dla męża.

Niemiec, widząc przed sobą dystyngowaną, piękną, młodą kobiétę, a wiedząc o jéj rodzie i stanowisku społeczném, powtarzał zmięszany:

— *Gnädige Frau... Ihre Gnade*, układając frazes po francusku. Nareszcie głośno go wypowiedział: sława męża jest w części dziełem i zasługą żony...

Ujął ją za rękę i oddał Adamowi.

— Panowie—rzekł—nasza rola skończona. Chodźmy.

Adam uścisnął żonę, podziękował profesorowi, wyciągał ręce do kolegów—do Stacha szepnął, aby wracał natychmiast.

— Boisz się, skóra drży. Ale co za królewski szyk. Stary, byłem pewny, plackiem się przed nią położy.

Drzwi się zamknęły, zostali sami.

— Czy ja zasłużyłem, abyś na jeden głupi telegram taki kawał drogi bez wytchnienia leciała. Upokarzasz mnie.

Chcąc ukryć łzy wzruszenia, tulił się do niéj.

— Któż, jeżeli nie żona powinna pierwsza oglądać arcydzieła swego męża—odpowiedziała z uśmiechem.

Adam milczał, dławiło go, nie mógł mówić.

Wpadł Stach, pocałował zamaszyście Maryą w rękę, przywitał Judyt.

— Powiem wszystko!—zawołał. To ja ściągnąłem tego faceta, a jeżeli panie chcecie, komika. Razem ukuliśmy ze starym całą awanturę. Ja mu kazałem malować obraz, ja nie dałem mu pisać dwa miesiące listów, aby niespodzianką zrobił żonie frajdę... Ja to jestem

ten wesoły numer. Możesz mnie pani zabić, a potém oddać do piechoty, lecz pierwéj wysłuchaj, co mówią, „stary“ i koledzy o tém płótnie. Czy nie lepiéj mieć męża komika, niż wypasionego na bekasach i słoninie wsiowego filistra?

— Lepiéj — rzekła Marya — i jeżeli to pańskie dzieło, dziękuję panu.

— Słyszysz komik? A nie dawniéj, jak wczoraj, ryczał, że go pani nie kochasz. Chciał sobie w łeb palić, a potém wsiąść na okręt i jechać do Ameryki. Brykał i dął w ponurego.

— W roli ponurego musiało mu być do twarzy — pytała Marya, rozweselona wymową Stacha.

— Ponury komik, to najpyszniejsza kreacya XIX-go wieku. Skonać ze śmiechu, lub... — zatrzymał się, nie śmiał kończyć.

Adam dłonie Maryi przyłożył do twarzy i zasłonił niemi oczy.

— Więc cóż mówią koledzy i wasz sympatyczny profesor?

— „Bryndza“ zazdrości, „nasi“, rzetelnie nasi cieszą się. A stary powiedział, że w tym obrazie Adam przerósł się *„um ganzen Kopf.“* Spojrzyj pani na tego faceta, przerastającego się *um ganzen Kopf.*—Odetchnął.

— Mówiąc po ludzku, dużo miałem przejść z tym numerem, zanim się to płótno zasmarowało. Wieleż to ciężkich dni przeszło, wiele nieprzespanych nocy. Wieleż to razy na dzień wołał, że jest skończonym idyotą, chciał rwać zamalowaną szmatę na kawały i palić. Pamiętasz Adam, cośmy się nie nauganiali po całych dniach, aby uchwycić i podpatrzéć w naturze refleksa tego światła — pokazał na obrazie. Zdaje się, że to idyotyzm, a to przecie tajemica sztuki. Te wściekłe tajemnice, to ogień wykradany z nieba. Jest się skutym własną niemocą, a wtedy sępy pychy naszéj szarpią nam wątrobę zwątpienia...

— Stach, wpadasz w tragizm—przerwał Adam.

— Bo cała ta farsa wychodzi na tragi-komedyą — zwrócił się do Maryi. — Byłem jego niańką, kucharką, boną, mentorem, sam nie wiem czém.

Między modelkami trzeba było wybiérać, jak wśród ulęgałek. Ta ma rękę, ta ramię, ta to, ta owo, a wszystkie krzyczą, że wszystko mają najpiękniejsze... Najadłem się z nim udręczenia, a komik ten tyle jest naiwny, że tego nie widział.

— Ale czułem, Stachu i kocham cię za to.

— Nie przesadzam, jeżeli mówię o tém płótnie, że jest nasze...

— Mnieś pan zastąpił. To była moja rola stać przy nim, od-

pędzać sępy zwątpienia, cieszyć go i utulić. I jeżeli kiedy Adasiu wyjedziesz pracować—ja z tobą. Nie rozstaniemy się już nigdy.

— O, to wtedy o następnym skończonym obrazie śmiało będziesz pani mogła mówić: to nasz. Jaka wtedy w pani urośnie pycha! Klękajcie narody, lub bijcie... — urwał. — Nie będziemy mogli inaczéj do pani się zbliżać, jak na czworakach i proch przed nią zdmuchiwać?

Rozśmiano się wesoło.

— Nie, nie rozstaniemy się — powtarzała Marya, gładząc ręką czuprynę Adama.—Będziemy razem dzielić złe i dobre losy.

— Jak pani, taka wielka dama, wytrwa w piekiełku, nazwaném przez tego faceta artystyczném powietrzem. Jak sobie pani da radę z tymi idyotycznymi narwańcami w chwilach wybuchów, które zwykle ich napadają podczas tworzenia?...

— Sprobuję... Pan będziesz mnie uczył i pomagał.

— Ja bo czasem biję.

— Może i ja potrafię,—i delikatnie, z odcieniem utajonéj rozkoszy, zaczęła ręką dotykać twarzy męża.

— Nie rozstaniemy się—szeptał wzruszony Adam. — Maryniu, ja potrzebuję twéj obecności, twego na mnie wpływu, twego jasnego spojrzenia, a nawet ręki twéj na mém czole.

— Po téj uroczystéj scenie, nadszedł czas wypalić papiérosa — oświadczył Stach, łagodząc poważnie serdeczny nastrój.

Kobiéty zaczęły uważnie oglądać obraz, Stach objaśniał ich w szczegółach, pokazując, w czém tkwi oryginalność.

Przez otwarte drzwi widać było sypialny pokój. Stało w nim żelazne, wązkie łóżko, o twardym materacu, okryte białym kocem i skórzana poduszka w perkalikowéj poszewce.

— Z braku komfortu nie uciekłeś z Zalesia—rzekła Marya.

Judyt uśmiechała się dobrotliwie.

— Obfitego ciepła także nie zażywał w téj wielkiéj izbie. W nogi zimno, a głowa huczy od strumieni krwi bijącéj do głowy.

Nerwowy Stach gwałtownie pochwycił kapelusz.

— Żegnam panie.

— Nie pozwalam — zaprotestowała Marya. — Idziemy razem na obiad.

— Razem, to będzie troszkę komicznie, ale zgoda.

— Podaj mi pan rękę, Adaś poprowadzi Judytę.

— Z gustem, ale jak ja będę wyglądał, ja zdecydowany numer, Knajp de Knajpkiewicz pod ramię z damą o takim szyku. Wszystkie filistry wylecą ze swych nór i zrobi się taki tłok, że ciężko będzie przejść.

Na ulicy odezwała się wesoło Marya.

— Patrz pan, nie wylatują.

— Bo jeszcze nas nie widzą—odpowiedział poważnie.

— Mam projekta, z któremi chcę się zwierzyć naprzód przed panem, jako przyjacielem Adasia.

— Dziękuję pani.

— Pragnę go stąd choćby jutro zabrać do Paryża. Za dwa tygodnie na polach Elizejskich otwiérają salon.

— Przepysznie.

— Zapozna się z nowemi drogami.

— Tyle tam do widzenia, że świat się kończy.

— Będę mu tłómaczem i przewodnikiem... Cieszę się bardzo.

— Niech mu pani tego od razu nie mówi, bo chłop gotów oszaléć z radości.

— Z powrotem wstępujemy umyślnie po pana, zabrać go do Zalesia...

— Ja w pałacu?—ja i pałac!... Pani, droga pani.

— Pański talent rozwija się w kierunku rodzajowym?

— W każdym, a najwięcéj w komicznym.

— Zamawiam sobie u pana sześć obrazów z historyi mego życia.

— Awantury ze „słodkim“ „*connu.*“ Z gustem; ale jak ja będę wyglądał w pałacu.

— Adaś, mając obok siebie przyjaciela, kolegę, przestanie tęsknić za artystyczném powietrzem.

— Prawda, zapomni o niém na jakiś czas.

W pewném oddaleniu szedł Adam, prowadząc pod ramię Judytę.

— Bałam się, idąc z Maryą na górę, abym nie zastała Kätti.

— Kätti oddawna za mężem, mieszka parę mil za miastem.

— Ale jakie podobieństwo na obrazie.

— Malowałem z pamięci.

— Pamięć wryła się głęboko.

— Trzy lata, dosyć miała czasu. Cóż w Zalesiu, Roman, okolica?

— Nadokuczałeś pan bratu, żonie — i za to, że pana kochają. Okolica była pewna, żeś pan uciekł na dobre.

— Domyślałem się.

— Zaczęły się kombinacye, *Mary* świetna partya.

— Byłem pewny.

— Lecz *Mary* zamknęła dom. Całe pięć miesięcy przeżyłyśmy, jak pustelnice, a pan widocznie rozgniéwany milczałeś tak zawzięcie.

— Czasem, a nawet często jesteśmy podli—rzekł smutno Adam.

— Przynajmniéj niewdzięczni. *Mary* jeszcze ma w sobie to nieocenione, że nie znosi poświęceń i ofiar. Robi wszystko z łatwością, wdziękiem, bez żadnych wysileń... Zdaje się patrzącym, że są to rzeczy najnaturalniejsze w świecie, że tak być powinno zawsze. Nikt w niéj nie dostrzegł gniewu, niechęci, znużenia, nikt nie słyszał skargi. Raz tylko widziałam w jéj oczach łzy, a słyszałam obawy, aby pan Roman również nie uciekł. Lecz wtedy była słaba, zdenerwowana, leżała całe dwa dni. Że pan dostałeś taką żonę, może to zasługa pańska...

— Żadna—zawołał Adam wściekły na siebie.

— Może modlitwy i prośby matki pańskiéj?...

— To prędzéj, lecz czuję, że nie jestem jéj wart.

— Kochaj ją pan tylko, nie uciekaj, nie zaniedbuj. Niczego więcéj nie pragnie.

— Czy pani uwierzy, że my faceci, nazwani artystami, mamy tylko nerwy i fantazyą...

O północy tego samego dnia, w jednym z buduarów hotelu „*Quatre saisons*“ siedział w fotelu Adam i pochylona na nim Marya.

— Biédaku mój, spracowałeś się tak ciężko...

Adam nie dał jéj skończyć, odchylił usta i pociągnął ją ku sobie.

Marya uczuła, że całuje nieco inaczéj, ciepléj, serdeczniéj, idealniéj—i jednocześnie namiętniéj.

Nazajutrz rano do wagonu pierwszéj klasy przyskoczył Stach, podając Maryi bukiecik fiołków, a Adamowi dziennik.

— Stary jest w mieście wyrocznią. Wszystko, co powiedział wczoraj o obrazie, powtórzone co do słowa.

Pociąg ruszył.

„Do widzenia, dziękuję, bądź zdrów“—wołano z wagonu. Stach zdjął kapelusz i powiewając nim powtarzał:

— Pisz, pisz!

Dumny z siebie Knajp i rad, że mógł zadać szyku zgromadzonym na peronie bawarom i miażdżyć ich wzrokiem, wracał poważnie do miasta.

Judyt dopiéro w chwili odjazdu dowiedziała się o wyprawie do Paryża. Marya i jéj chciała zrobić przyjemną niespodziankę.

Wiadomość ta sprawiła na angielce silne wrażenie. Znała Pa-

ryż, mieszkała w nim przez lat pięć, miała dużo znajomych, przepadała za nim. Przez całą drogę zdradzała wielką niecierpliwość i rozdrażnienie.

XIII.

Paryż, d..... kwiecień 188... r.

„Kochany Stachu!

„Czasami bywa i dobrze uciec od żony na pół roku, nie pisać do niéj dwa miesiące i zdradzać ją. Widocznie, nie jest źle zostać łotrem. Z nawróconego musi być wielka radość... Czuję, że jestem w niebie i bardzo mi dobrze.

„Wszystkie wątpliwości, strachy, podejrzenia odleciały...

„Na porównaniach z niemkami żony nasze zyskują troszkę. Co? Zdaje mi się, że moją zaczynam teraz dopiéro kochać naprawdę szczerze i serdecznie. Tém uczuciem, co to nie znosi żadnych tajemnic serca i żadnych tajemnic myśli.

„Paryż jest miasto świata, miasto wszystkich arcydzieł, wszystkich wieków. Znajdziesz tu najwspanialsze okazy odrodzenia.

„Mamy mieszkanie prywatne obok Louvru, stosy książek. Marya w tym chaosie wybornie daje sobie radę — czyta, tłómaczy mi, opowiada... Zawsze razem, sztuka panuje, ja jestem jéj przewodnikiem w galeryach i nauczycielem praktycznym, ona czerpie wielkie idee z dzieł i rzuca w mój umysł całe snopy światła.

„To braterstwo pracy, uczuć, myśli, zachwytów jest wszystkiém, może jest ono miłością.

„Wracamy do Zalesia Arulańską koleją — droga ma być prześliczna.

„Na rachunek zamówionych u ciebie przez żonę obrazów, przyślę ci troszkę mamony, abyś się odświeżył w garderobie i przyjechał po nas do Lucerny.

„Stachu, żebyś ty wiedział, jak to rozkosznie kochać, wierzyć, ufać, myśléć razem i pracować razem...

„Marya nie jest wielką damą, ona niczém więcéj, tylko jedynie moją żoną.

Twój

Adam.“

P. S. Obraz obmyślany wieczorem na drodze do Monachium, pamiętasz? rośnie, olbrzymieje... Francuzy majstry, oni nie tyle podpatrują naturę, ile ją odgadują, przeczuwają... Co za spryt u tych facetów...

Judyt po przyjeździe do Paryża ubrała się z wdziękiem, a nawet kokieteryą i wczesnym rankiem wybiegła na miasto.

Myślała o znajomych, przypomniała sobie ich adresy, a mimowolnie kierowała się w stronę mieszkania Henryka. Odpychała od siebie myśl, że idzie tam, jednak szła. Im bliżéj była, tém postępowała szybciéj...

Na *rue* Richelieu zatrzymała się przed jedną z kamienic o staromieszczańskim wyglądzie.

— Siedmdziesiąty drugi numer, to tu pomyślała. Stanęła, aby oprzytomnieć, odpocząć, nabrać w płuca powietrza.

— Po co tam idę, co mu powiem, czego od niego chcę?

Poszła.

Powiedziano jéj, że Henryk opuścił mieszkanie, nie zostawiwszy adresu.

Wracała smutna i zgnębiona. Straciła ochotę do szukania dawnych znajomych, zapał do Paryża... Nie bawiły jéj ruch uliczny, wystawy sklepów...

Małżonkowie oddani sztuce i samym sobie, nie zajmowali się Judytą, schodząc się z nią zaledwo na śniadanie i obiad.

Czuła się zaniedbaną i opuszczoną.

—Malarz stanowczo wyrugował mnie z serca *Mary*... To było do przewidzenia.

Nabiérała żalu do Adama, a niechęci do sztuki.

— Gdzie się ten biedak—myślała o Henryku—mógł podziać?

Była u kresu, pewna, że go zobaczy, padnie w jego objęcia. Przykry i denerwujący zawód. O ile dawniéj bała się go, drżała na jego wspomnienie, o tyle teraz pragnęła go gwałtownie.

— Nie zobaczę się z nim już nigdy — powtarzała w myśli. — Może się zabił, może pojechał na koniec świata.

Minął tydzień. Późnym wieczorem wracali do domu Adam z Maryą naprzód, za niemi roztargniona Judyta.

Gdy młodzi małżonkowie weszli do bramy, zobaczyła w cieniu nocy mężczyznę dającego jéj znaki. Stanęła nie mogąc ruszyć się z miejsca, radość i strach obezwładniły ją.

Tymczasem Marya z Adamem znikli na schodach.

— On — szeptała — poznał mnie, wzywa...

Zawróciła, przybiegła chwytając go nerwowo za ręce.

— Ty, straciłam już nadzieję.

— Szukałaś mnie?

— Szukałam.

— Przyjdź jutro o ósméj rano, *rue* Bonaparte 13.

— Do widzenia.

Judyt obudziła się o świtaniu, wyszła o szóstéj rano, chodziła po ogrodzie Luksemburskim godzinę i nie mogąc się doczekać ósméj, poszła.

Na zapytanie portyera wskazano jéj trzecie piętro w dziedzińcu.

— Trzecie piętro? On na trzeciém piętrze, przeniesiony z ulicy Richelieu na Bonaparte, ten król, pan... Jakże musi być nieszczęśliwy i biedny. Los strasznie go prześladuje.

Zasztukała, poruszyła klamkę, drzwi nie były zamknięte. Czekano na nią.

Późno wróciła do domu, rozmarzona, z oczami jak kotka przymrużonemi, uśmiechnięta.

— Ach ten Henryk — powtarzała w duchu — jakież on posiada czary, do zdobywania naszych serc... Żeby to Stefa wiedziała i wszystkie młode sąsiadki Zalesia, że on mój i do mnie wyłącznie należy...

Uczucia tryumfu i rozkoszy wypełniały jéj serce. Tylko co minione wspomnienia kołysały ją do rozkosznego snu.

Od téj chwili unikała towarzystwa Maryi i Adama. Zaledwo wieczorami ukazywała się w ich pokoju, aby im powiedziéć dobranoc.

Małżonkowie nie uczuwali braku towarzystwa Judyty. Miała tylu znajomych w Paryżu. A nareszcie były to ogólne wakacye.

Codzień o téj saméj godzinie Judyt wysiadała z omnibusu na placu przed kościołem St. Sulpice i szybko biegła na ulicę Bonaparte.

Po dwóch tygodniach tych ciągłych odwiedzin, wieczorem wracała piechotą. Szła żywo, twarz ją paliła, ręce drżały, w głowie huczało.

Na moście Henryka IV-go zatrzymała się, aby odpocząć. Woda czarna, odbijająca szeregi świateł, płynąca wolno i cicho ciągnęła ją ku sobie.

— Jeszcze czas—powtarzała—jeszcze czas.—Zaczęła znowu iść prędko napół nieprzytomnie...

Najpierwéj pięć kropel, potém sześć, ośm, dziesięć... Wrócą do Zalesia i tam dopiéro nastąpi katastrofa... Tak mi przysięgał. Ja zostanę, tu z nim się połączę i będę już zawsze, wiecznie...—Wsunęła rękę do kieszeni, pochwyciła malutką flaszeczkę, ściskała ją nerwowo.

Żeby tylko przeżyć te parę tygodni, żeby się tylko skończyły, potém wielka długa cisza.

Cisza; jak ja jéj pragnę, jak jéj potrzebuję. Oddałabym za nią całą wieczność.

Weszła do domu, w którym mieszkała. Oparła się o poręcz schodów, czekając na uspokojenie się nerwów.

Cicho otworzyła drzwi. Na kozetce przy zapalonéj lampie siedziała Marya nad wielką książką.

— Judyt, to ty, jakże dobrze zrobiłaś, żeś przyszła. Adam na obiedzie u jednego z kolegów, jeszcze nie wrócił, a saméj mi smutno. Z tych stosów ksiąg nie mogę się ruszyć, zadzwoń i każ mi podać szklankę wody.

Judyt wpadła do drugiego pokoju, szukała karafki, nalała wodę w szklankę, przyniosła.

— Dziękuję ci.

Marya zaczęła pić, lecz po paru zaledwo łykach, odsunęła szklankę, wstrząsając się.

— Nieprzyjemna, wstrętna...

Judyt wyrwała jéj szklankę z rąk i gwałtownie wypiła.

— Judyt, cóż za tragizm, wypiłaś z taką ponurą miną, jak gdybym cię posądzała, żeś mi do wody nalała trucizny?

Judyt zbladla i przymknęła oczy.

— Przepraszam cię moja droga, przecież to żart. Istotnie, dziwnie wyglądałaś. Chodź, siadaj przy mnie, jest miejsce, dawno nie byłyśmy razem.

Posadziła ją przy sobie i objęła wpół.

— Powiem ci prawdę, że teraz dopiéro obchodzimy nasze miesiące miodowe... Adaś dopiéro teraz kocha mnie prawdziwie głęboko, serdecznie, i to do tego stopnia szczerze, że wobec mnie myśli głośno. Moje panieńskie marzenia, żeby iść z nim razem w dziedzinie sztuki, zaczynają się powoli sprawdzać. Dawniéj zdawało mi się, że dosyć zmrużyć oczy i na pół śniąc, wymarzać fantastyczne obrazy, a malarze mogą je zaraz przenosić na płótno. Byłam dzieckiem. Dopiéro śledząc pracę myśli ludzkiéj w jéj promiennych artystycznych objawach, otrzeźwiałam. Teraz wiem co się ta biédna ludzkość nie namęczyła, zanim zdobyła dzisiejsze stanowisko. Judy moja, pracujemy razem. Niechaj jedne idee rozpromieniają nasze myśli. Adaś posiada wielkie zdolności, prawdziwy artysta odgaduje jakby natchnieniem najzawilsze kwestye. Ja mu tłómaczę, on mnie uczy. Wspólność pracy przyzwyczaja go do zwierzań się ze swych projektów. Nauczyłam się wielkiéj tajemnicy, możliwości w sztuce. Czuję, że przestaję być obcą dla mego męża, a zmieniam się w żonę artysty. To mnie uszczęśliwia. Moja droga Judy, ja cię kocham i jestem ci wdzięczną za twą pomoc... Odżyłam, nowe promienie oświecają mój umysł. Judy pocałuj mnie.

Judyta sztywna, zimna, dotknęła ustami czoła Maryi.

— Dziwnie całujesz, zimno, lodowato, lecz gdy ci powiem jeszcze jedną wielką tajemnicę, uściskasz mnie. Pochyliła się do ucha Judyty, i zarumieniona szepnęła jéj parę wyrazów, tuląc się do niéj.

Judyta uścisnęła ją spazmatycznie, zerwała się, uciekła.

Zamknęła drzwi swego pokoju na klucz.

— *Mary* zwyciężyłaś — powtarzała.

Wydobyła gwałtownym ruchem flaszeczkę, odkorkowała ją, wypiła.

— Zwy-cię-ży-łaś — pisała, ołówek wypadł jéj z rąk, palce kurczowo zdrętwiały.

— Idę do téj wielkiéj ciszy, do ciszy wieczności. Jak mi dobrze.

Padła na łóżko.

Henryk nazajutrz rano zerwał się wcześnie chcąc się oswobodzić od ciężkich snów. Zaledwo zimna woda otrzeźwiła go. Ubrał się, czekał.

Judyta miała przyjść po raz ostatni. Chciał się naocznie przekonać o jéj przytomności i gotowości do czynu.

Było ułożone, że tego samego dnia pojedzie na Jersey i tam czekać na nią będzie.

Wybiła dwunasta w południe, nie przychodziła.

Dziwne niepokoje zaczęły szarpać mu serce i tłoczyć się do mózgu. Samotność przerażała go.

— Lepiéj wcześnie zajrzéć rzeczywistości w oczy — wybiegł na ulicę.

Przed kamienicą, w któréj mieszkała Judyta, stała gromadka ludzi, prowadząc żywą rozmowę.

Zbliżył się do nich.

Opowiadano fantastyczne historye o popełnioném morderstwie, truciznie...

Z bramy wybiegł ajent policyjny. Henryk zapanował nad sobą, zbliżył się do niego, dotknął kapelusza.

— Jestem reporterem dziennikarskim — wymówił zmyślone nazwisko.

— Jeszcze mi nie wolno zdradzać tajemnic *cause célebre*. Siadaj pan ze mną, jadę do prefektury z raportem.

Wskoczyli do dorożki.

Henryk wsunął mu w rękę dwudziesto-frankówkę.

— Trzydziestoletnia Angielka, przystojna blondynka, otruła się. Jedyny dokument napisany ołówkiem po otruciu wyraz: „zwyciężyłaś“. To dla dziennika. Dla pana zaś specyalnie dodam, że jest to tajemnicza historya.

Jeżeli padnie mężczyzna, mówimy szukaj kobiéty. Jeżeli zaś pada kobiéta, szukamy mężczyzny.

Angielka miała podobno kochanka, krewnego téj damy, któréj była towarzyszką. Mamy nitkę i zaczynamy ją zwijać na kłębek. Jutro będę panu mógł udzielić więcéj szczegółów gotowych do druku, znajdziesz mnie w prefekturze. Podał mu swoją kartę.

Dorożka zatrzymała się przed bramą ponurego gmachu, ajent wysiadł, Henryk kazał się zawieść przed pałac czterdziestu nieśmiertelnych.

— Zwyciężyłaś — powtarzał machinalnie — zwyciężyłaś. — Krew biła mu młotem w czaszce. — Przegrałem stawkę życia, tak nędznie! Jakaż ta Judyta głupia, ja błazen, biorąc ją za narzędzie... Zwyciężyłaś...

Wszedł do mieszkania, wrzucił do kuferka nieco bielizny, listy spalił, drugą połowę trucizny z flaszeczką schował do kieszeni, powiedział, że wyjeżdża na parę dni i kazał się zawieść do dworca kolei północnéj.

Przedmieścia Londynu ukryją mnie jakiś czas, a potém do Ameryki, na koniec świata... W ostateczności, pomacał ręką flaszeczkę, nie dam się wziąć żywcem.

— Zwyciężyłaś, i niech cię idyotko, najjaśniejsze pioruny zatrzasną!...

Sewer.





WYSTAWA W BERLINIE.

I.

Ogólne cechy nowoczesnego malarstwa.—Charakterystyka wystawy berlińskiéj.—Przed dziesięciu laty a dziś. — Emancypacya malarska.—Malarstwo dla... malarzy i wtajemniczonych znawców.—Sztuka dla sztuki.—Modernizm.—Szukanie nowych dróg.—Impresyonizm. — Przesyt i dekadenckie dziwactwa.— Symbolizm.—Prerafaelizm. — Archaizm. — Zanik malarstwa t. zw. historycznego i religijnego.

Coraz bardziéj i bardziéj wyodrębnia się sztuka malarska z pomiędzy sztuk pięknych. Obowiązujące niegdyś przepisy, stawiane wymagania, powoli istnieć dla niéj przestają a łączność malarstwa z innemi sztukami pięknemi coraz więcéj powierzchowną się staje. O wspólną z poezyą „opisowość“ za pomocą barw i kształtów, o tę opisowość tylokrotnie nawet w podręcznikach estetyki wspominaną, troszczy się już dziś malarstwo nader mało, jeżeli zaś nawet odtwarza dany moment, dany epizod, to przy wyborze danego momentu, danego epizodu z niczém inném malarz już się dziś nie liczy, jeno z tém, aby to co odtwarza, dało mu pole do popisu dla czysto malarskich, omal powiedziałbym — technicznych kombinacyi, efektów, smaków, sposobów, traktowań; ustaje wspólna z architekturą harmonia linii i kształtów, to, cośmy w dziełach malarskich nazywać przywykli kompozycyą, owa np. harmonia, niemal matematyczna, barw, którą estetycy, niedaleko szukając, w większych kilkunastofirugowych obrazach Tycyana podziwiają; idzie w niepamięć sentyment, dogorywa wspólne niegdyś z rzeźbą gonienie za „klasyczną pięknością“ postaci; ba, nawet miły Rubensowi, obowiązujący tak długo „wyraz“ w twarzach, w ruchach, ustępuje powoli miejsca ściśle

przestrzeganéj „charakterystyce“ postaci, którą wielu jeszcze za niezbędną uważa. Wyodrębnia się malarstwo, zamyka w sobie, odgranicza murem od tłumu, który lekceważyć zaczyna, jak sekta jakaś inicyowanych w obrządki i wierzenia tajemnicze; tworzyć zaczyna *sui generis* świat sztuki, w którym rozczarowania srogie czekają profana, natomiast znawcy i miłośnicy i wtajemniczeni do rozkoszy przedziwnych, mają przystęp. Coraz trudniéj nieobytym z czysto malarską stroną rzeczonéj sztuki pięknéj wyobrażenie dać i wytłómaczyć, na czém piękno tego lub owego obrazu polega, dlaczego ten obraz jest dziełem istotném sztuki, a ów zaś świętego ognia w sobie nie ma, dlaczego ów obraz, na pierwszy rzut oka niepokaźny wcale, jest jednak jako dzieło sztuki malarskiéj w teraźniejszém jéj rozumieniu, znakomitym, inny zaś obraz aczkolwiek bezpośrednio zwracający na siebie uwagę tłumu, dlaczego lichym jest bardzo jako utwór malarski.

Jeżeli powiemy: obraz wystawia cesarza Napoleona, konno, na zrywającym się do skoku bachmacie, przed frontem grenadyerskiego pułku, broń prezentującego; do cesarza otoczonego świtą podjeżdża, oczywiście po rozkaz, waleczny Murat w przepysznym, aż do teatralności mundurze; jeden z grenadyerów czapkę włochatą podniósł do góry i woła *vive l'empereur!* Napoleon twarz dumną i myślącą zwrócił w tę stronę... i gdy dodamy jeszcze, że u spodu tego obrazu wiszącego w galeryi wersalskiéj widnieje napis „Napoleon pod Jeną“, czytelnik jakie takie o dziele Verneta mieć będzie wyobrażenie. Wypadnie dla spokoju sumienia krytycznego napomknąć coś o zbytniéj świeżości i niepokalaności mundurów, o nazbyt wzorowém wyczyszczeniu koni, może coś nawet bąknąć o tém, że „za mało zapału wojowniczego maluje się na twarzach satelitów wielkiego cesarza“ — i oto rola sprawozdawcy skończona. Jeżeli powiemy: obraz przedstawia noc miesięczną nad morzem; dwaj ohydni Rzymianie zepchnęli co tylko ze skał urwistych w otchłań morską młodą, piękną chrześciankę; aliści oto z fal głowa jéj się wynurza i nad piękną tą, o przedziwnie świętym wyrazie twarzy nimb złocisty unosi się lekko—czytelnik przy odrobinie dobréj woli odtworzy już sobie przed oczyma wyobraźni główne linie „Męczenniczki“ Delaroche'a. I czytelnik, przebiegając opis całego szeregu podobnych obrazów, ubawi się tak doskonale, jakbyśmy mu ciekawą jakąś historyę po historyi opowiadali, raz o „wielkim cesarzu“ to znowu o „nieszczęsnéj męczennicy“, potém daléj o jakichś łowach królewskich, lub o wielkiéj jakiéjś damie, wspierającéj straszną nędzę gdzieś na bardzo opłakaném poddaszu. Jeden malarz wyda mu się bardzo bohaterskim, inny bardzo tkliwym, jeszcze inny pełnym figlarnego humoru, a któryś między nimi pochwyci go za ser-

ce „romantycznością“ scen, jakie wystawia. Niestety atoli, dziś coraz to mniéj i mniéj owych z dawnych dobrych czasów malarzów bohaterskich, tkliwych, romantycznych lub obdarzonych figlarnym humorem, a jeśli i sadzi się z nich dziś który na bohaterskość, romantyczność, tkliwość, to już mu nikt za to złéj lub dobréj noty nie stawia. Znamy już dziś niestety tylko i jedynie, takich malarzów, którzy malują dobrze i takich, którzy malują źle, bez względu na to *co* malują. A wątpliwości nie ulega, że odpowiadać na pytanie, *co* ten lub ów malarz wymalował? stokroć łatwiéj, niż odpowiedziéć, nie obytemu z kunsztem malarskim, na pytanie *jak* maluje ten lub ów malarz? na czém polega jego artyzm? czém w sposobie traktowania utwór jego z pośród innych się wyróżnia? w czém leży tajemnica, że obraz jego nietylko złudzenie sprawia natury saméj, ale, że wybrawszy tejże natury najpospolitszy zakątek, na który nie zwrócilibyśmy może uwagi, napotkawszy go w rzeczywistości, artysta oczy nasze przykuwa do tegoż zakątka, odtworzonego na płótnie?

Zaciérają się powoli granice tak zwanych „rodzajów“ i tak zwanych „szkół“. Tak zwane malarstwo historyczne i tak zwane religijne, wsiąkają powoli we wszechpotężny „rodzaj“ (*genre*), który rozwielmożnia się na całym malarstwa dzisiejszego horyzoncie; po szkołach akademickich (Petersburska akademia), po szkołach takich jak monachijska, którą nazwaćby można spadkobierczynią bolońskiéj dawnéj, nurtują prądy szkoły te rozsadzające; malarze pojedyńczy, mistrze, szkół już nie tworzą. Objął malarstwo wszechświata i zwycięsko niém steruje jeden potężny prąd, kierunek, a jest nim — modernizm.

Co to jest ów modernizm? To dążenie do zamknięcia malarstwa w ścisłych granicach cech czysto malarskich, to hasło wyzwolenia malarstwa z pod stawianych mu dotychczas wymagań, nic wspólnego nie mających z malarstwem w najściślejszém rozumieniu słowa; to porzucenie gonitwy za anegdotycznością, sentymentem, patosem, dydaktyzmem i t. p. w sztuce; to wyzwolenie indywidualności artysty z pod tradycyi formułek i przepisów jakiéjbądź szkoły, pod jednym jedynym warunkiem, aby to co maluje malował dobrze; to wreszcie podniesienie do najwyższego znaczenia technicznego uzdolnienia malarza. Jestto bezwarunkowo silne przychylenie się ku realizmowi, nie obowiązujące jednak wcale do — naturalizmu. Nowoczesność wykluczająca w malarstwie temat, raczéj podporządkowująca go artyzmowi malarskiemu, narzucać tematów nie może; naturalizm takiego np. „Hioba“ Bonnata nie jest objawem wyjątkowéj indywidualności artysty, który w danym wypadku przez pryzmat taki na świat spojrzał.

Holender Israels, jeden z najwybitniejszych dziś przedstawicieli modernizmu, głośny np. nacisk kładzie na wywoływanie swemi obrazami nie wrażenia drobiazgowo odtworzonéj prawdy życiowéj lub natury, ale na wywołanie rzetelnego nastroju („Pracownicy morza“ Israelsa, obraz uchodzący za jedno z kapitalnych dzieł jego, zdaje nam się odznaczony wysoką nagrodą na wystawie paryskiéj 1889 r. może służyć za przykład). Modernizm nie jest oderwanym, nagłym, niespodzianym krokiem naprzód; jest on zwrotem do dawnych malarskich tradycyi, z biegiem wieków porzuconych; rzecby można, że nowoczesne malarstwo, zerwawszy z tradycyami włoskiemi, z pseudoklasycyzmem i romantyzmem, sięgnęło po soki pożywne do dzieł starych, rodzajowych malarzy flamandzkich, Teniersów i Ostade'ów. do dzieł Velasqueza, do dzieł Ribery; mimowoli zagłębiającemu się w istotę dzisiejszego malarstwa, ci flamandzi i ci hiszpanie na myśl przychodzą, pomimo, że twórcami obowiązującego dziś na świecie całym modernizmu w malarstwie są zmarli niedawno lub dotąd żyjący malarze francuscy.

Przed dziesięciu akurat laty, na wielkiéj międzynarodowéj wystawie malarstwa w Wiedniu, oglądaliśmy jeszcze popisy pojedyńczych — szkół. Monachijszczyzna zalewała cały oddział niemiecki, w Hiszpanii naśladowano niemal niewolniczo starych mistrzów hiszpańskich, w węgierskim oddziale „czerniał“ z daleka Munkacsy, zaś Makartowi hołdował Benczur, oddział włoski świecił zdawkową tandetą, wśród francuskich artystów prezydował jeszcze na honorowém miejscu Bouguereau, a nie było portretu, któryby się z pokrewieństwa z dziełami Carolusa Durand wylegitymować nie mógł, tu i owdzie kładł jasną plamę wchodzący podówczas „w modę“ *plain air.* W ciągu ostatnich lat dziesięciu, fizyognomia wszechświatowego malarstwa zmieniła się do niepoznania. Nie omylimy się twierdząc, że tegoroczna wystawa wszechświatowa sztuki w Berlinie, aczkolwiek wielu okazami sięgająca głęboko w owe dziesięciolecie, pozostanie jednym z najdoskonalszych wyrazów i dowodów owego przełomu i przewrotu w sztuce. W Berlinie, w chwili obecnéj, święci wielki, niezaprzeczony tryumf na całéj linii ów wspomniany wyżéj — modernizm. Po tych kilkunastu olbrzymich salach wystawy, wśród tych setek i tysięcy nagromadzonych z krańców świata obrazów, winie się on i przewija jak nić przewodnia tendencyi po jakiejś wielkiéj zbiorowéj pracy. Piętno nowoczesności, głuszone jeszcze tu i owdzie rutyną, szkołą, obumierającą tradycyą, ostatnim wysiłkiem konwencyonalizmu, wybija się nagle zwycięsko tam, gdziebyśmy go nigdy szukać nie śmieli, opanowuje całe szeregi płócien, przeskakuje z miejsca na miejsce, przepaja w końcu, by się tak wyrazić, cały ów olbrzymi świat

barw i kształtów. Podobnie jak Wagner po wystawieniu w Bajreucie nieśmiertelnéj „Trylogii“ rzec miał: *Nun jetzt, meine Herren, habt ihr eine Kunst!“* — tak chciałoby się zawołać opuszczając gmach wystawy: „Ma teraz świat — malarstwo!“

Malarstwo — dla malarstwa, sztuka — dla sztuki, bez oglądania się na upodobania, wymagania i przyzwyczajania tłumu, bez oglądania się na wszelkie dotychczasowe formułki estetyczne, rozsmakowywanie się w artyzmie samym, dbałość o malarskie czysto zalety dzieła, szczerość, szczerość i raz jeszcze szczerość w odtwarzaniu tego, co się bierze z natury, realistyczne traktowanie przyrody z jaknajszerszém jednak uwzględnieniem indywidualności artysty — oto hasła najnowocześniejsze dzisiejszego malarstwa.

Obok zaś tych, odzywających się zewsząd haseł, biegnie przez wystawę tegoroczną berlińską inny prąd jeszcze, też bardzo nowoczesny, jak najbardziéj *modern*, wielce pokrewny z prądami analogicznemi we wszechświatowéj, obecnéj literaturze. Zasadnicza szczerość w odtwarzaniu przyrody i jéj objawów, doprowadzić musiała do owych, dla silnie indywidualnego artysty niemiłych granic, gdzie kunszt jego znakomitszych jeszcze rezultatów osiągnąć już nie może.

Wyczerpał rozporządzalne siły i środki, a jednak czuje i widzi, że z przyrody, z odpornéj przyrody owéj, nie wydobył jeszcze wszystkiego, co w niéj widzi i odczuwa. Porzuca przeto metodę, sposób, wzięcie się dotychczasowe do rzeczy i szuka, zali inną jaką kombinacyą barw i tonów, innėm kładzeniem farb, odmiennemi rzutami pędzla nie osiągnie idealnego celu, szuka, zali jeszcze dokładniéj nie uda mu się w jakibądź sposób wydobyć światła i koloru, zali materyał malarski, którym rozporządza, nie da się w inny sposób jaki zażyć. Ze wszystkich tego rodzaju prób najobszerniejsze dziś miejsce zajmuje tak zwany ogólnikowo impresyonizm, silnie i na wystawie berlińskiéj reprezentowany potroszę we wszystkich oddziałach. Jestto poprostu próba dobycia niebywałych efektów za pomocą kładzenia kolorów (farb) obok siebie tak, aby oglądane na pewną odległość, oddziaływały na siebie, łączyły się, zléwały tak zupełnie, jak łączą się i zlewają barwne kontrasty w naturze. Malarz kładzie obok siebie zasadnicze, podpatrzone w przyrodzie, tony a oko widza powinno harmonię ich... w duszy swéj dośpiéwać. Rzecz prosta, metoda taka użyta nieumiejętnie wydaje — dziwolągi; malarz atoli w impresyonizmie biegły, osiąga czasem rezultat wprost zdumiewający. Nadto przymieszkę metody impresyonistycznéj, nie posuniętéj do ostatnich granic, znajdujemy w dziełach najlepszych dziś przedstawicieli malarstwa. W malowaniu zatém czystemi zasadniczemi (lokalnemi)

tonami, bez owego „harmonizowania“ tak ulubionego np. przez monachijską szkołę, w dbałości o czystość barw, w uwzględnianiu jedynie plam barwnych w przyrodzie, jest niezaprzeczenie racyonalność, któréj godne uznania owoce na wystawie berlińskiéj palcem wskazać łacno. Nie nowym jest impresyonizm, boć przecie już w paru obrazach Velasqueza znaleść można jego zasady; ale na tę skalę co obecnie, stosowanym nigdy nie był, nie był téż nigdy stosowanym tak *in crudo*, jak sobie niektórzy dziś artyści stosować go pozwalają. Jest na wystawie berlińskiéj obraz Belga, Emila Clausa, zatytułowany „*Eisvögel*“, wyobrażający śniegiem pokrytą równinę, falowatą, którą przepływa rzeczka lub kanał zamarznięty; po lodzie ślizga się kilku chłopaków. Obraz jest doskonałym okazem prawie czystego impresyonizmu; artysta za pomocą metody impresyonistycznéj osiągnął prześwietny rezultat; refleksy zachodzącego słońca na lodzie i śniegu tak znakomite, całe wogóle oświetlenie krajobrazu, powietrze, ton figur tak wyborne, że rzeczony obraz Clausa — jak dla nas przynajmniéj — jest jednym z najlepszych krajobrazów na całéj wogóle wystawie. Współzawodniczyć z nim może jedynie inny krajobraz tegoż samego Clausa traktowany bez impresyonizmu tylko w czysto nowoczesnym stylu, z wysoką szczerością, ze wspaniałym artyzmem malarskim. To „*Die alte Lys*“, kawał pastwiskowéj łąki przeciętéj rzeką na któréj łódź i rybak w niéj zapalający fajkę. Dal, perspektywa powietrza, nastrój chłodnego dnia październikowego, odbicia się nieba w wodzie—znakomite. Te dwa obrazy Clausa ilustrują doskonale dwa główne prądy nurtujące malarstwo dzisiejsze: modernizm i dobywanie za pomocą ulubionéj impresyonistycznéj metody w niebywały dotąd sposób, tego, co natura stawia artyście przed oczy.

Jest jeszcze jedna kategorya artystów silnie na berlińskiéj wystawie odznaczona. Należą do niéj ludzie, którym się szczerość, realizm, pospolitość, rodzajowe sceny, krajobrazy wiernie z natury brane—sprzykrzyły. Są to artyści i tematami dotychczasowemi i sposobami odtwarzania tych tematów przesyceni. Próbowali wszystkiego, dotknęli wszystkich stron współczesnego im świata, wszystkich zażyli metod i kierunków, a teraz gonią już za czémś niebywałém lub bardzo i bardzo odległém, za czémś, w czém oni tylko sami zagustować mogą. Do nich to da się zastosować aksyomat: braknie im to, co—nie istnieje. Wyszukują oni jakichś zakątków artyzmu, jakichś kąsków nie podawanych już dziś wcale na stół wspólny, jakichś smaków osobliwych i nadzwyczajnych dla przesyconych podniebień własnych i im podobnych wybrednisiów. Wyrafinowane mają gusta i upodobania, jakieś niezrozumiałe dla tłumu rozkosze kontemplacyjne.

Oto de Vriendt z Antwerpii sięga, aż w czasy Memlinga i z archaiczną, wybornie naśladowaną naiwnością odtwarza sceny średniowieczne; maluje jak średniowieczny benedyktyn ilustrujący inicyały mszału lub psałterza, komponuje obraz ślicznie, ale rozmyślnie zostawia mu całkiem archaiczny charakter. I owym archaizmem, a raczéj archaizowaniem zabawia się dziś wielu malarzy zwłaszcza w Belgii. W innéj stronie oto, Amerykanin Edwin Weeks i kilku jeszcze jego rodaków oddają się specyalnie malowania krajobrazów... japońskich, na sposób... japoński. Ani słowa, jest w tém *sui generis* artyzm, nawet niezmiernie ponętny jako oryginalność, wyborny sumiennością wykończenia, ciepłem tonów, elegancyą, czasem jaskrawością bardzo smaczną — są to jednak bądźcobądź owe wyszukane smaki przesyconych podniebień. Jak w piśmiennictwie dziś tak i w malarstwie o miedzę ze skrajnym realizmem graniczy — mistycyzm, symbolizm, powiedzmy utartem słowem: dekadentyzm *fin de siècle.* Talent nawskroś realny Włocha Segantiniego wystrzela oto nagle istną zagadką, zatytułowaną „Nirwana": wśród lodowców, otoczonych alpejskiemi wzgórzami, leżą dwie martwe, nagie kobiéty. Dlaczego — nirwana? skąd — nirwana? Gdzie — nirwana? Odpowiedź na te pytanie oczywiście znaleść musiał sam artysta, ale mądry będzie, kto z obrazu samego je wyczyta. W Anglii, dotąd opornéj dla realizmu traktowania, oraz pospolitości, powszedniości tematów, zakwitł i bujnie nawet rozrasta się— prerafaelizm (malowanie na sposób poprzedników Rafaela). Jest w tém też artyzm, jest smak osobliwy, w którym rozsmakować się można, ba, nawet rozkochać, ale wspólnego z modernizmem nic nie ma ów przed-rafaelizm. Typowym jego przedstawicielem jest w Berlinie Fr. Leighton, twórca prześlicznéj „Idylli". Dwie młode Greczynki pod drzewem, na tle szerokiego krajobrazu, przysłuchują się grze na fletni młodego, śniadego chłopaka, plecami do widza odwróconego. Miękkość linii, delikatność dotknięcia, idealizm, skoro innego słowa użyć tu nie można, dziwny jakiś czar prostoty i poezyi wykwintnéj cechują ten obraz, jeden z najpiękniejszych na wystawie. Rzecz prosta, poprzednikom Rafaela nie śniło się o takiéj rafineryi wykwintu, smaku i techniki skończonéj; obraz przypomina tylko sposób ich malowania i dla tego przypomnienia poświęca obowiązujący dziś w malarstwie realizm. Podobno Leighton przerzucił się z prerafaelizmu napowrót do nowoczesnego sposobu malowania i... patrzenia na świat boży. Szkoda; ze wszystkich objawów dekadentyzmu ma prerafaelizm najwięcéj pociągającego, wprost czarującego artyzmu, dalekim zaś jest od romantycznego konwencyonalizmu.

Wobec tych prądów, kierunków, wobec modernizmu obowiązującego wszech wobec i każdego dziś zosobna malarza, rzecz naturalna, że tak zwane malarstwo historyczne, o ile nie wygasło jeszcze całkiem, nader smutną odgrywa rolę. Wyszło z mody. Modą dziś jest obierać jaknajpospolitsze tematy, nie silić się na wiele „mówiące“ kompozycye, nie ilustrować prawdziwych lub bajecznych opowieści. Rodzaj (*genre*) przygłusza doszczętnie malarstwo historyczne; malarz chętniéj bierze się do odtwarzania tego, co *in anima vili* studyować może, niż do komponowania, do mozolnego układania z pojedyńczych części scen, na których zawsze zszywanie znaczném będzie. Nie chodzi mu zresztą o model, chodzi mu o to, co farby i ich ułożenie powiedzą mu jako artyście, jakiemi cechami czysto malarskiemi ten swój model, pierwszy lepszy od brzegu wyposaży. Król, bohatér czy pastuch trzody chlewnéj — mniejsza. Belgijczyk Frederic maluje na olbrzymiém płótnie odpoczynek rodziny ubogich handlarzy krédą, śniadającéj gdzieś za miastem, a z taką lubością, z taką dbałością o charakterystykę, istotnie świetną, każdéj postaci, jakby to areopag był potentatów rządzących światem. Sceny ludowe, rodzajowe, uliczne, pojedyńcze postaci charakterystyczne — na porządku dziennym wszędzie. Jedni jeszcze Hiszpanie uprawiają malarstwo historyczne w szerokim stylu na odpowiedniéj wielkości płótnach. Ale obrazy te najsłabsze w całym ich oddziale. Ani groźna scena z dziejów nieszczęsnéj Inezy de Castro, malowana przez Salvatora M. Cubellsa, ani Alizala olbrzymie obrazy, ani Alvareza „Filip II-gi na wałach Eskuryalu“, ani nawet tak rozgłośne Luny y Novicio „*Spoliarium*“ (scena wywlekania gladyatorów konających z areny) nie porywają, nie przejmują zamierzoną grozą, co znamienniejsze, nie ściągają już nawet tłumu. Znawcy i profani skupiają się przed obrazami, na których niewiele jest „do oglądania“, natomiast dających pole do „lubowania się“ artyzmem malarskim. Jak sięgnąć myślą, z całego historycznego malarstwa na wystawie berlińskiéj wyróżnia się niepospolicie, bez szowinistycznego komplimentu, — „Skarga“ Matejki i to dzięki potężnéj indywidualności samego artysty. Malarstwa religijnego prawie nie ma wcale, gdyż nie sposób zaliczyć doń kilku „Pieta“, w których ani zwłoki Chrystusa, ani Matka nad niemi bolejąca nic a nic wspólnego z „religią“ nie mają; są to zwykłe modele, za pomocą których chciał malarz temi lub owemi efektami malarskiemi popisać się przed światem. Bouguereau dał „Święte niewiasty przy grobie“ i „Madonnę“, dwa obrazy konwencyonalne, słabe, bez wyrazu i charakteru. Węgier Arpad Feszty usiłuje na dużym swym obrazie „Niewiasty przy grobie“ połączyć akademicką kompozycyę z realistycz-

nêm, śmiałêm, kontrastowêm traktowaniem, ale daje nam tylko dzieło połowiczne bez smaku, krzykliwe w kolorze, a nie mówić już nic o „duchu“, który miał je ożywiać. Dobry „Chrystus w Betanii“ Gebhardta z Düsseldorfu stanowiska religijnego malarstwa wogóle nie ratuje. Już jeżeli wyróżnić jaki obraz w tym rodzaju, to—Piechowskiego „*Via et vita nostra*“, co prawda też nie religijny w utartém znaczeniu słowa, ale przynajmniéj wspaniały w kolorze i archaicznością swoją wywołujący istotnie nastrój podniosły, biblijny. Wszystkie zalety tego niepowszedniego dzieła, które Warszawa zna z wystawy Towarzystwa sztuk pięknych, ocenić można było dopiéro w Berlinie, gdzie je w stosownêm świetle i w bardzo dobrém miejscu powieszono. Obraz to zwracający uwagę, trochę dekadencki, trochę niedociągnięty, trochę za bardzo oryginalny, trochę aż za śmiały w charakterystyce np. owych żołnierzy żydowskich otaczających krzyż z konającym Zbawicielem — w każdym jednak razie jeden to z lepszych obrazów na całéj wystawie berlińskiéj. Ale natchnienia i ducha Giotto'ów, Rafaelów, Domenichinów — w téj nowoczesnéj galeryi berlińskiéj nie szukać. Wraz z zaniedbaną tradycyą ich techniki i duch ożywiający ich nieśmiertelne dzieła uleciał ze świata.

II.

Malarstwo niemieckie —Berlin, Stuttgart, Karlsruhe, Düsseldorf, Weimar, Drezno, Monachium. — Narodowość i rasa. — Włosi. — Hiszpania. — Belgijski oddział. — Dania.—Norwegia.—Amerykanie.—Węgrzy.—Artyści ruscy. — Anglia. — Obrazy Böcklina.—Nieobecność Francyi.—Rzeźba międzynarodowa.

Wbrew tradycyom gościnności, gospodarze wystawy berlińskiéj, artyści niemieccy, zajęli w gmachu wystawowym najobszerniejsze miejsce. Kiedy z międzynarodowców, jedni tylko Amerykanie wystawili do 300 mniéj więcéj dzieł sztuki, oddział, raczéj oddziały niemieckie (Berlin, Monachium, Düsseldorf, Karlsruhe, Stuttgart, Weimar, Drezno) mają 1,968 numerów, a w téj liczbie samych obrazów olejnych 1,300. Belgia i Włochy mają po 200 okazów, polscy artyści 176, Hiszpania 115, artyści węgierscy 110 i t. d. O skrupulatnie ścisłą statystykę „narodowościową“ trudno; katalog, niezdarny do niemożliwości, jéj nie podaje, a w niemieckie zwłaszcza oddziały powsiąkały dzieła artystów, mających jedynie wspólność z niemieckiemi ogniskami artystycznego kształcenia się. Tak np. w sali, nad drzwiami któréj błyszczy złoty napis „Weimar“, znajdujemy znakomite *plein-air*'y rodzajowe i portrety szweda Frithjofa Smitha, istną ozdobę tego działu stanowiące; daléj w „monachijskiéj“ sali młody amerykanin

południowiec, Marr Karol, twórca „Biczowników“, wystawił wyborny obrazek, wyobrażający wnętrze zakrystyi, w któréj na przybycie celebransa oczekuje dwóch chłopaków gotowych do mszalnéj usługi; w oddziale „austryackim“ najlepsze portrety są pędzla... Kazimierza Pochwalskiego, zaś najlepszy tamże obraz batalistyczny („Cesarz Franciszek na manewrach“), podznaczony nazwiskiem Tadeusza Ajdukiewicza; tamże wiszą obrazy Brożika, Czecha, i Passiniego, Włocha, a w oddziale „ruskim“ prym trzyma obraz Stefana Bakałowicza „Klienci oczekujący na patrona“ i t. d. Wszystkie te wysepki na międzynarodowe morza rzucone, nie wchodzą w powyższą *quasi* urzędową rachubę. Liczy się z niemi sumienna krytyka, wyławianie atoli owych *rari nantes in gurgite vasto* do łatwych zadań bynajmniéj nie należy.

Ciekawy obraz dążeń i kierunków malarskich przedstawia tegoczesny Berlin. Gdy przed laty senior tamtejszych artystów, genialny Adolf Menzel, liczący dziś prawie lat 80, północno-niemiecką sztukę z więzów konwencyonalizmu i kosmopolitycznéj bezbarwności wyzwolił, kiedy świetną swoją charakterystyką i głębokiém sięgnięciem w narodowe, powiem: lokalne tematy, pociągnął za sobą, w swoje tory i ślady całą falangę artystów, tenże właśnie kierunek, arcy-zbawienny, osobliwe zaczął plony wydawać na brandeburskim gruncie. Fridericiany Menzla wywołały w prostéj linii apologetyczne obrazy Wernera; świetne sceny menzlowskie, wyjęte jakby żywcem z epopei wojny siedmioletniéj, przerodziły się w nieznośnie napuszone, pyszałkowato wydęte malowidła niemieckiego Verneta prusko-francuskiéj kampanii ostatniéj. Owo brząkanie w strunę narodowéj miłości własnéj niezmiernie podobało się twórcom bezpośrednim i pośrednim cesarstwa niemieckiego, jęło przeto wielu, wielu artystów stąpać Wernerowi po piętach i wytworzyło się najnieznośniejsze pod słońcem, z serwilizmem graniczące, z istotą sztuki nie mające nic wspólnego piętno charakterystyczne, którém dziś t. zw. szkoła berlińska paraduje przed światem. Podobno już obecnie przytarło się ono nieco i mniéj jaskrawo na jaw występuje, niż przed niedawnym jeszcze czasem — w każdym atoli razie tak zwany „*Kaisersaal*“ na tegorocznéj wystawie berlińskiéj dostatecznie dowodzi, jaką wagę na kierunek ów kładą dziś jeszcze w Berlinie, jakie mu miejsce poczestne wyznaczają.

Wśród owych niezliczonych portretów „Sali cesarskiéj“, malowanych i przez Angeli’ego wprawdzie i przez Lenbacha, ale słabszych jeden od drugiego, wśród niezdarnéj „Apoteozy cesarza Wilhelma“ malowanéj przez Kellera, oraz epizodów z wojny prusko-fran-

cuskiéj, wśród batalistycznych scen Röchlinga, beniaminka dzisiejszych filistrów berlińskich, wybija się zaszczytnie na wierzch jeden, jedyny obraz, nieduży, ale wybornie malowany: Fałata „Powrót dwóch cesarzów z polowania w Nieświeżu.“

Obok zaś tego reprezentacyjno-szowinistycznego kierunku przewija się tu i owdzie wśród całokształtu berlińskiego malarstwa prąd nowy, świeży, czysto nowoczesny; steruje nim Fr. Skarbina, impresyonista w najlepszém słowa tego znaczeniu, malujący z wielką śmiałością i poczuciem, rzucający farbami w płótno napozór bezładnie, a wywołujący niemi wyborne, pełne prawdy i charakteru efekta. Wogóle, sposób jego malowania przypomina nieco Francuza Rafaelli'ego, nawet czasem w wyborze tematów—wybór to atoli przypadkowy, wywołany pokrewieństwem upodobań artystycznych, smaku i jednakowego zajęcia się czysto malarskiemi cechami motywu. Skarbina nie ma tylko bodaj siły charakterystyki Rafaelli'ego. Lepiéj odtwarza światła, refleksy, efekta powietrzne, oddziaływanie jednych barw na drugie, niż postaci same. Tematy jego proste: baba wchodząca z bukietem w ręku do pokoju, dziewczyna wiejska modląca się przed ołtarzem w kościołku, para zakochanych rozmawiająca przy świetle lampy czerwonym abażurem przysłoniętéj, kawał łąki w słońcu... ogółem pięć obrazów silnie piętnem indywidualności artystycznéj naznaczonych. Stanął też do apelu Liebermann, koryfeusz dziś malarstwa niemieckiego i współzawodnik jego Gussow z kilku pięknemi portretami, do zbytku tylko może „ciepłemi“ i obrazem dziwacznym, wyobrażającym trzy baby straszne, jak grzechy śmiertelne, pochylone nad dzieckiem przy piersiach u matki; mają to być „Parki wiejskie“; obraz efektowny, ale prawdy w nim mało. Po sali berlińskiéj, jak okiem sięgnąć, majaczeją tu i owdzie strzępki „*Kaisersaalu*“, obrazki militarne Röchlinga, zabarwione *sui generis* humorem niewyszukanym, trochę potyczek to piechoty, to konnicy, trochę ciężkim sentymentem zaprawionych rodzajowych obrazków, wybornie nadających się dla reprodukcyi w „*Gartenlaube*“, trochę rzutów w modernizm, trochę krajobrazów dobrych, zwłaszcza w nastroju (para ilustracyi do poezyi Lenau'a). Rozgłosném nazwiskiem ściąga ku sobie widzów Ludwik Knaus. Jego „Narada chłopów“ dobra, ale, niestety, z roku 1873, zatém niedająca wyobrażenia o teraźniejszéj działalności mistrza. Menzel dał dwa nieduże obrazki: „Bal dworski“, doskonały w oświetleniu enfilady sali i w charakterystyce wielko-światowego dyplomatyczno-wojskowego towarzystwa, oraz „Promenada w parku“, pełna tłumu miejskiego różnorodnego, wyborna w dalszych planach. Obraz-

ki to bardzo dobre, ale z lat dawniejszych i bądź co bądź nie mogące mierzyć się z Menzla większéj skali dziełami.

Pod względem liczebności, sumienności pracy i wytrawności rutynicznéj, pokaźnie przedstawia się Düsseldorff, mający oddzielną wielką salę. Weimar, jak się rzekło, ma Frithjofa Smith'a, zaś Karlsruhe dwa obrazy Klausa Meyera: „Szpieg“, scenę z prusko-francuskiéj wojny i „Politycy“, zwykłe Klaus-Meyerowskie oświetlenie z góry przez wąskie okno, pod światło, kilka postaci. „Szpieg“ aczkolwiek silnie przeczerniony, sprawia istotnie przejmujące wrażenie. Siedzi on na zydlu pod ścianą, dygocąc ze strachu, wpatrzony przed siebie, a nadsłuchujący, co téż tam mówią Prusacy oglądający w sąsiednim pokoju jego papiéry; dwóch żołnierzy strzeże opodal ptaszka; latarnia na ziemi stojąca, oświetla fantastycznie postać szpiega, silnie wrażającą się w pamięć.

Sala monachijska tak wyodrębnia się z pośród sal wszystkich niemieckich, jak prąd słodkiéj, rzecznéj wody, wrzynający się w morze. Światłość, czystość kolorów i pewna migotliwa barwność rzucają się od razu w oczy widzowi już od progu. Panuje w sali owéj jakby inna jakaś atmosfera, jakby szersze, pełniejsze powietrze. Wpływ Francyi widoczny na całéj linii.

Rzecz dziwna zaiste i charakterystyczna! To Monachium, które obdarzyło świat malarski tą słynną „monachijszczyzną“, owém zlewaniem w ton jeden wszystkich kolorów, owém nadmierném harmonizowaniem w ton brunatny, konwencyonalny, ciepły przesadnie, barw najróżnorodniejszych; które wyrobiło i narzuciło nam nieznośny szablon kolorystyczny, co zatarł i przygłuszył tyle a tyle indywidualności artystycznych; które wytworzyło specyalny rodzaj „*genru*“, wiecznie na tych samych motywach opartego; w którém królowała tak długo szkoła Pilottiego—dziś rozbiéra się całkiem z tych, by się tak wyrazić, szat narodowych, rzuca je malarskiéj aryergardzie lub młodzieży hen gdzieś, z tyłu nadciągającéj w szranki powoli, rozdaje je oto Węgrom, oto nam po troszę, oto artystom ruskim, oto Duńczykom, a samo odrodzone, odmłodzone, odświeżone, z temperamentem iście artystycznym, ma odwagę zerwać *coram populo* z najulubieńszemi swemi tradycyami. I słusznie, i przyjemność to prawdziwa oglądać tę ewolucyę szlachetną, to rwanie się do doskonalenia się i coraz to pełniejszych zdobyczy. Monachium nie naśladuje artystów francuskich niewolniczo — wzięło tylko śmiało ich metodę i rozwija ją na własną rękę, na własnym gruncie.

Dziwnie téż obok tych nowych dążeń odbijają niektóre starszéj daty dzieła mistrzów dawno uznanéj sławy, lub tychże mistrzów dal-

sze, coraz słabsze próby. Grützner, specyalista w malowaniu scen klasztornych, już nie wybija się z tłumu swoją „Muzyką dla ekscelencyi“, a Deffregger, słynny Deffregger dał dwie sceny rodzajowe słabe niezmiernie. Trzyma się jeszcze portretami swemi na pewnym podniosłym poziomie Kaulbach, ale przyćmiewa go tłum młodszych, młodszych od „młodszego Kaulbacha“ nietylko latami, ale i młodością dążeń, oraz poglądów na sztukę malarską. A młodych tych legion cały, dziś może jeszcze bez prowodyrów, którychby świat szeroki nazwiska powtarzał, ale gotujących się na wydanie niepoślednich talentów. Rwie się do efektów niebywałych Pilghein, rzucający się w oczy swoją „Ślepą“, kroczącą przez pole usłane czerwonemi... makami, od których łuna formalna bije na obraz cały, Hoecker nie waha się rzucić postać swéj „Mniszki“ na ogromne tło jasno oświetlonéj, zielonéj alei, dekadent Stuck maluje „Lucypera“ najzupełniéj fantastycznego, hypnotyzującego ślepiami, błyszczącemi jak dwa metalowe guziki, zalęknionych przechodniów; *plein-airzystów* mnóstwo, a i impresyonistów nie brak. Słowem—życie, ruch, praca i współzawodnictwo szlachetne wszędzie. Monachium ratuje sławę niemieckiego malarstwa na wystawie berlińskiéj.

Nie braknie przeto Niemcom talentów, zdolności, wysokich uzdolnień, fachowców malarskich, niezmiernie sumiennych pracowników, nie braknie nawet artystów z krwi i kości, jak się mówi; braknie tylko całemu wogóle malarstwu niemieckiemu, reprezentowanemu na wystawie znamion—rasy. Pod tym względem jest jeden Menzel, któregoby uważać można za typowego przedstawiciela plemienia germańskiego rasy w malarstwie wszechświatowém; Menzel atoli pomimo całego swego wpływu, pomimo że wyprowadzićby należało w prostéj od niego linii i Liebermanna i Uhdego (ten ostatni nic na tegoroczną wystawę nie nadesłał), pomimo że on to wzmocnił dzieła Deffreggera i Knausa, pozostał jednak odosobniony i jest ową jaskółką, która, niestety, wiosny nie stanowi. Próbują Niemcy widzieć w Böcklinie, anektowanym Szwajcarze, wyobraziciela najdoskonalszego rasy germańskich malarzów—nie ostoją się atoli te ich uroszczenia wobec téż osamotnienia wielkiego artysty-dziwaka.

Rasy, istotnéj rasy, wielkiéj, nie dającéj się nabyć i wywołać odrębności narodowéj, szukajmy daléj, u artystów hiszpańskich, włoskich, polskich, węgierskich.

Prym pod tym względem trzymają przedstawiciele sztuki na półwyspach: pirenejskim i apenińskim. I Hiszpanie i Włosi — zwłaszcza Włosi — hołdują wszechmodnemu dziś modernizmowi, ale... na swój sposób, to jest stosownie do temperamentu narodowego i wrodzo-

nych skłonności. Jaskrawi, namiętni, często ordynarni tworzą oni, na téj saméj zasadzie szczerości i realizmu indywidualnego, dzieła wyróżniające się jednak, jak nożem odciął, z pośród dzieł artystów innych narodowości. Włoch przeholuje w sile, w kontrastach, w lubowaniu się w tanich efektach, w fajerwerkowém wirtuozowstwie pędzla, blagą jak piaskiem rzuci w oczy — a jednak... jednak, kiedy stoisz w téj włoskiéj sali, coś porywa cię, ciągnie do tych obrazów i budzi to dziwne, potężne zajęcie, które siły wyczerpane zwiedzającego podwaja i chwilę mu daje zapomnienia się, chwilę istotnéj rozkoszy artystycznéj. Powiédzmy z góry, że oddział włoski na wystawie berlińskiéj przedstawia się tak wspaniale, jak nigdy dotąd gdzieindziéj nie wystąpił, a to dzięki zasileniu go przez króla Humberta kilkunastu najlepszemi płótnami z królewskich zbiorów w Monza. Trudno przeto o dzisiejszym stanie malarstwa włoskiego sądzić z popisu berlińskiego, trudno jednak z drugiéj strony szczerych nie oddać pochwał owéj wielkiéj a pięknéj sali włoskiéj, którą nam dano oglądać. Króluje w niéj Paweł Michetti. Dziewięć obrazów, a każdy pyszny. Powiedzą mi: to naśladowca Fortunia. Zgoda, ale czy Fortunio w najlepszych czasach swéj twórczości, spaliwszy wszystkie swoje fajerwerki, rozrzuciwszy wszystkie jedwabne strzępki farb swoich, zdobył się kiedy na tak skończenie piękne, powtarzam: skończenie dobre obrazki, jak oto Michetti'ego „Pastuszka indyków“, lub „Pastuszka owiec“? Jest tedy w Michetti'm, szalonym wirtuozie pędzla, rozlubowanym w bajecznych efektach kolorystycznych takiéj „Uroczystości kościelnéj w Abruzzach“, jeszcze coś więcéj, jest artysta nader szerokiéj i rozległéj skali. Rzuci na tło ciemno-niebieskie nieba i morza kilku śpiéwających Włochów, figury oczy gryzące od słońca, którém je oblał, nałoży tonów surowych, krzykliwych, obok najsubtelniéj delikatnych („Serenada“), ale tuż obok malować będzie *piano*, *pianissimo*, prześliczne, łagodne obrazki lub brawurowe w najczyściéj nowoczesnym stylu sceny ludowe („Pochód do kościoła“). Wielki to mistrz, a zarazem oryginalny, typowy okaz włoskiego *pur sang* malarza. A Segantini? Impresyonista, dziwak, filozof, dekadent, raz dający nam „Orkę w Engadinie“, całą w kontrastach wybornie z natury pochwyconych i zapamiętanych, a tu zaraz taką „Nirwanę“, dziwactwo *fin de siècle:* nagie kobiéty, leżące wśród górskich lodowców, istną szaradę malowaną, któréj znaczenia nie odgadnąć. Ale i to bujna, rasowa, południowa natura, która gdy się „uda“, to wyrasta na jakiegoś Leopardiego lub Ugo Foscolo. Są tam jeszcze w oddziale włoskim pyszne sceny ludowe uliczne, z wielkim smakiem, krewkim temperamentem i niepoślednią techniką malarską trakto-

wane, jest jedno wybrzeże morskie, które osiadło kilku mężczyzn i kobiét, znakomite pod względem powietrza i światła, są obrazy pierwszorzędne takich artystów, jak Ciardi (sceny i widoki weneckie), jak Branccacio (widok ulicy ożywionéj i miasteczka nad morzem), jak Farretto, który świetnie modernizm francuski na grunt włoski przeszczepia, śmiało, szeroko, często szkicowo malujący, jak Oca Bianca, wreszcie są doskonałe, lepsze nawet niż angielskie, akwarele, obrazy istotne, wielkiéj skali, wykończone znakomicie np. Simoni'ego („Gra w Mora“), lub Cipriani'ego... Gdzieby wszystkich wyliczyć, a jednak każdy tak żywo staje natychmiast w pamięci i doprasza się wzmianki. W tém biéda cała, że najtrafniejsza, najrozważniéj obmyślana „wzmianka“ pojęcia o obrazie czytelnikowi dać nie może...

Hiszpanie zajęli dwie duże sale. Pokrewieństwa z włoskiém malarstwem tu dużo. Ten sam, może jeszcze potężniejszy temperament, jeszcze wybitniejsza błyskotliwość, jeszcze wyuzdańsze efekciarstwo—ale jest rasa, jest dobra rasa, ćwiczona na takich mistrzach, jak Ribeira i Goya, lub wyrafinowanie w „kolorze“ rozkochana. Nikt w ten sposób malować nie potrafi scen tłumnych a błyskotliwych, jak Hiszpanie. Zwłaszcza ulubione są tam za Pirenejami uroczystości kościelne, lub sceny walk byków, gdzie artysta nurza się formalnie w połyskach jedwabi, strojów wzorzystych, złota, szychów i purpury. Nikt tak, jak Hiszpanie, nie potrafi wyzyskać dalszych planów wnętrz kościelnych, gdzie w zmroku błyskają plamy dalekich okien lub bliki ornatowych wyszywań, nikt tak nie położy obok siebie, ze swobodą napozór największą, a w istocie z benedyktyńską cierpliwością fałdek i fałdeczek, sznurów i sznureczków, galonów i galoników, stroju matadora. A dopiéroż gdy się dorwie do piasków żółtobiałych w pełnem słońcu, co za tło służą jakiéjś kameleonowéj procesyi! Czujesz, zda się, jak artysta sam identyfikował się z tą żrącą pożarami słońca, naturą, z temi oślepiającemi jéj barwami. Jest aż nawet nieco dzikości (barbaryzmu) w tém lubowaniu się w jaskrawościach i efektach oświetleń i kolorów.

Charakterystycznéj téj cechy malarstwa hiszpańskiego najdoskonalszym przedstawicielem jest Gallegos, a góruje nad nim szerszą skalą talentu i pewnym impresyonizmem szlachetnym Benlliure y Gil. Pierwszy dał obrazki nieduże, ale typowe, jako spadkobierstwo Fortuni'ego podniesione do potęgi *sui generis* specyalności; Benlliure y Gil dał wyborną „Lekcyę katechizmu“, oraz wielki obraz wyobrażający procesyę kroczącą przez kościół, w którym zalety kolorystyczne walczą o lepsze ze znakomitą charakterystyką figur.

Inną jeszcze cechę malarstwa hiszpańskiego stanowi upodobanie

w obrazach rozmiarów... olbrzymich, o tematach... patetycznych. Scena posępna, groźna lub krwawa, rzucona na kilkanaście metrów kwadratowych płótna, ma zastąpić braki artyzmu i zalet czysto malarskich; nie zastępuje ich atoli ani w „Ines de Castro“ Cubellsa, ani w „*Spoliarium*“ Luny y Novicio, ani w Alvareza „Filipie na wałach Eskurialu.“ Ani widok trupa królowéj usadowionego na tronie, ani krwią zbroczone ciała gladyatorów wywlekane z areny, ani groźny król biesiadujący z siepaczami swymi na tle poszarpanego ponuremi chmurami nieba nie dają zapomnieć, że artyście zabrakło widocznie czasu na wymalowanie obrazu — małego. Zresztą, całe to hiszpańskie *quasi* historyczne malarstwo rozbija się o kardynalny szkopuł, o brak obowiązującego dziś ogólnie — modernizmu; to jakby tragedya wierszem pisana, zabłąkana na scenę „*Freie Bühne*“ lub „*Thèatre Libre.*“

Kto zaś czystéj wody modernizmu szuka w sztuce, niech ku salom belgijskim się zwróci. Belgia rzucona bezpośrednio między Francyę i Holandyę, gdzie wprost ze źródła modernizm ów na świat płynie, nie dziw, że wpływowi modernizmu silnie uległa. Dziw tylko, że w Belgii znalazło się tyle istotnych talentów, które poszły śladami Bastien-Lepaga i Corota i Milleta, a z drugiéj strony wielkiego Holendra Israelsa. Jak sięgnąć okiem po dwóch salach belgijskich: kawały, odłamy natury rzucane z siłą i wielkiém poczuciem na płótno, odtwarzane przez pryzmat niepoślednich artystycznych natur malarskich. Oto „Dziewczyna wiejska opłukująca warzywo“ Carpentiera z Bruxelli, wielka scena rodzajowa, pełna prawdy surowéj nieco, bezwzględnéj, szczeréj; oto wyborni „Handlarze krédą“ L. Frederic'a, świetni w bezwzględnéj, prawdziwéj, ponuréj charakterystyce postaci, twarzy, ruchu; oto sceny z nad brzegów Północnego morza Farasyna z Antwerpii, pełne melancholijnéj grozy „*marine'y*“; oto wreszcie dwa najlepsze krajobrazy na całéj wogóle wystawie: Emila Clausa „Stara Lys“ i „Kwiaty lodowe“ (*Eisvögel*). Październikowe, chłodne poobiedzie objęło szmat łąki, któréj płaszczyzna ginie hen, na horyzoncie; rzeka łąkę przecinająca odbija niebo zbałwanione obłokami; na rzece tratwa, a na niéj stary chłop fajkę zapala—oto „Stara Lys.“ Rzec śmiało można, jest-to wolne od wszelkiego konwencyonalizmu i wszelkiéj maniery, najzupełniéj szczere a piękne, idealnie doskonałe odtworzenie natury. W ten sposób maluje jeden tylko artysta, nasz Chełmoński; w Clausa „Staréj Lys“ atoli jeszcze mniéj indywidualności samego artysty się przebija i przeto pejzaż jego jeszcze świetniejszy, niż Chełmońskiego znane krajobrazy. Drugi obraz Clausa, wyobrażający kilku chłopaków ślizgających się po zamarzniętym stru-

mieniu, lub kanale przepływającym przez grubo śniegiem usłaną płaszczyznę, jest próbą dobycia za pomocą ściśle impresyonistycznéj metody malowania prawdziwych i szczerych efektów. Próba udała się znakomicie. Tak znakomicie refleksowanego śniegu i oświetlonego lodu nie zdarzyło mi się widziéć ani na obrazach starych, ani nowoczesnych mistrzów. „*Eisvögel*“ potwierdzają niezbicie racyonalność metody impresyonistycznéj, ale... trzeba nią tak po mistrzowsku władać, jak Claus, aby nawet tak karkołomną metodą malowania rezultat zamierzony osiągnąć.

Przedstawicielem archaizmu dekandeckiego w malarstwie belgijskiém jest wspomniany wyżéj, bardzo uzdolniony de Vriendt z Antwerpii.

Sumienność wykonania i smak doskonały cechują oddział duński. Krajobrazy o dalekich powietrznych perspektywach (Thorenfelda „Dzień niedzielny nad Isefjordem“), rybackie typowe postaci (np. Anchera), sceny rodzajowe („Obiad w plebanii“ Thomsena, „Przyjaciele“ Johansena zgromadzeni przy lampie w salonie), sceny pełne jakiéjś rodzinnéj ciszy i błogiego nastroju, trochę sentymentem niemieckim zabarwione — oto struny, w które przeważnie uderzają malarze duńscy na międzynarodowym koncercie berlińskim. Holenderscy artyści srodze wciąż jeszcze pod wpływem Rembranta; kierunek ów idzie tam równolegle z kierunkiem pięknego modernizmu i impresyonizmem, którego przedstawiciela w holenderskim oddziale nie brak. Israels, najwybitniejszy dziś malarz holenderski, nie nadesłał nic. Norwegia nie wiele na wystawie zajmuje miejsca, z powodu wielkiego szwecko-norwegskiego popisu malarskiego, odbywającego się właśnie tego lata w Chrystyanii. Naturalnie, krajobrazów „fiordowych“ Normanna, więcéj rozgłośnych niż na rozgłos ów zasługujących, w oddziale norweskim kilka. Efektowne, wymuskane i prawdy w nich nie wiele. Natomiast bardzo dobry widok portu na Lofotach, przypruszonego krą, owianego mgłami, dał Berg, norwegczyk, równie jak Normann, stale w Berlinie zamieszkały. Najwięcéj silenia się na oryginalność i „niebywałość“ wśród—Amerykanów. Paryż, w którym najwięcéj dziś malarzów amerykańskich przebywa, zaraził ich tą właśnie rafineryą pomysłów i gonieniem za najwyszukańszemi efektami, oraz tematami. Sporo tam krajobrazów egzotycznych i egzotycznych scen, scenek, typów, skrawków przyrody i zakątków nam nieznanych; oddać jednak sprawiedliwość należy wysokiemu wyrobieniu technicznemu, oraz istotnym talentom artystycznym takich pp. Moore lub Spreage Pearce.

Sześćdziesięciu malarzy węgierskich stanęło na wystawie do

apelu. Jako przedstawicielom trójprzymierza, oddano na ich wyłączny użytek jedną z naczelnych, obszernych sal i — o tym oddziale węgierskim mówiono w Berlinie wiele i szeroko podczas uroczystego otwarcia wystawy. Sypnęło się téż oddziałowi temu niemało pochwał po dziennikach. Czy słusznie? Po części tylko. Malarze węgierscy idą istotnie bardzo dzielnie i statecznie ręka w rękę z zagranicznymi kolegami swymi, znać silne dążenie do zajęcia wysokiego stanowiska w nowoczesném malarstwie, znać pilne wybadywanie dróg i ścieżek, któremi to malarstwo dziś kroczy gdzieindziéj, np. we Francyi, w Belgii i Holandyi — ale... ale na malarstwie węgierskiém ciąży jeszcze potężnie tradycya monachijszczyzny i potroszę konwencyonalizmu. Munkacsy porzucił już, pod wpływem Paryża, swoje ulubione „czarności“ i dał portret damy siedzącéj w buduarze jasny zupełnie, czysty zupełnie, bez dawnego tonowania i harmonizowania, jakby zda się, grubo, śmiało *alla prima* malowany, ale portret jedno z drugim słaby, płaski, niesmaczny; tenże Munkacsy dał téż scenę rodzajową, jakąś naradę chłopów w chacie jaśniejszą znacznie, niż poprzednie tego rodzaju prace, ale znowuż obrazek to konwencyonalny wielce, bez siły, bez charakterystyki, z „monachijszczyzną“ rodzajową graniczący o miedzę; dał wreszcie plafon znany z wystawy paryskiéj 1889 r., ale i plafon wybitnych zalet nie ma. Benczur, drugi po Munkacsym najgłośniejszy przedstawiciel malarstwa węgierskiego, wystawił nieśmiertelną swoją, makartowską, w rudych tonach pływającą „Bachantkę“ i portret dobry. Feszty, młody, bardzo zdolny malarz, wystąpił z szeroko malowanym, śmiałym obrazem „Święte niewiasty przy grobie“, ale pomimo realistycznego traktowania go w szczegółach, w całości nie mógł ustrzedz się konwencyonalizmu. Cała waga oddziału węgierskiego leży w piętnie narodowém scen rodzajowych i w dobrych krajobrazach. Portrety najlepsze dał Horowitz.

Podobnie, jak na czele postępu dzisiejszego malarstwa, na doskonaleniu się i wyszukiwaniu coraz to nowych dla sztuki celów, a doskonalszych środków do ich osiągnięcia stoi Francya, zaś ślad w ślad za nią podążają Belgia i Holandya, tak znowuż na najdalszym planie tego pochodu stoi — oddział ruski na wystawie berlińskiéj. Mówię wyraźnie: nie malarstwo ruskie, ale oddział ruski w berlińskim wystawowym gmachu. Dzięki dziwnéj opieszałości, czy też lekceważeniu, silnie realistyczne, bardzo narodowe, chętnie rwące się na nowe drogi, malarstwo ruskie tegoczesne, wystąpiło w Berlinie z seryą obrazów, nie dających o charakterystycznych tych cechach niemal żadnego wyobrażenia.

Podobno akademia petersburska zajmowała się obesłaniem wystawy berlińskiéj. Wybór jéj dziwnie świadczy o panujących dziś w akademii prądach i — zacofaniu. Do współzawodnictwa z Michetti'm, Skarbiną, Menzlem, Clausem, Spreage Peerce'm, i jak się tam oni wszyscy nazywają, najzdolniejsi przedstawiciele malarskiego międzynarodowego modernizmu, nie sposób dziś posyłać takiego „Potopu“ Ajwazowskiego, kompozycyi niezaprzeczenie świadczącéj o bujnéj artysty wyobraźni, nie zarażonéj jeszcze bajecznemi efektami barw i świateł, cechującemi późniejsze obrazy słynnego marynisty, ale malowanéj tak, jak się już dziś nie maluje wcale; nie sposób również dawać światu na podziw staréj batalii morskiéj Bogolubowa lub tegoż artysty widoku *à vol d'oiseau* Petersburga, wykończonego jak plan generalnego sztabu, skoro Bogolubów zażywa opinii jednego z najlepszych pejzażystów ruskich; nie sposób wreszcie akademickie i konwencyonalne, niektóre zaś wprost szkolne prace dobywać z ukrycia skoro się ma legion cały dzielnych artystów, którzy sztandar rasy i narodowości w malarstwie niosą wysoko. O bujnym rozroście ruskiego malarstwa dają na wystawie berlińskiéj istotne wyobrażenie jedynie: Miasojedow, twórca bardzo dobréj sceny żniwa w polu, wybornie oświetlonéj, silnie malowanéj, charakterystycznéj w postaciach, oraz Palenow i Sawickij, którzy wystąpili z dwoma sporych rozmiarów scenami rodzajowemi („Odjazd rezerwistów“; „Odjazd rekrutów“). Niezły wreszcie batalistyczny obraz („Epizod z wojny 1877 roku“) dał Kiwszenko. Reszta obrazów odbija bez wielkiego uzdolnienia cechy charakterystyczne tych, to owych szkół malarskich zagranicznych, gdzie kształcili się lub kształcą artyści z nad Wołgi lub Newy.

Nie w aryergardzie malarstwa międzynarodowego, ale jakby na uboczu nieco pozostał oddział Anglii. Jaki kraj, jacy ludzie, jakie zwyczaje, jakie upodobania — takie i malarstwo. Podobnie jak Anglia sama, z oryginalnością swoją, tak i oddział malarstwa angielskiego zbija na razie z tropu widza. W Anglii nie malują artyści dla saméj przyjemności malowania, dlatego, że malować m u s z ą, jak musi ptak śpiéwać a kwiat wonią dyszéć; zaś techniczne spory i kwestye nie roznamiętniają tam artystów w tym stopniu co gdzieindziéj. Malarz angielski jest przedewszystkiém myślicielem, filozofem, opowiadaczem, poetą, moralistą, socyologiem, wszystkiém, tylko nie malarzem. Zawsze świta mu przy tworzeniu dzieła malarskiego — intencya nic wspólnego z artyzmem nie mająca. On to lub owo obrazem swoim wypowiada.

Przeważnie nie maluje on dla siebie, podobnie jak śpiewał Zimorowicz („Sobie śpiéwam - nie komu...“), ale maluje *ad usum* bądź rodaków, bądź ludzkości całéj, bądź dla możnego protektora, bądź dla obozu przeciwników, bądź wreszcie dla... zamawiającego obraz. W przyrodzie unika nawet widzieć tego, co szorstkie, krzykliwe, ordynarne, „nieestetyczne“; naturę gładzi i wygładza, uszlachetnia na swój sposób, łagodzi jéj kontrasty, przypadkowościom jéj stara się nadać jakąś logiczność lub usprawiedliwia je przed widzem. Daléj wreszcie mędrkując tak z pędzlem w ręku, artysta angielski dochodzi prostą drogą do symbolizmu, do alegoryi, do najzawilszych spekulatywnych zagadek i znowuż usiłuje to wszystko, co mu myśl pod czaszką rodzi, bądź uplastycznić na obrazie, bądź „wlać“ w obrazu swego „nastrój“. Tak oto wyborne skądinąd portrety Herkomera są wprost „przedoskonalone“ to jest przesubtelnione w drobiazgach, w cieniach i odcieniach karnacyi, w wykończeniu. Herkomer jakby lęka się wziąć surowego tonu lokalnego, jakby lęka się powtórzyć bez żadnych zmian, co mu mówi natura; przyrodę poprawia, powiedziałbym „anglezuje“. Ouless czuć jak myślał i przemyśliwał, malując portret „kardynała Manninga“, jak nagromadziwszy moc wielką obserwacyi, usiłował cały ów swój notatnik w głowę modelu włożyć i przez to zatarł pierwsze, najsilniejsze wrażenie, zatarł charakterystyczne cechy postaci. Refleksya, refleksya i raz jeszcze refleksya— oto co widnieje na obrazach artystów angielskich. A następnie oto już czysty prerafaelizm w „Idylli“ Leightona, o któréj wspomniało się wyżéj, wynik, niezawodny spekulatywnych właściwości umysłu artysty-filozofa, który przed stalugami stojąc, mędrkowania nie porzucił. I unosi się wreszcie po téj angielskiéj sali jakiś duch arystokratycznéj odrębności, jakieś szlachectwo ducha, trochę egoistyczne, trochę bezprodukcyjne, ale niepospolite w czasach naszych i nie powiem aby rażące na wyżynach sztuki. Skoro im się przyroda *in crudo* nie podoba, trudno im umiłowanie jéj narzucić i trudno brać im za złe, że wytwarzają sobie świat odrębny, w którym żyć im błogo i wygodnie... J. E. Millais nie dał nam oglądać żadnego tym razem portretu, jeno romantyczno elegancką symfonię, zatytułowaną „Ostatnia róża“; nieobecnym też jeden z koryfeuszów malarstwa angielskiego — Whistler. Stanął natomiast do apelu Alma Tadema z nienajlepszym, przyznać trzeba, obrazem; jego „Cesarz Hadrian, zwiedzający sklep rzymsko-brytyjskiego garncarza“ sprawia wrażenie płaskiéj — mozajki. Richmond dał dwa dobre portrety, któregoś z kardynałów, oraz Darwina.

Portret wogóle szerokie zajmuje dziś miejsce w malarstwie angielskiém, ale w tym wdzięcznym rodzaju, prawego spadkobiercy

Gainsborough'a nie widać. Najbliżéj jeszcze wielkiego poprzednika stoi Herkomer. Akwarele angielskie doskonałe.

W treściwym tym przeglądzie pozostaje mi jeszcze zaznaczyć trzy obrazy Böcklina. Stanowią one, mówiąc po dziennikarsku, *great attraction* wystawy berlińskiéj, tak ze względu na szwajcarskiego mistrza, jak i na uświęconą tradycyę ich oryginalności. Jeden z nich zatytułowany: „Taniec dokoła świątyni Bachusa“ ma wyobrażać jakiś obchód religijny grecki. Przez rzekę, po moście, nie-moście, kładce, nie-kładce, dywanem wysłanéj, kroczy kilka, jakby kapłanek, w długich wualach i powłoczystych szatach ku świątyńce kolumnowéj na przeciwległym brzegu stojącéj. Pochodowi ich przygląda się kilku jeźdźców i pieszych, zbliżających się na plan piérwszy z tła obrazu. Pora oczywiście jesienna, bo drzewa srodze rude, dzień pogodny, świetnie odbijający w wodzie brzegi rzeczne. Trzeba to widzieć, aby miéć pojęcie o sposobie malowania, o dziwactwach zabarwienia przedmiotów, o krańcowém zaniedbaniu szczegółów. A jednak... jest w tym obrazie powietrza pełno jest w tych nieprawdopodobieństwach prawda, jakiéj gdzieindziéj nie szukać. Można się dziwić, można ramionami ściskać, można mówić, że siedmdziesięcioletni dziwak przeszedł w dziwactwie sam siebie ale — po pazurach, kto znawca, lwa łacno pozna. Drugi obraz, „cisza morska“ — to syrena, nie-syrena na skale leżąca wśród morza; z głębi toni morskiéj wypływa u stóp jéj na powierzchnię jakiś — potwór. Kilka mew (wyglądających jak okazy z gabinetu zoologicznego) obsiadło rudowłosą syreną. Co to wszystko ma znaczyć? Tajemnica. Dość, że ogon rybi syreny malowany z niezrównaną naturalnością i że wynurzanie się potworu znakomite. Trzeci wreszcie obraz, to „Zuzanna w kąpieli“. W głębi wysokiego basenu, gdzie wody pluszcze odrobina, przysiadła naga, o rozlanych opasłością kształtach, z szeroko otwartemi głupiemi oczami, najpospolitsza, lat trzydziestu semitka; jakaś nalewkowska Sura lub Małka. Przez wysoki brzeg basenu przechyla się ku niéj stary, o lubieżnym wyrazie twarzy żyd, najpospolitszy żyd w szlafroku żółtym w kwiaty i jarmułce i — klepie ją dłonią po pełnych kształtach torsu. Po drugiéj stronie basenowego cembrowania wynurza się żydek drugi, młody, ale wybladły na twarzy, ciekawie zazierający w przygodne „Zuzanny“ schronisko. Jak świat światem „Zuzanny w kąpieli“ takiéj niewidziano, ale — jeżeli chodziło o pochwycenie najpospolitszych charakterystycznych wyrazów lubieżności, to pod tym względem obraz Böcklina jest bezwarunkowo arcydziełem. To łakome klepanie starego filuta po pulchném biodrze niewieściego cielska, jest prześwietne. Tylko konia z rzędem temu, kto zaręczy, że Böcklin

istotnie, zjadliwą satyrę lubieżności chciał w obrazie swym przedstawić... Powiadają przecie najkompetentniejsi komentatorowie jego obrazów, że Böcklin właśnie jest typowym przedstawicielem tych malarzy, co to nigdy, przenigdy t e m a t u obrazu na pierwszy plan wysuwać niezwykli. I rzeczywiście był takim dotąd. Gdzie przeto geneza takiéj „Zuzanny“?

Francuzi dotrzymali słowa. Posłali kilkadziesiąt obrazów na wystawę tegoroczną do Stuttgartu, ale w Berlinie figuruje z dwoma pracami jeden tylko Bouguereau. Dlaczego on właśnie jedyny wybrał się w pokojową wędrówkę *à Berlin?* — odpowiedziéć nie umiem.

Międzynarodowa rzeźba l i c z e b n i e wcale pięknie prezentująca się, pod względem wartości została daleko po za malarstwem. Ani epigony niemieckie szkoły Raucha, ani włoska rodzajowość, ani kilkanaście przyzwoitych dzieł istotnéj, nie obstalunkowéj sztuki, splendoru jéj w Berlinie podnieść nie są w stanie. Jedna może tylko Belgia zdobyła się na rzeczy—piękne, choć nie imponujące.

III.

Nasi artyści w Berlinie. — Specyalny oddział: „*Werke polnischer Künstler*“ i udział artystów naszych w innych oddziałach wystawy.— Stanowisko malarstwa naszego wśród wszechświatowego malarstwa. — Tryumf nieobecnéj Francyi. —Zakończenie.

Dla malarstwa naszego ma tegoroczna międzynarodowa wystawa berlińska wyjątkowe i nie małoważne znaczenie. Po raz pierwszy jak międzynarodowe wystawy sztuki wogóle istnieją, wskutek specyalnéj uchwały wystawowego komitetu, oraz specyalnego upoważnienia cesarza Wilhelma, pozwolono artystom naszym wystąpić w grupie zbiorowéj; wydzielono dla nich część wielkiéj sali międzynarodowéj w drugim wystawowym gmachu, w tak zwanéj „*Maschinen halle*“ i oddziałowi temu, równającemu się obszarem oddziałowi Holandyi lub Danii, nadano urzędowy tytuł: *Werke polnischer Künstler*.

W oddziale tym pięknie i gustownie udekorowanym, dzięki zapobiegliwości i pracy pp. Władysława Czachórskiego, przybyłego z Monachium znanego artysty-malarza, Lucyana Wrotnowskiego wiceprezesa warszawskiego Towarzystwa zachęty sztuk pięknych, oraz Juliana Fałata, stale w Berlinie zamieszkałego — znalazło pomieszczenie przeszło półtorasta obrazów i rzeźb kilkanaście. Oddział „Prac artystów polskich“ przedstawia się przeto nawet zewnętrznie, to jest, jako odrębna część składowa wystawowego gmachu bardzo pokaźnie.

Niepewność niemal do chwili ostatniéj, gdzie i jak rozmieszczo-

ne zostaną dzieła artystów naszych wpłynęła ujemnie na wewnętrzną, artystyczną wartość tego oddziału. Wielu artystów naszych, nawet pierwszorzędnych, przywykłych do dotychczasowego macoszego traktowania ich obrazów nadsyłanych na międzynarodowe wystawy, wstrzymało się od wystąpienia w Berlinie. To téż braknie wśród grupy polskiéj nazwisk np. samego Czachórskiego, Alfreda Kowalskiego, Wacława Szymanowskiego, a Gierymski dał w ostatniéj chwili obraz nie nowy i nie najlepszy. Wielu téż artystów, nie przygotowanych na popis berliński, nadesłało również w ostatniéj chwili obrazy nie najświeższéj daty, powodowani chwalebną solidarnością, lecz możności pozbawieni godnie talent swój reprezentować.

Niemniéj przeto, odrzuciwszy na bok wszelki szowinizm i względy wszelkie, powiedziéć można i należy z czystém sumieniem: popis nasz malarski na wystawie berlińskiéj wypadł nadspodziewanie dobrze, zajęliśmy skromne ale wcale nie ostatnie stanowisko wśród wszechświatowéj dziedziny sztuki plastycznéj, a tém pierwszém zbiorowém wystąpieniem zadziwiliśmy i podbiliśmy stanowczo krytykę, oraz publiczność zagraniczną. Dodajmy wreszcie, że po za obrębem oddziału „*Werke Polnischer Künstler*“ znalazły się jeszcze, rozsiane po całym gmachu wystawy następujące prace polskich artystów: w sali „cesarskiéj“ Fałata „Powrót z nieświeskiego polowania“, w sali międzynarodowéj t. zw. „honorowéj“ (gdyż umieszczono w niéj kilkadziesiąt najprzedniejszych dzieł artystów wszelkich narodowości)—Brandta „Łowienie na lasso“, Chełmońskiego „Wieczór jesienny“, Matejki „Władysław Biały“ i „Maćko Borkowic“, a z rzeźb „Satyr“ Rygiera, w sali „austryackiéj“: trzy portrety Pochwalskiego, „Cesarz Franciszek na manewrach“, wielki obraz Tad. Ajdukiewicz, oraz Zygmunta Ajdukiewicza cykl kompozycyi wykonanych bardzo pięknie *en grisaille*, wreszcie w oddziale ruskim: Bakałowicza „Klienci“, Siemiradzkiego „Za przykładem bogów“, Gersona „Twardowski wywołujący ducha Barbary“, Wolskiego „Sanki“, Hirszenberga „Portret“, Brochockiego „Krajobraz“ i Boznańskiéj „Studyum“ — zatém z małemi wyjątkami dzieła pierwszorzędne, zdobiące istotnie każdą z sal wymienionych. Krytyka niemiecka, przyznać to jéj trzeba, bardzo sumiennie uwzględniła dzieła artystów naszych nietylko w specyalnym oddziale figurujące, ale i te, rozsiane po wystawowych salach i z niebywałém dotąd uznaniem cechy charakterystyczne, oraz zalety malarstwa polskiego podniosła. Bardzo wpływowa „*Frankfurter Zeitung*“ i głośne ze sprawozdań artystycznych „*Münchener Neueste Nachrichten*“, nieprzyjazna zawsze dla nas „*Schlesisches Zeitung*“

i arcy-szowinistyczno-niemiecka „*Post*“, postawiły oddział polskich artystów pod względem rasy, charakteru, temperamentu oraz liczenia się ze wspomnianym tylokrotnie „modernizmem“ na równi z oddziałami Hiszpanów, Belgów i Włochów, zaś stanowczą mu wyższość nad salami niemieckiemi przyznały.

Jeżeli dodamy do tego bardzo pilne i liczne odwiedzanie oddziału naszego przez publiczność, wydzielenie dla artystów naszych 8-miu medali, oraz kilka „dyplomów uznania“ (zatém więcéj niż dla kilku innych oddziałów), powołanie p. Wł. Czachórskiego do składu komitetu sędziów (*jury*), wreszcie zakupienie zaraz w pierwszym miesiącu trwania wystawy dzieł polskich artystów za 15,000 marek — będziemy mieli skromne, ale dobrze zasłużone i bądźcobądź zaszczytne dowody uznania, które z całą bezstronnością podnieść mamy prawo.

Starałem się na początku tego treściwego sprawozdania scharakteryzować ogólne i wybitne cechy malarstwa nowoczesnego, jak się one na wystawie berlińskiéj objawiły. Skoro zatém wśród tego nowoczesnego malarstwa międzynarodowego przyznano nam wcale nawet zaszczytne stanowisko, rzecz oczywista, że prace artystów naszych te niezbędne dziś cechy artyzmu współczesnego posiadać muszą. Tak téż jest istotnie. Krajobrazy najnowszéj daty Chełmońskiego, portrety Bilińskiéj i Pochwalskiego, Fałata „Polowanie na łosie“, Jacka Malczewskiego „Marzenia przyszłego artysty“, Piechowskiego, Grocholskiego, to naczelne dzieła reprezentujące w oddziale artystów naszych kierunek „modernizmu“. Zwłaszcza Bilińskiéj portret wielkoświatowéj damy w zielonéin futrze, malowany z męską śmiałością, dosadnością i wysokim artyzmem, wolny od wszelkiego konwencyonalizmu, zwłaszcza do krańcowości szczere „odłamy natury“ Chełmońskiego, zwłaszcza Malczewskiego ów chłopak, pomocnik malarski, dumający na ławce ogrodowéj o swéj przyszłéj karyerze artysty, to objawy w i e l k i é j sztuki, która wśród nas znalazła godnych dziś przedstawicieli. Francuską sumienność i subtelność artystyczną, połączone z wysokiém wirtuozowstwem techniki malarskiéj, reprezentują „Klienci“ Bakałowicza; portrety Pochwalskiego (Sienkiewicza, p. Pawła Popiela i mężczyzny o charakterystycznéj, wyniosłéj, buńczucznéj postawie) mają jedynie współzawodników w portretach Herkomera i Horowitza; Ajdukiewicz dał jeden z najlepszych batalistycznych obrazów wystawy, dla którego odpowiednika szukać jedynie w oddziale belgijskim (Abry'ego „Król Leopold na manewrach“); Brandt, podążający nieustannie ślad w ślad za postępem wszechświatowym malarstwa, do-

skonałe sprawia wrażenie wielkiém *plein-air*'em „Kozacy śpiewający pieśń zwycięską na stepie"; nawet jeżeli chodzi o malarstwo t. zw. historyczne, to wzorowym obrazem historycznym takim, jak „Skarga" Matejki, żaden inny oddział na wystawie poszczycić się nie może.

Złożyło się wreszcie tak, że o który bądź zawadzić kierunek i rodzaj w malarstwie, zawsze wśród artystów naszych, obecnych na wystawie berlińskiéj, znajdzie się kierunku tegoż i rodzaju wielu godnych przedstawicieli. Oto dawną szkołę monachijską reprezentuje Jasiński typowym obrazem „Chora matka", oto impresyonizm ma swego przedstawiciela bardzo zdolnego w Wyczołkowskim („Rybacy"), oto kartony krédkowe Stachiewicza cykl bardzo pięknych ilustracyi do „Dziada i Baby", oraz wyborny portret krédkowy Bałuckiego, jak się to mówi, „chlaśnięty" z wielkiém poczuciem przez Pruszkowskiego, stają do współzawodnictwa z tegoż rodzaju pracami artystów zagranicznych.

I jeszcze jedną, kardynalną zaletę ma oddział zbiorowy prac artystów naszych: piętno swojskości, dziś tak wysoko cenione w dziedzinie sztuki. Swojskość ta znakomicie przyczynia się do wyróżnienia się oddziału „*Werke polnischer Künstler*" z pomiędzy kosmopolitycznego tłumu i zdrowy, szlachetny grunt dla prac artystycznych stanowi. Wspólne cechy rasy łączą te wszystkie dzieła sztuki w całość, zdumiewającą zagranicę siłą talentu i iście artystycznego temperamentu. Pejzaże tatrzańskie Gersona, rodzajowe, ludowe sceny Piotrowskiego, Kędzierskiego, Ryszkiewicza, Pruszkowskiego („Sielanka"), Tetmajera, Zarembskiego i wielu innych, w których obserwacya w parze idzie ze szczerością odtworzenia, motywa swojskich krajobrazów Rapackiego, Weyssenhoffa, Owidzkiego i innych, swojskości téj dają szeroki wyraz. Nie przytłumione szkolarstwem indywidualności artystyczne Chełmońskiego, Bilińskiéj, Matejki, Malczewskiego, Brandta i kilku mniéj rozgłośnych malarzy naszych, potęgują różnorodność tego oddziału, zaś takie dzieła, jak Piechowskiego, trochę dziwaczne, dekadenckie, ale pyszne w kolorze i oryginalnością „Ukrzyżowanie", jak portrety pełne prawdy Pochwalskiego, zwracają uwagę nawet profanów.

Malarstwo nasze widywaliśmy zazwyczaj—w domu, albo błąkające się jak kopciuszek po obcych kątach. Pierwszy to raz dopuszczono je w szranki międzynarodowéj areny popisowéj — na równych z innemi prawach. I oto, na wielkiéj dziedzinie sztuki, gdzie według słów poety „obszernie, szeroko: rumak się pasie wespół z bronowłoką", śmiało powiedzieć sobie możemy, malarstwo nasze bronowłoką nie

jest. Chodzi teraz już o to tylko, aby zdobytego w Berlinie stanowiska nie utracić i pierwszego, bardzo pochlebnego wrażenia nie zatrzéć następnemi popisami. Miejmy nadzieję, że zbliżająca się, na rok przyszły zapowiedziana, wystawa międzynarodowa w Monachium, gdzie też zbiorowo przyjdzie artystom naszym wystąpić, da naszemu malarstwu sposobność jeszcze stanowczéj i zaszczytniéj wybić się na wierzch.

Rzeźbiarzy polskich dwunastu wzięło udział w wystawie berlińskiéj. Prym między nimi trzymają Marcinkowski i Welońskí, zwycięsko rywalizując z zagranicznymi kolegami. Drzeworyty natomiast, bardzo zresztą nieliczne, kilku ksylografów warszawskich, aczkolwiek dobre—giną w tłumie.

Wśród tegoż tłumu, chcąc niechcąc, musieliśmy z oczu utracić, w sprawozdaniu naszém, wiele prac i dzieł, którym się krótka bodaj wzmianka należała. Nie sposób atoli było podzielić się z czytelnikiem wrażeniem z każdego zakątka tego labiryntu co się międzynarodową wystawą sztuki zowie: znużenie całotygodniowéj wędrówki po wystawie sumiennego sprawozdawcy spadłoby na czytelnika jednorazowo, zacierając w umyśle jego najwybitniejsze rysy i cechy, o których zaznaczenie jedynie nam chodziło.

Opierając się w sprawozdaniu, często z konieczności gołosłownem, na kilku zaledwie nazwiskach lub obrazach „typowych“ nie chcielibyśmy przeto ujmy czynić pozostałym. Typowość właśnie i znaczenie owych dzieł wybitniejszych a wytycznych, warunkowana jest obecnością grup całych, że zaś grupy te wogóle istnieją, zasługa już niemała téj właśnie rzeszy artystów nie wymienionych i tak często niewymienianych, bez których atoli nawet geniusze są niemożliwi.

Inna też luka pozostaje w tym obrazie współczesnego malarstwa nie wypełniona. Wystawa berlińska nie dała nam sposobności zawadzenia o — Francyę, aczkolwiek tylokrotnie nazwiska koryfeuszów dzisiejszego malarstwa francuskiego cisnęły się nam pod pióro. Trudno zaiste o piękniejszy i szlachetniejszy tryumf jak n i e o b e c n é j Francyi na międzynarodowéj wystawie berlińskiéj. Wpływ, i, by się tak wyrazić, d u c h mistrzów francuskich doby ostatniéj święci tam ów tryumf, stanowczy, niezaprzeczony. We wszystkich, jak sięgnąć myślą, oddziałach wystawy berlińskiéj, znajdziemy dziesiątki i setki obrazów, poczętych lub wykonanych pod potężnym wpływem najnowocześniejszych kierunków malarstwa francuskiego. Zły ów wpływ czy też dobry, czy rozszerza, czy też poniża ideały sztuki, czy podniesieniem do apogeum malarskich, często technicznych tylko cech

w obrazie nie czyni ujmy p i ę k n u wogóle, w najszerszém jego pojęciu?... nie nasza rzecz rozstrząsać. Dość, że wpływ francuskiego „modernizmu“ realistyczno-indywidualnego objął dziś całą dziedzinę całego wszechświatowego malarstwa. Skoro zaś tak jest, muszą być ku temu głębsze powody i przyczyny, z któremi nie walczyć, które już przez to samo, że wywołały objawy w sztuce oryginalne, dotąd niebywałe, sztukę tę po drodze postępu unoszą. A wszelka ewolucya lub reakcya na całéj linii w jakiéjbądź dziedzinie już samém swém istnieniem potwierdzają racyę swego bytu.

Czesław Jankowski.

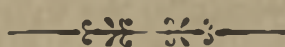




ZESZŁOROCZNE KONGRESY

CESARSKO-BERLIŃSKI, FRANCUSKIE I UNII RZEMIOSŁOWYCH

(ANGIELSKICH) W LIVERPOOL.



I.

Rok 1890-ty odznaczył się silnemi, ale najściślej w granicach prawa trzymanemi, objawami ruchu socyalistowskiego. Na stałym lądzie bezroboci było stosunkowo mało, za to odbyto mnóstwo kongresów, z tych zaś niektóre miały wcale doniosłe znaczenie. Pierwsze miejsce należy kongresowi międzynarodowemu w Berlinie, przez cesarza niemieckiego zwołanemu. Zasiadali w nim delegaci wszystkich rządów zachodnich. Rozprawy prowadzono bardzo poważnie, wnioski stawiano bardzo głęboko sięgające, ostatecznie jednak, jak wiadomo i jak z góry wszyscy, oprócz może cesarza Wilhelma II-go, przewidywali, żadnych pozytywnych i kogobądź obowiązujących postanowień nie wydano. Ograniczono się do pewnéj liczby życzeń, zostawiając każdemu państwu i rządowi postąpienie sobie z temi życzeniami, jak mu się podoba, według jego uznania i warunków, tak czasowych jak miejscowych. Pomimo tego, ów kongres socyalistowski berliński ma znaczenie nie małe, jako pierwsze międzynarodowe i rządowe uznanie pewnych wymagań, i stwierdzenie potrzeby załatwiania rzeczy drogą międzynarodowych porozumień. Jest to pierwszy krok próbny ku utworzeniu międzynarodówki rządów i socyalizmu państwowego przeciw międzynarodówce socyalizmu rewolucyjnego. Demokracya socyalistowska doskonale te cele zrozumiała. Pomimo tego jednak, niby na ten zjazd berliński nie zważając

albo jego założenia lekceważąc, urosła w dumę; wiara jéj w siebie i poczucie swéj siły bardzo się wzmogły. Rządy nie zwykły traktować tak poważnie przeciwników słabych, i z powodu ich słabości, poniewieranych.

W sierpniu i we wrześniu odbyły się trzy głośniejsze kongresy socyalistowskie we Francyi, w Lille, Chatellerault i w Calais, ogólnonarodowe, oprócz kilku innych prowincyonalnych. Kongresy te francuskie nie zrobiły jednak, po za granicami Francyi, żadnego wrażenia. Było ich zawiele. Ta ich mnogość dowodziła braku jednolitéj organizacyi, braku spójni między socyalistami francuskimi, rozbicia się ich na rozmaite sekty czy stronnictwa. O tém wiedziano dawno, chociaż Francya jest ojczyzną dzisiejszego socyalizmu.

Pomijając marzycieli z XVIII-go wieku, jak Morelly, Mably, Bernardin de St. Pierre, Torillon, w których wczytawszy się, Babeuf uorganizował w r. 1793 znany spisek, początek tego ruchu można datować od r. 1803, w którym St.-Simon wydał w Genewie pierwsze swe dzieło pod tytułem: „Listy obywatela genewskiego do swych współczesnych“, za którém poszły inne jego prace. Działalność jednak St.-Simona rozwinęła się na dobre dopiéro od r. 1821, od wydania „Systemu przemysłowego“, daléj „Katechizmu przemysłowego“ (1822 i 1823), „Nowego chrystyanizmu“ (r. 1825). Od owéj pory zaczyna się propaganda systematyczna tak za pomocą dzieł osobnych, jak dzienników (*Producteur* 1825, *Globe*, dziennik religii sęsymonistowskiéj 1831, *Organisateur*). Prawie jednocześnie, chociaż w innym kierunku działał Fourier, którego pierwsze dzieło *Theories des quatre mouvements* wyszło w Lyonie w r. 1808-ym. Ta szkoła rozwinęła się dość znacznie przy pomocy kilku bardzo zdolnych adeptów, jak Considerant, Toussenel, Henequin. W połączeniu z innymi twórcami szkół socyalistowskich we Francyi, jak Cabet, Pecqueur, Villegardelle, L. Blanc, Leroux, etc. (Proudhon przyszedł późniéj i zajmuje odrębne stanowisko), sęsymoniści i furieryści, czyli falansterzyści, przygotowali pierwsze zastosowanie socyalizmu państwowego, które wystąpiło we Francyi, a właściwie tylko w Paryżu, w formie tak zwanych warsztatów narodowych w r. 1848. Owe niefortunne warsztaty, organizowane przez Ludwika Blanc, doprowadziły do zaburzeń czerwcowych w r. 1848-ym, stłumionych po trzechdniowéj bardzo krwawéj walce.

Teoretycznie nauki socyalizmu znalazły bardzo ważne echo w rozprawach nad konstytucyą drugiéj rzeczypospolitéj francuskiéj, zwłaszcza nad jéj artykułem IV-ym, w którym socyaliści domagali się przyznania każdemu Francuzowi „prawa do pracy“, czyli włożenia na państwo obowiązku dostarczenia każdemu obywatelowi pracy i za-

robku, gdyby ten innemi, zwykłemi drogami osiągnąć ich nie mógł. Zgromadzenie narodowe artykuł ten odrzuciło, zrozumiawszy doniosłość podobnego postanowienia i jego niebezpieczne następstwa. Wprawdzie w prawie powszechném pruskiém (*Landrecht* wydany w r. 1794-ym) spotykamy postanowienie, że obowiązkiem państwa jest dostarczyć pracy zarobkowéj poddanemu czy poddanym, gdy téj pracy znaleść nie mogą; ale postanowienie to, natchnione filantropią, a będące może echem angielskiego prawa ubogich (*Workhouses*, domy zarobkowe), nie miało praktycznego znaczenia, chociaż się na nie przed kilkoma laty, w rozprawach nad jednėm z swych praw socyalistowskich, powoływał ks. Bismarck.

Po burzy czerwcowéj (r. 1848), po ucieczce z kraju ważniejszych naczelników (L. Blanc), po niepowodzeniach, jakim uległy niektóre praktyczne próby (Ikaria Cabeta, etc.), socyalizm, a zwłaszcza komunizm, przycichł we Francyi. Za to po zamachu stanu, a zwłaszcza po ogłoszeniu drugiego cesarstwa, odżył w innéj formie, chociaż otwarcie i rewolucyjnie nie występował. Powody tego odżycia były rozmaite. Najważniejszym, albo raczéj najbardziéj bezpośrednim, była ta okoliczność, że Napoleon III-ci zaczął praktycznie wprowadzać Francyę na drogę socyalizmu państwowego. Już jako pretendent i więzień w twierdzy Ham wygłaszał on ogólnikowo tę doktrynę (w swych *Idées napoleoniennes*). Zostawszy cesarzem, mógł próbować wprowadzenia jéj w życie. Robił to z resztą bardzo ostrożnie i cząstkowo, nie wypisując téj idei wyraźnie, jako hasła, na swym sztandarze cesarskim.

Cezaryzm i socyalizm godzą się z sobą. Cezar i lud, pomiędzy niemi tylko wojsko i biurokracya, i to i tamta z ludu, oto system jeszcze rzymskich cezarów. System ten i dziś naśladowany lub próbowany bywa, z zachowaniem koniecznéj zmiany form w jego stosowaniu. Napoleon III-ci nie mógł szukać oparcia na szlachcie francuskiéj, która się od niego odwracała ku ostatniemu potomkowi Burbonów, która zresztą stanowiłaby podporę bardzo marną, nie posiadając znaczenia w kraju, nie umiejąc go sobie na nowo wyrobić i poprzestając na drobnéj wyższości towarzyskiéj. Nie mógł też oprzéć się na potężném, bogatém, inteligentném i bardzo czynném mieszczaństwie, którego konstytucyjny liberalizm nie zgadzał się z ideą cezarowego rządu i które wzdychało za królestwem Orleanów. Utworzył więc demokracyę cesarską, szukając swéj podstawy w ludzie, w którego rękach złożył, wielką na pozór, polityczną władzę, głosowanie powszechne, który jednak trzymał w garści za pomocą swych prefektów, żandarmów i policyantów, ale zarazem przez wielką o dobrobyt

tego ludu troskliwość. Historya trzeciego cesarstwa we Francyi, ze stanowiska socyalizmu państwowego traktowana, jest bardzo ciekawa, chociaż wyrazy „socyalizm“ lub „kwestya socyalna“ nie były urzędownie używane. Napoleon III-ci nietylko zniósł prawne zakazy zmów robotniczych i bezroboci, ale zaprowadzał rozmaite instytucye, mające bezpośrednio na celu poprawę bytu robotników, pośrednio zaś, zapewne przeciw woli cezara, wzmacniające siłę i spójnię tego stanu czwartego i jego dążenie, ku wyzwoleniu się z pod pieniężnéj przewagi mieszczaństwa (*bourgeoisie*). Wspomnimy tutaj tylko bank dla spółek robotniczych, kasę inwalidów cywilnych, kasę piekarzy, by chléb w Paryżu, bez względu na cenę pszenicy, zawsze w jednéj niskiéj cenie utrzymać (40 centymów za kilo), popieranie związków asekuracyjnych, cały system handlowo-celny cesarstwa, etc. Chociaż Napoleon III, mówiąc o klasach robotniczych, nie posługiwał się podniecającém wyrażeniem „klasy wydziedziczone“, którego użył cesarz Wilhelm niemiecki i ks. Bismarck, jednakże pewna część socyalistowskich praw, ku korzyści robotników w Niemczech przeprowadzonych, lub zamierzonych jest, nie powiemy naśladowaniem, lecz zastosowaniem pomysłów, których wprowadzenia we Francyi próbował Napoleon III-ci. Nie wydały one nad Sekwaną takich owoców, jak się cesarz spodziéwał, nie przyjęły się tak jak w Niemczech, ale powody niepowodzenia leżały najprzód w charakterze i temperamencie Francuzów, oraz w pewnéj nieśmiałości, z jaką owe inowacye rząd wprowadzał. Rząd ten nie chciał zbroić owych inowacyi prawnym przymusem, ani robić koniecznie powszechnemi, jak je robią dziś w Niemczech, korzystając z doświadczenia cudzego i własnego, oraz z innych warunków, w jakich się przemysł dziś znajduje, tak różnych od warunków przed laty czterdziestu. Wówczas Napoleon III-ci, nie przyznając urzędownie robotnikom prawa do pracy, jak to przed kilku laty zrobił w parlamencie ks. Bismarck, co nawet zdaje się leżéć w tych wyrazach: „klasy wydziedziczone“, starał się dostarczyć im taką ilość pracy, że pono nigdy los ich równie świetnym nie był, jak za tego panowania. Środkiem ku temu były wielkie roboty publiczne, oraz przebudowanie miast, zwłaszcza Paryża, wreszcie wielki popęd dany zbytkownemu i wystawnemu życiu. Środek to był sztuczny i tém samém niebezpieczny, bo łatwo mogło zabraknąć zasobów, stale więc stosowanym być nie mógł; na razie jednak i stosunkowo długo był skuteczny. Jak cezarowie staréj Romy, tak Napoleon III-ci jednał sobie lud za pomocą chleba i igrzysk, *panem et circenses*. Przebudowanie Paryża było ową *annona* (rozdawnictwo zboża), którą pierwszy zupełny cezar, Augustus Octavianus, usidlał ludowe tłumy i motłoch Rzymu. Heine

w jednym z swych listów nazwał Napoleona Janem Chrzcicielem (*Joannes der Täufer*) socyalizmu. Tytuł ten w pewnéj mierze zdaje się zasłużony, chociaż, może nawet w większéj mierze, należy się on innym także naczelnikom rządów, zwłaszcza księciu Bismarckowi np., który najzupełniéj urzędownie w tym kierunku państwowéj organizacyi działał i pośrednio, więcéj aniżeli ktokolwiek, przyczynił się do uorganizowania demokracyi socyalnéj, tworzącéj dziś w Niemczech bardzo już potężne i ciągle wzrastające stronnictwo.

Jak dalece jednak we Francyi praktyki napoleońskie wpłynęły na rozszerzenie się teoryi demokracyi socyalnéj, dowiodła w r. 1871 rewolucya komuny paryskiéj. Straszliwy ten swą dzikością i potęgą wybuch, zgnieciony zaledwie po dwumiesięcznéj walce przez rząd rzeczypospolitéj, karany z surowością do srogości dochodzącą, chwilowo prawie zupełnie stłumił ruch socyalistyczny. Wprawdzie podstawa formalna tego wybuchu była polityczna, ale tak z socyalizmem demokratycznym zrosła, że nawet w końcu kierunek ten nad politycznym przemagał. Rozumna polityka rzpltéj, pozwalająca na teoretyczne rozstrząsanie wszelkich, chociażby najbardziéj demagogicznych teoryi, na stowarzyszenia i zebrania wszelakie, ale surowo pilnująca porządku publicznego i nie pozwalająca na manifestacye uliczne, ów porządek zakłócić mogące, wiele się przyczyniła do osłabienia materyalnych sił rewolucyjnego socyalizmu, wskutek braku jedności i jednolitéj organizacyi, wskutek rozpadnięcia się przez ową swobodę na rozmaite sekty, nienawidzące się wzajem. Historya socyalizmu francuskiego z ostatnich lat dwudziestu jest i ciekawa i nauczająca, ale się nią dziś zajmować nie możemy. Już samo wyliczanie sekt przy objaśnieniu teoryi, na których każda z nich swe programy i żądania opiéra, rzuciłoby niemało światła. Liczba socyalistów jest znaczna we Francyi, głównie w wielkich miastach, a zwłaszcza w Paryżu, oraz w okręgach fabrycznych i górniczych. Pomimo tego, otwarci przedstawiciele czystego socyalizmu w izbie deputowanych są bardzo nieliczni.

W poważniejszych ciałach wybieralnych, tylko w radzie miejskiéj Paryża socyalizm silniéj jest reprezentowany przez kilkunastu radzców, pomiędzy którymi znajduje się dziewięciu należących do sekty, czy odcienia Posybilistów, utworzonego w r. 1882-im na kongresie w St.-Etienne przez pp. Brousse, Clement, Joffrin, etc., którzy niegdyś należeli do odcienia anarchistów. Brousse jest człowiekiem majętnym, radcą miejskim Paryża, uznawanym dziś za naczelnika posybilistów (od przymiotnika *possible*, możebny), mających na celu stopniowe rozwijanie idei socyalnéj, i przez zdobywanie rzeczy czasowo

„możebnych“, zbliżanie się do ostatecznego celu, to jest do zsocyalizowania wszystkich środków i narzędzi pracy. Frakcya ta powstała w r. 1878-ym przez oddzielenie się od kolektywistów, prowadzonych przez pp. Guesde, Mallon, etc., jest silna w Paryżu, mało znana na prowincyi, a w roku zeszłym na kongresie w Chatellerault rozpadła się na dwa odłamy. Z tych świeży nosi nazwę alemanistów, od nazwiska swego twórcy p. Allemane. W téj chwili frakcye te nienawidzą się pomiędzy sobą zajadle. Alemaniści zbliżają się więcéj do marxistów, tak zwanych od imienia słynnego teoretyka socyalizmu, Marxa, posiadających większy wpływ na prowincyi, którzy w roku zeszłym odbyli swój kongres w Lille. Wyznają oni, podobnie jak anarchiści, zasady najzupełniéj socyalno-rewolucyjne. W październiku téż odbył się w Calais tak zwany kongres korporacyjny, na którym zręczniejsi i ruchliwsi od innych, marxiści, mieli stanowczą przewagę. Posybiliści i umiarkowani nie przybyli nań. Kongres ten zatwierdził: *a*) żądanie ograniczenia pracy do ośmiu godzin; *b*) ogólną manifestacyę robotniczą w d. 1 maja; *c*) przyjął wreszcie w zasadzie projekt zmowy powszechnéj i ogólnego bezrobocia robotników całego świata, zostawiając stanowcze rozstrzygnięcie téj sprawy międzynarodowemu kongresowi socyalistów, mającemu się zebrać w roku bieżącym w Brukselli. W Lille obrabiano także projekt urządzenia zmowy powszechnéj, uważając ją za drogę pośrednią między rewolucyą gwałtowną, a powolném postępowaniem reformatorów. Uznano jednak, że zmowa wszystkich robotników wszelakiego zawodu na całym świecie jest rzeczą zbyt kolosalną i do przeprowadzenia zbyt trudną, że zatém poprzestać należy na zmowie wszystkich górników całego świata, których podtrzymywać będą składkami robotnicy innych zawodów. Chodzi tu głównie o górników w kopalniach węgla. Gdy węgla zabraknie, fabryki, żegluga, ruch na kolejach żelaznych i żegluga parostatków ustać muszą.

Oprócz wymienionych wyżéj sekt, odpowiadających trzem głównym kierunkom socyalizmu demokratycznego, umiarkowanych, posybilistów (anarchicznych i reformistów) i rewolucyjnie najradykalniejszych marxistów, spotykamy we Francyi jeszcze mnóstwo sekt, czy odcieni demokratycznego socyalizmu, jak np. blankiści (od znanego rewolucyonisty Blanqui), starzy falansterzyści, niezawiśli i t. d. Wszystko to kłóci się między sobą. Wogóle, jakkolwiek Francya jest ojczyzną socyalizmu, jakkolwiek pierwsze jego praktyczne, lub rewolucyjne próby tam miały miejsce, wszystkie te sekty robią wiele hałasu, ale dowodów rzeczywistéj siły i wpływu na ludność mniéj składają. Pomimo głosowania powszechnego, pomimo najzupełniejszéj wolności

słowa, druku, zebrań, stowarzyszeń, pomimo poparcia, jakie im radykalizm czysto polityczny, oraz wszelkiego rodzaju demagogią, zaczynając od bulanżystowskiéj, zapewnia, pomimo burzycielskiéj walki stronnictw nad zwaleniem rzeczypospolitéj, chociażby przy pomocy najzjadliwszego anarchizmu, w izbie deputowanych zasiada zaledwie piętnastu, czy szesnastu socyalistów czystych. Z tych kilku tylko zalicza się do posybilistów, to jest do odcienia umiarkowanego i mogącego prędzéj jednać sobie głosy, reszta należy do skrajnie rewolucyjnych marxistów, liczących jedynie na wybuchy gwałtowne.

W nieskończenie trudniejszych politycznie warunkach zostający socyaliści niemieccy stanowią już dziś bardzo poważne stronnictwo w sejmie rzeszy, a siła ich ciągle wzrasta. Podobnie w Anglii rzesze robotnicze, ujęte w kluby silnéj organizacyi, nie przybierając wcale nazwy socyalistów, stają się stronnictwem, które wkrótce piątą częścią wyborców rozporządzać będzie.

Powody dzisiejszéj względnéj, w porównaniu z Niemcami i Anglią, słabości ruchu socyalistowskiego we Francyi są liczne i bardzo poważne. Przedewszystkiém naród w całości swéj nie jest wcale przesiąkły usposobieniem socyalistowskiém, jak po dawniejszych z 1848 i 1871 roku wybuchach niektórzy wnioskowali. We Francyi liczą około dziewięciu milionów właścicieli nieruchomości większych, średnich, małych i malutkich, około trzech milionów rozmaitego stopnia posiadaczy renty państwowéj, których liczba ciągle się powiększa, bo w kasach oszczędności zebrany kapitał, należący do dwóch milionów osób, wynosi półczwarta miliarda franków. Jakkolwiek w szeregach socyalistów znajdują się także ludzie z zabezpieczoną niezależnością, a nawet zamożni, jednakże te miliony właścicieli stanowią bardzo potężną armię przeciwników teoryi socyalistowskich. Chłopi zwłaszcza wyznają pod tym względem bardzo zachowawcze zasady. Nawet państwowy socyalizm, tak rozwinięty w Niemczech, spotyka silny opór we Francyi, a prawodawcze w tym kierunku działanie ograniczane było i jest do najkonieczniejszego *minimum.*

Drugim powodem słabości jest mnogość i rozmaitość sekt, czyli szkół socyalistowskich, brak pomiędzy niemi organicznéj spójni, brak jedności w programie i działaniu, brak roztropności politycznéj, wskazującéj, co w danym razie i czasie jest do zyskania możebném, a co nie, gorączkowa stąd i nerwowa niecierpliwość, koniecznie do groźb rewolucyjnych i wybuchowych prowadząca. Posybiliści tylko trzymają się innéj taktyki. Starają się nie straszyć mieszczaństwa zapowiadaniem przewrotów gwałtownych; ale stanowią jedną i to

nienajliczniejszą całego stronnictwa cząstkę. Groźby owe dotąd kończą się na słowach i do czynu nie przejdą, ani przejść mogą, dopóki rząd jest czujny i, przynajmniéj pod względem utrzymania ulicznego porządku, silny. Takim zaś jest on istotnie, zwłaszcza w téj chwili. Straszliwa nauka dana przez komunę nie została zapomnianą. Socyaliści rewolucyjni mogą tylko liczyć na słabość polityczną tego rządu, na intrygi przeciwnych mu stronnictw reakcyjnych, na niezadowolenie powodami politycznemi wywołane, przy krewkiém usposobieniu ludu doprowadzić mogące do tak Francyę kompromitujących, a nawet chwilowo tak niebezpiecznych głupstw, jak był bulanżyzm. Musimy pominąć inne jeszcze dwie ważne przyczyny, wywołujące przekonanie, że socyalizm francuski, pomimo swéj przeszłości, pomimo hałasu, jaki robi, jest dziś mniéj silny i mniéj ważny, aniżeli socyalizm niemiecki i że przewodnictwo w znanym międzynarodowym związku socyalistów zupełnie utracił.

Dlatego zeszłoroczne kongresy socyalistów francuskich nie wywarły wrażenia nietylko w Europie, ale nawet we Francyi, gdzie się niemi teraz mniéj zajmują, w miarę, jak rząd rzeczypospolitéj zdaje się wzrastać w siłę i pewność trwałości.

II.

Inaczéj rzecz się ma z socyalizmem angielskim, albo, by się ściśléj wyrazić, ze związkiem klas robotniczych w Anglii, związkiem zawartym w celu wywalczenia poprawy doli związkowych, tak materyalnéj, jak moralnéj.

W dniu 1-ym września r. z. otwarty został w Liverpool wielki kongres unii robotniczych, właściwie unii zawodowych (*trades unions*). Ten prawdziwy parlament robotniczy obradował tydzień cały bardzo poważnie, spokojnie i gruntownie nad kwestyami i projektami, dotyczącemi losu i przyszłości klasy robotniczéj Wielkiéj Brytanii. Do obrad tych zasiadło 463 delegatów, posiadających bardzo regularne pełnomocnictwa *ad hoc*, wydane im przez ich związki, liczące razem *1,427,080* członków czynnych. Był to prawdziwy parlament pracy nietylko z powodu bezprzykładnéj dotąd liczby zebranych przedstawicieli, równie jak ilości wyborców, ale téż z powodu różnorodności grup robotniczych i odcieni przekonań, jakie ci zebrani przedstawiali. Najrozmaitsze zawody i stowarzyszenia przysłały swych delegatów, od potężnego związku połączonych mechaników i inżynierów (*amalgamated engineers*), liczącego przeszło 100,000 związkowych i około półtora miliona rubli rocznie dochodu, aż do drobniej-

szych związków miejscowych. Przedstawicielki pracy niewieściéj także się tam znajdowały. Bo w Anglii nietylko od dawna kobiéty, pracujące w jakim danym zawodzie, tworzą osobne i bardzo dobrze administrowane związki; ale owe robotnicze *trades unions* roztrzygnęły już na korzyść kobiét kwestyę równouprawnienia co do wybieralności i głosu.

Ponieważ historya tych angielskich *trades unions* (związków zawodowych) jest u nas mało znana, rzecz zaś, jak widzimy, chociażby tylko z powyższych cyfr, jest nietylko ciekawa, ale i dla ruchu socyalnego bardzo ważna, podajemy tu niektóre szczegóły według prac Thorntona (*On labour*) i Urquarta Forbes.

W Anglii, jak wszędzie, do początków naszego stulecia z zaciętością i wytrwałością prawo usiłowało przeszkodzić związkom robotników i karało je srodze. Dopiéro koło r. 1824 pod naciskiem liberalniejszych, albo raczéj sprawiedliwszych, poglądów w kwestyi pracy, zaczęto przypuszczać, że robotnicy powinni miéć prawo łączenia się w związki dla regulowania warunków i ceny pracy. Praca, dowodzono, jest tak dobrze towarem, jak każdy inny, i takież same prawo, jak inny towar, miéć powinna. Po długich usiłowaniach znakomity radykalista angielski, Józef Hume, wywołał akt parlamentu, znoszący dawne zakazowe prawa „dotyczące koalicyi robotników.“ Akt ten nietylko owe dawne srogie zakazy znosił, ale zarazem zastrzegał: „że należący do owych koalicyi nie mogą ulegać żadnemu dochodzeniu sądowemu, ani karze, ani jakiemu bądź za to prześladowaniu.“

W r. 1825-ym za staraniem fabrykantów skrzywiono zaraz i sparaliżowano to prawo liberalne za pomocą poprawki stanowiącéj: „że wszelki nacisk bezpośredni, wywierany na jaką osobę dla zmuszenia jéj lub znaglenia, groźbą lub postrachem, do udziału w związku lub koalicyi, w celach ściśle określonych, uważane być mają za karygodne przestępstwo.“ Wkrótce najwyższy sąd kryminalny zaczął stosować ten dodatkowy artykuł do związków zawodowych, co mu przyszło tém łatwiéj, że w koalicyach robotniczych zawsze trudno ściśle określić, gdzie się zaczyna groźba i przymus.

Tak trwały rzeczy przez lat przeszło trzydzieści. Dopiéro w r. 1859 nowy akt parlamentu objaśnił, że nie ma „ani groźby, ani gwałtu, ani występku karygodnego w fakcie przystąpienia do wspólnego z innemi osobami planu dla oznaczenia wysokości płacy zarobkowéj albo doprowadzenia (zapomocą spokojnych rozumowań, bez formalnych gróźb), innych osób do zawieszenia ich pracy“ (*Strike*, bezrobocia).

Dużo i długich zabiegów, wysileń i walk potrzebowały początkujące wówczas związki zawodowe, by to zwycięstwo otrzymać. Nie było ono jednak stanowcze, nosiło bowiem charakter negacyjny. Była to tylko tolerancya prawna, unie zaś potrzebowały i domagały się opieki prawnéj. Osiągnęły i to, manewrując bardzo zręcznie i posiłkując się prawodawstwem o związkach wzajemnéj pomocy (*Friendly societies*).

Artykuł prawa z r. 1855 upoważniał stowarzyszenia ukonstytuowane „w jakim bądź celu, byle cel ten nie był prawu przeciwny“, prawnie swe statuta oblatować, skutkiem tego wyzyskiwać istnienie prawne, i w razie potrzeby pomoc trybunałów. „Związki zawodowe“ usiłowały postawić się w zgodzie z literą tego prawa; ale sądy stawiły opór. Potrzeba było nowego aktu parlamentu, który wydany został w r. 1869 i stanowił wyraźnie, że „związki zawodowe“ mogą korzystać z przywilejów, służących towarzystwom wzajemnéj pomocy. Pierwszy to raz w owym akcie wyrazy *Trade unions* zostały w prawie angielskiém wymienione; pierwszy raz prawo to bierze owe „związki zawodowe“ otwarcie pod swoją opiekę. Artykułu tego prawa nie przytaczamy, bo, jak zwykle w prawach angielskich, jest on przewlekle wykręcany i jasny tylko dla prawników.

Tak podciągniętym pod rubrykę towarzystw wzajemnéj pomocy i posiadającym istnienie prawne „uniom“, pozostawało jeszcze tylko ułożenie właściwego swego statutu. Dokonano tego prawem z r. 1871 noszącém nazwę *Trade-Union Act*. Prawo to dopuszcza te unie imiennie i formalnie do oblaty prawnéj (*enregistrement*), jako stowarzyszenia wzajemnéj pomocy k l a s y s p e c y a l n é j. Obejmuje tylko jedno zastrzeżenie, a mianowicie: że umowy dotyczące koalicyi w celu uregulowania lub zmiany warunków pracy, nie mogą domagać się prawnéj egzekucyi.

Kończymy już z tą bardzo niezupełną i skróconą historyą prawną, może nieco nudną, ale konieczną. Wykazuje ona bowiem ile czasu, zabiegów i walk, nawet w wolnéj Anglii, wymagało przeprowadzenie prawa, dziś za najsłuszniejsze uważanego. Przed r. 1824 robotnik należący do zmowy w celu wytargowania lepszych warunków dla swéj pracy, uważany był przez prawo za przestępcę i mógł być karany kryminalnie. To kryminalne piętno zdjęto z niego, ale w r. 1825 podciągnięto go znowu pod odpowiedzialność karną i tak go trzymano do 1855, by nareszcie owe, przed czterdziestu laty kryminalne, koalicye w r. 1871 oddać pod opiekę prawa. Czy to nie nauczające?

Niemniéj pouczającemi są fakta i cyfry następne: W r. 1874, zatém w trzy lata po zatwierdzeniu prawa, nadającego tym „związ-

kom zawodowym" przywileje żądane, liczono tych związków zaregestrowanych 66, w r. 1874 przybyło ich 27, w 1875 r. 35, w 1876 r. 35, w 1877 r. 24, w następnych terminach rocznych liczba ich tak się zwiększała: 22—17—19—22—22—23—12—13—23—25—28; w r. 1889 przybyło zaregestrowanych unii 45. Te czterysta sześćdziesiąt ośm związków zaregestrowanych, nie przedstawia rzeczywistéj liczby działających. Thornton bowiem na trzy lata przed wyjściem owego prawa, bo w r. 1868 pisał o nich:

„Wśród niesłychanych trudności, często chwilowo upadając na duchu, pomimo znacznéj liczby niepomyślnych, a małéj szczęśliwych następstw, powoli, stopniowo rozwijając się, mnożąc, stały się one têm, czém są dziś. Czém zaś są, można określić w dwóch słowach. Przed laty pięćdziesięciu nikt o nich nie słyszał; dziś stanowią bardzo znaczną, odrębną potęgę w państwie, szybko posuwając się naprzód, by zająć miejsce między przodowemi instytucyami narodowemi. Około dwóch tysięcy tych unii jest rozrzuconych po całém królestwie..."

Cyfry ścisłéj związków istniejących w r. 1868 Thornton nie podaje, ale i z tą przybliżoną liczyć się należy, bo autor badania swe przeprowadził bardzo starannie i dotarł do źródeł. Jeżeli nawet przypuścimy, że unie słabsze, miejscowe, przy regestrowaniu stały się większemi, ogólniejszemi i silniejszemi, przypuszczać jednak można, że jeszcze wiele istnieje niezaregestrowanych, zatém nie korzystających z przywilejów prawa z r. 1871. Regestracya owa jest podobno rzeczą kosztowną i połączoną z dość ciężkiemi wymaganiami.

Thornton w każdym razie był dobrym prorokiem, mówiąc o potędze tych unii. Cyfry na początku przytoczone są tego dowodem.

Związków tych nie należy brać za jedno ze stowarzyszeniami współdzielczemi, na wzór sławnych pionierów rochdalskich, mających całkiem odmienne cele, na widoku. Jest ich także mnóstwo w Anglii i stanowią siłę poważną, pracują nad poprawą losu robotników, ale w innym kierunku. Związki zawodowe głównie mają na celu wspólną obronę interesu związkowych, bliższych a często i dalszych, wobec fabrykantów i wszelkiego rodzaju chlebodawców. Osiągają ten cel przez układy bądź przeprowadzone drogą przymusu przez bezrobocie, bądź i bez tego na drodze dobrowolności. To drugie jest rzadsze, ale się zdarza. Bezrobocia bywają bardzo częste, a chociaż nieraz robotnicy w téj walce zyskują zwycięstwo, jednak środek to dla nich nader kosztowny nawet w razie wygranéj, jeżeli zwłaszcza bezrobocie trwa dłużéj. Dziś robotnicy lepiéj to rozumieją, więc nie tak łatwo jak dawniéj uciekają się do bezrobocia, które stanowi ich *ultima ratio*, bo jest wojną pracy przeciw kapitałowi, kiedy dla zobopólnego dobra obie te

siły powinnyby żyć w zgodzie. O taktyce jednak bezroboci, oraz ich następstwach dziś mówić nie będziemy, inne założenia mając na celu.

Krótki ten szkic historyczny, pomimo swych koniecznych z powodu krótkości niedostatków, wystarcza wszakże, jak nam się zdaje, do wyprowadzenia niektórych wniosków. Przedewszystkiém wskazuje on nam, że pierwiastkowo, a nawet bardzo długo, angielskie związki zawodowe nie zostawały w związku z teoryami socyalizmu. Jeżeli się zaś do tych teoryi związkowi zbliżali, robili to w sposób całkiem od francuskiego różny. Związki te nie myślały i nie myślą dotąd o przewrocie w przemysłowym ustroju społecznym, o jakiémś idealném państwie robotniczém. Pod tym względem były one dotąd najzupełniéj zachowawczemi. Chcą tylko poprawy losu robotnika za pomocą środków, jakie dzisiejszy ustrój społeczny przedstawia. Nie występują przeciw własności, ani przeciw kapitałowi, domagają się tylko lepszego wynagrodzenia ich pracy i sprawiedliwszego rozdziału zarobków. Nie rewolucyi pragną, ale reform, prawną otrzymywanych drogą. Mówimy o większości członków dzisiejszych i dawnych związków, nie wiedząc wszakże, jak długo ta większość się utrzyma. W ostatnich bowiem latach zaczął coraz więcéj napływać do związków żywioł czysto socyalistyczny, z kontynentalnym socyalizmem skoligacony.

Francuscy i niemieccy socyaliści, ci ostatni ostrożniéj, rozpoczęli od krytyki ustroju społecznego. Od téj krytyki zapomocą logicznych i dyalektycznych wywodów przechodzą do teoryi, a następnie do żądań i planów. Znana to droga. Przed stu laty Sieyes sławną swą broszurą: „Czém jest stan trzeci? niczém. Czém być powinien? wszystkiém“, przy krewkości namiętéj swego narodu, położył pierwsze podstawy wielkiéj rewolucyi, na któréj przedewszystkiém zarobiło mieszczaństwo. Dzisiaj agitatorowie socyalizmu stawiają podobneż pytanie, tylko przeciw mieszczaństwu, to jest przeciw kapitałowi zwrócone: „Czém jest stan czwarty (robotnicy)? Są nędzarzami, są niczém. Czém być powinien? Powinien być wszystkiém, bo praca jest wszystkiém?“ Ta zasada, paradoksalnéj natury, jeżeli się ją bierze dosłownie, w znaczeniu pochlebiającém namiętnościom i pożądliwościom niecierpliwych tłumów, rozwijana przez agitatorów, pomiędzy którémi mogli się znaleść teoretycy szczerze przekonani, ale pomiędzy którymi było więcéj demagogów, osobisty interes na celu mających, doprowadziła Francyę w r. 1848 najprzód do słynnych warsztatów narodowych, następnie do krwawych dni czerwcowych, a w r. 1871 do komuny. W Niemczech dotąd socyaliści zachowują się spokojnie, a chociaż i tam znajduje się pewna gwałtowna mniejszość,

działają jednak systematycznie w kierunku, wskazanym także przez pewne teorye, które są podstawą ich roboty cierpliwéj.

W Anglii, gdzie o Owenie, jego teoryach i jego *New Harmony* klasy pracujące nic nie wiedziały a z zagranicą nie miały jeszcze stosunków, „związki zawodowe“ wyszły z poczucia najzwyczajniej praktycznego interesu. Czuli się krzywdzonemi i uciskanemi, chcieli się bronić. Ubogi pojedyńczy robotnik przeciw potężnemu fabrykantowi nic nie wskura, straci tylko. Odepchnięty przez inne fabryki zsolidaryzowane z tą, którą opuścić musiał, umrze z głodu. Ale kilkuset lub kilka tysięcy ludzi, ujętych w związek dla danego celu, stanowią już większą siłę i może coś dla siebie wytargować zdołają. To był punkt wyjścia. Widzieliśmy jak długo się wlokło, wiele i jak wytrwałego zachodu było potrzeba, by słuszność tego punktu wyjścia przez prawodawstwo angielskie uznaną została.

Jeżeli ów punkt wyjścia i sposób walki cierpliwéj a prawnéj, noszą przeważnie angielski charakter, będąc uświęceniem zasady samopomocy (*self help*) tak Anglikom drogiéj, inne jeszcze czysto angielskie cechy, dotąd przynajmniéj, odróżniały te unie robotnicze od związków lub sekt kontynentalnéj demokracyi socyalnéj. Jedną z tych cech stanowi ich wyłączność, ich, że się tak wyrazimy, arystokratyzm. Socyalizm kontynentalny jest ogólniejszy, mniéj zna rozróżnień i stopniowań pomiędzy robotnikami. Równie go zajmuje wyrobnik jak robotnik, nad obudwoma pragnie on swą opiekę rozciągnąć. Angielskie podwoje dotychczas otwarte były wyłącznie dla robotników, posiadających już pewne wykształcenie, nabyte w swém rzemiośle, zapewniające mu pewien, nie oznaczany zresztą, dochód, pozwalający mu płacić stale składkę, któréj pobór ściśle jest przestrzegany. Takich robotników nazywają oni *Skilled* (wyuczonemi, wykształconemi, wyrobionemi). Składki służą dla celów ogólnych bądź danéj unii, bądź związku pewnéj ich liczby, bądź nawet dalszych, czy kolonialnych czy nawet zagranicznych, których poparcie za właściwe zarząd unii uzna. Prawa i korzyści okupić można tylko spełnieniem obowiązków jak opłata składek, karność i posłuszeństwo wybieralnym zarządom unii. Co więcéj, unie do téj pory objawiały silny wstręt do państwowego socyalizmu, już dziś w Niemczech praktykowanego, a dążącego do urządzania wszelkich stosunków pracy przez państwo, to jest przez władze rządowe a przymus prawny na interesowanych rozciągającego. Żądały one tylko pewnych praw, pozwalających im samym dawać sobie rady w swych stosunkach z fabrykantami, zapomocą bądź dobrowolnych bądź wymuszonych, prawem dozwolonych, środków. Sądzą one, że potrafią stać się panami na targu pracy, do

czego dążą, usiłując przeprowadzić monopoliczną zasadę, że fabrykanci i wszelacy przedsiębiorcy najmować powinni tylko robotników do unii należących. O niewłaściwości tego uroszczenia, słusznie z wielu powodów krytykowanego a wolność pracy ograniczającego, dziś mówić nie będziemy, zaznaczyć je wszakże musieliśmy. Cel unii jest tu bardzo jasny. Zapomocą sztucznych ograniczeń ilości zaofiarowanéj pracy chcą podwyższyć stopę płacy zarobkowéj. Stara to polityka, praktykowana już w wiekach średnich przez tak zwane gildy rzemieślnicze i cechy. W ostatnich jednak latach wiele się zmieniło w zapatrywaniach unii, pod wpływem prądów socyalistycznych, chociaż formy i ogólne podstawy pozostały téż same. Nowi unioniści różnią się od dawnych w wielu względach, chociaż ci ostatni jeszcze nadają ton całości. Widać to już było na kongresie otwartym 1 września 1890 w Hali Chmielowéj w Liverpool.

Korespondenci dzienników zagranicznych, licznie przybyli na ten kongres, jednomyślnie zaznaczali, że wszyscy ci robotnicy, delegaci robotników, wyglądali jak zasobni mieszczanie, ubraniem i zachowaniem nie różniący się od innych klas społeczeństwa ani tych odróżnień nie szukający. Ten zewnętrzny wygląd może się zdawać rzeczą małéj wagi, jest on jednak znaczącym, zwłaszcza gdy dodamy do niezmiernego porządku obrad, ścisłe zachowanie form parlamentarnych, umiarkowanie w wystąpieniach, chociaż rozprawy były nieraz bardzo żywe i bardzo ważne, a robota szła żwawo. „Nie jeden wielkomocarstwowy parlament mógłby temu kongresowi pozazdrościć przyzwoitości tonu, tak połączonéj z szybkością i energią w robocie"— pisał jeden z najpoważniejszych dzienników paryskich. Obok szanownych starych i doświadczonych unionistów, rzemieślników doskonałych, zasiadało kilku bardzo poważnych członków parlamentu Wielkiéj Brytanii, jak np. p. H. Broadhurst, przez lat piętnaście sekretarz parlamentu, podsekretarz stanu w wydziale spraw wewnętrznych w gabinecie Gladstona z r. 1886, deputowany robotników do izby. Wspomnimy daléj p. K. Fenwick, członka parlamentu z Northumberland, delegata potężnéj unii górników; p. Shipton, sekretarza rady centralnéj rzemiosł londyńskiéj, osobistość bardzo znaną także z swéj działalności politycznéj. Niepodobna téż opuścić p. Burns, bardzo znanego przewódzcę socyalistów angielskich i świeckiego kaznodzieję bardzo popularnego, a przytém bardzo żarliwego, kościoła pierwotnych metodystów. Dwaj ostatni panowie są naczelnikami demokratycznego nowounionizmu i organizatorami unii „wyrobników". Ci nowounioniści przedstawiają kierunek socyalistyczny, zbliżony do kontynentalnego i są już bardzo silni. Naprzeciw nich stoją starzy wyznaw-

cy indywidualizmu, opierającego się dotąd socyalistowskiemu naporowi i wpływom.

W szczegóły rozpraw kongresu, który trwał tydzień, wdawać się nie możemy. Charakter przemagających w nim i ścierających się poglądów, dobrze maluje mowa wybranego jednomyślnie prezesa p. Matkin, rzucająca téż światło ogólne na usposobienia klasy robotniczéj w Anglii. Da ona przytém wyobrażenie, jak owi rzemieślnicy na tém zebraniu przemawiali i co to byli za ludzie.

Ów p. Matkin jest sekretarzem potężnéj unii cieślów liwerpulskich. Widocznie otrzymał staranne wychowanie, albo może raczéj sam je sobie dał, pracując nad sobą. Takich samouków, bardzo wykształconych, Anglia posiada więcéj, aniżeli który bądź z krajów europejskich; dorównywa ona pod tym względem Stanom Zjednoczonym. Zwykle są to ludzie bardzo dzielni, energiczni i praktyczni, znający dobrze swe społeczeństwo, chociaż często jednostronni. Czém jest ów p. Matkin, najlepiéj wskaże następna jego mowa wygłoszona przy objęciu prezydyalnego krzesła. Uwydatnia ona zarazem prądy nurtujące wielkie warstwy robotnicze w Anglii.

„Świat dziś—tak zaczął p. Matkin—znajduje się wobec nowych warunków; musi liczyć się z wykształconą i myślącą klasą robotników, z bardziéj humanitarną ekonomią polityczną, wypędzającą z cywilizowanego społeczeństwa ponurych proroków starego systemu. Musi się téż liczyć z publicznością, pojmującą potrzeby robotników i sympatyzującą z niemi. To wszystko nastąpiło tak szybko, że zebrani przedstawiciele rzemiosłowego unionizmu za mało mieli czasu do roztrząsania owéj polityki przyszłéj. Dziś zdarza się do tego sposobność. Nie wątpię, że powezmą oni roztropne postanowienia.

„Wogóle przyszłość jest za pracą, każdy to przyznaje. Przyznaje to i polityk kokietujący klasy robotnicze dla zyskania ich głosów, i kapitalista, który się ich lęka, i filantrop, który je popiera. Wielu z nich byłoby w stanie nakreślić idealny obraz państwa pracy, w którém jednakowe drogi dojścia mogłyby być otwarte dla wszystkich; w którém chcący pracować, nie potrzebowałby cierpiéć głodu; w którém społeczeństwo ludzkie byłoby tak uorganizowane i uszlachetnione, że ciemnota, występek, przesąd i głupota zostałyby wyplenione, a braterstwo międzyludzkie stałoby się rzeczywistością. Być może, iż liczne przeminą pokolenia, zanim się to spełni; ale naszym obowiązkiem jest robić to coraz bardziéj możliwém. Przed kilku jeszcze laty, podobne tym nadzieje uważanoby za czcze mrzonki; dziś postęp pracy stał się tak szybki, że nadzieje te muszą być uważane za uprawnione dążności ludzi, stanowiących armię zorganizowanych

robotników. Za możliwość podobnej przyszłości poręcza rzeczywistość chwili obecnéj, poręczają téż doświadczenia przeszłości. Dzisiejsze rozbudzenie i ocknienie pracy jest wybitnym krokiem naprzód w przyrodzonym postępie. Niewątpliwie poprzedza ono narodową organizacyę przemysłu. Zaprawdę dla pracy nie ma żadnéj *ultima Thule*. Cel osiągnięty przez jedno pokolenie, musi się stać punktem wyjścia dla pokolenia następnego. I tak daléj. Dopóki klasy robocze trzymane będą w niepewności co do ich chleba powszedniego i przyszłego ich ubezpieczenia, dopóty klasy te muszą wyzyskiwać każdą sposobność dla wzmocnienia swéj pozycyi, używać potęg państwowych na korzyść pracujących tłumów.

„Niezaprzeczenie nadszedł już czas do rozpoczęcia energicznych kroków dla zapewnienia ośmiogodzinnego dnia pracy. Przedmiot ten był już żywo i energicznie rozbierany, a publiczność pojmuje jego ważność. Zagraniczni robotnicy już postanowili zapewnić sobie dzień podobny, liczne rządy objawiają zupełną gotowość do zrobienia podobnego ustępstwa. Walka zagranicznego współzawodnictwa wkrótce faktycznie uspokoi się. Państwa stałego lądu czekają tylko na pierwszy krok w téj reformie ze strony naszego kraju. Dowiódł tego jasno kongres, odbyty w Berlinie pod przewodnictwem cesarza niemieckiego. Gdyby ośmiogodzinny dzień pracy nie został zdobyty, kiedy roboty jest dość, kiedy zatém unie są najsilniejsze, niepodobnaby go było uzyskać przy upadaniu handlu. Nie lękam się wcale, by ośmiogodzinny bill zaszkodził handlowi angielskiemu, podkopał niezależność robotników, albo praktycznie rozbił ich unie. Dawne zastosowanie prawa o fabrykach zawodu tkackiego w naszym kraju, nie zrujnowało wcale handlu wyrobami bawełnianemi, nie wypadło też w widoczny sposób na korzyść zagranicy. Podobnież rozwinięcie handlu machinami dowiodło, że zastosowanie dziewięciogodzinnego dnia pracy przy wyrobie machin nie wyrządziło naszemu handlowi machinami żadnéj ze szkód, jakie tchórzliwi prorocy przepowiadali. Przeciwnie, mnóstwo faktów usprawiedliwia twierdzenie, że zmniejszenie godzin pracy, rozwijając fizyczną i umysłową siłę osobników, w rzeczywistości prowadzi do tańszéj produkcyi. Pomimo ponurych przepowiedni, nigdy klasy pracujące nie były w tym kraju bardziéj niezależnemi i wierniejszemi wielkim zasadom wolności...“

P. Matkin jednak nie jest pewny, czy powszechny bill ośmiogodzinny da się już dziś i od razu przeprowadzić przez izbę gmin. Niektóre bowiem i to bardzo potężne gałęzie przemysłu (tkactwo), są jeszcze przeciwne podobnéj nowości. „Z drugiéj jednak

strony nie ma powodu, dla któregoby środek ten nie miał zostać zaraz zastosowanym w przemysłach, które dowiodły, że tego potrzebują. Dotyczy to szczególniéj górników, pomiędzy którymi wielka istnieje zgoda opinii co do téj sprawy. Nawet cząstkowy bill ośmiogodzinny jużby był nowym zwrotem w prawodawstwie wielkobrytańskiém. Górnicy i robotnicy tak samo są interesowani w pomyślności całego państwa jak najwięksi kapitaliści. Kongres więc może wezwać którebądź z wielkich politycznych stronnictw, by jako próbę, zastosowano do górników prawo pracy ośmiogodzinnéj tylko. Nie ma téż powodu, by nie zastosowano rodzaju plebiscytu co do powszechnego prawa ośmiogodzinnego. Niech tylko górnicy prawo to zyskają, niech następnie inne gałęzie przemysłu żądanie podobnego aktu objawią a rozporządzenie to będzie mogło zostać do nich zastosowane.

„Dla zapewnienia jednak skutecznego przedstawicielstwa pracy, nietylko wywarty być musi silny nacisk na izbę gmin, ale nastąpić winna bardzo znaczna w charakterze przedstawicieli narodu zmiana. Nadszedł już czas, w którym dotychczasowe względy stronnicze muszą ustąpić przed wymaganiami pracy, a kandydaci muszą być wybieranymi bez względu na dotychczasowe wymagania stronnicze. Jeżeli zważymy, że miasta takie, jak Edynburg, Glasgow, Leeds, Manchester, Bradford, Bristol, Liverpool i tyle okręgów, w których robotnicy stanowią przeważającą większość, nie mają dostatecznéj bezpośredniéj reprezentacyi, dziwić się należy czelności stronnictw politycznych, a cierpliwości i gnuśności pracy. Wielkich rzeczy spodziewają się od każdego nowego parlamentu, ale każdy parlament wyskakiwał w górę jako rakieta, a spadał jako drąg. We właściwéj więc chwili, zwołane być muszą w każdém mieście, w każdym okręgu konferencye dla porozumienia się co do polityki miejscowéj, co do planu działań wyborczych, co do wyboru kandydata pracy. Dziś wiemy już, że dopóki, wobec grożących niebezpieczeństw, praca się nie rozbudzi, to zawsze z parlamentarnych kruczków, stawianych przez właścicieli ziemskich, spadać będzie na kruczki parlamentarne, stawiane przez adwokatów. Prostą niedorzecznością jest zarzut, stawiany klasie robotniczéj, że dąży do reprezentacyi klas, jak gdyby to niebezpieczeństwo nie było znane konstytucyi angielskiéj. Nie ma na świecie zgromadzenia, w któremby częściéj poświęcana była pomyślność publiczna dla interesu klasy; nie ma w Europie plemienia, któreby bardziéj od nas trapione było monopolami uprzywilejowanych...“

P. Matkin ma nadzieję, że się usiłowanie zapewnienia przedstawicielstwa pracy w parlamencie powiedzie, jak się już powiodło w no-

wych radach miejskich Anglii, w których przeszło 70 robotników zasiada. Te rady wywrą wielki wpływ wychowawczy, w bliskich wyborach do tych rad robotnicy jeszcze bardziéj swą siłę zaznaczyć powinni. „Gdy chodzi o rozstrzyganie najważniejszych zagadnień społecznych, przedewszystkiém musicie liczyć na przedstawicielstwo pracy. Zaprowadzenie ośmiogodzinnego dnia pracy będzie jednym krokiem, rozwiązanie kwestyi ziemskiéj będzie drugim. Praca nie powinna pozwolić, by kwestye te stały się polityczno-stronniczemi.“

Tu p. Matkin teoretycznie i w przewidywaniu dalszéj, może nawet dalekiéj, przyszłości, zbliża się bardzo do socyalistów szkoły słynnego amerykanina, Henry Georges. Mówi bowiem: „Dopóki kwestya własności ziemskiéj będzie tém, czém była i jest, dopóty przedsiębiorcy będą rozporządzać niewyczerpanym zapasem rekrutów do stawiania ich przeciw pracy uorganizowanéj. Wszyscy znają niezmierne szkody, jakie państwu wyrządza sprowadzanie z zagranicy większéj części potrzebnego nam zapasu żywności, chociaż produkcya téj żywności nietylko zatrzymałaby w kraju bajeczne sumy pieniędzy, ale dałaby jeszcze zarobek setkom tysięcy ludzi, pracy potrzebujących. Tę kwestyę reformy ziemskiéj należy stawić na czele programu wyborczego; załatwienie jéj pociągnie za sobą następstwa dla dzieci waszych. Jedyném skuteczném i trwałém rozwiązaniem jest znacyonalizowanie ziemi [1]).

„Część składową kwestyi ziemi stanowi przyszłość naszych kolei żelaznych i kopalni. Ogrom naszych kolei i cła handlowe, gospodarstwo naszego kolejowego systemu, są najzupełniéj sprawami publicznemi, a publiczność coraz więcéj niemi się zajmuje. Widzi ona, że nietylko służba kolejowa jest przeciążona pracą, przytém źle płatna, ale także sądzi, że rozmaite, często zdziercze opłaty towarowe zgubny wpływ na handel kraju wywierają. Koleje te państwo mogłoby objąć i zarządzać niemi z korzyścią. Nie ma też żadnych poważnych przyczyn, dla których nasze kopalnie nie miałyby zostać własnością państwa. Praca też dotknęłaby się uzdrawiającą ręką naszych praw o ubogich, odebrałaby nerwowéj i spazmatycznéj dobroczynności opiekę nad choremi, ociemniałemi, kalekami. Przez nią szpitale i inne instytucye podobne przeszłyby pod zawiadywanie państwa. Ona też wybawiłaby nas od systemu wy-

---

[1]) *Land nationalisation* — terminologia kontynentalna nazywa ten system „upaństwowieniem ziemi“; teorya ta dawno i przez wielu socyalistowskich autorów rozwijana, na niéj oparł swój system Henry Georges.

zysku robotnika do krwawego potu (*sweating* system), urządzaniem przez municypalności warsztatów, fabryk i tym podobnych zakładów, uległych inspekcyi. Zasada federacyi jest jedną z cech charakterystycznych naszego czasu. Nietylko odrębne miejscowe teorye zostałyby szybko złagodzone przez narodowe i międzynarodowe kombinacye, ale nie szczędzonoby (pod wpływem téj federacyjnéj zasady) skutecznych starań dla zaprowadzenia, w pewnych danych celach, związku rozmaitych unii, wytworzonych przez zbliżone do siebie gałęzie przemysłu. Oto jeden skuteczny sposób zdobycia na kapitale rozsądnych warunków, bez wdawania się w walki kosztowne, które zawsze opłakiwać przychodzi. Ważnym bardzo krokiem tych federacyi byłoby popieranie przedsięwzięć przemysłowych, prowadzonych przez stowarzyszenia robotników...“

Według nas, mowa ta, niezmiernie ciekawa, obejmuje dzisiejszy program unii robotniczych angielskich, wyłożony spokojnie przez człowieka o bardzo silném przekonaniu, ale traktującego rzeczy na sposób angielski, bez namiętności i demagogicznych deklamacyi, ale z spokojną rozwagą, rozróżniającą rzeczy, które za możebne uważa w bliskiéj przyszłości, od takich, na które jeszcze „pokolenia“ zarabiać muszą, reformy przynieść mogące rychłe korzyści od tych, z których owoce zbiérać będą dopiéro „dzieci lub wnuki“ tych, co je wypracowali lub przeprowadzili. Do tych zmian widzi jedyną drogę, prawo, wolność, użytkowanie ze środków, jakie prawo zapewnia, cierpliwość, wytrwałość, konsekwencyę. Gwałt, rewolucya budzi w nim wstręt, bo jest negacyą prawa i wolności. Pewny swéj siły, wierzy więc w przyszłość. Historya wogóle, a nawet historya tych oto unii robotniczych nauczyły go, że czas jest wiernym sprzymierzeńcem i dzielnym sługą cierpliwych, ale wytrwałych, że bez niego nic trwałego zbudować nie można. To, co przed trzydziestu kilku laty zaledwie było u tych unii uważane za bunt i jako występek karane, dziś nietylko jest prawnie dozwolone, ale i opieką prawa otoczone. Nie chce on burzyć, chce reformować. Nie traktuje kapitału jako wroga pracy, rozumié jego siłę i potrzebę, nie piorunuje przeciw niemu, nie domaga się jego konfiskaty, szuka środków porozumienia, konieczność jego dzisiejszą dla obu stron wykazując. Ten cieśla, czy tylko sekretarz unii ciesielskiéj, pomimo bardzo daleko sięgającego programu, przemawia prawie jak mąż stanu, a w niektórych swoich życzeniach, czy żądaniach, nie zachodzi nawet tak daleko, jak cesarz Wilhelm II-gi, jego zaś koledzy i mandataryusze w znacznéj części jego zapatrywania podzielają (co do ograniczenia godzin pracy do ośmiu).

Socyalizm wprawdzie i w téj mowie silnie występuje, ale nie nosi on wprost burzącego charakteru. Jest-to raczéj socyalizm państwowy, który coraz więcéj ogarnia kontynentalną Europę zachodnią, nawet rządy najbardziéj monarchiczne, jak dowodzi tego niedawne wystąpienie arcy-zachowawczego gabinetu hiszpańskiego. Wprawdzie pod wpływem angielskiego poczucia wolności i indywidualizmu, ten państwowy socyalizm miałby z pewnością charakter całkiem różny od tego, jaki mu w Niemczech usiłował nadać książę Bismarck, a teraz może usiłuje cesarz Wilhelm, niemniéj przeto jest socyalizmem państwowym i wystąpił w téj mowie z siłą nieznaną dotąd w Anglii.

W szczegóły narad tego kongresu wdawać się nie będziemy, są zbyt specyalne i zaobszerne dla nas. Zaznaczymy tylko, że najważniejszym w nich wypadkiem było zatwierdzenie następnego wniosku, przedstawionego przez p. Marxa, przedstawiciela unii zecerów londyńskich: „Kongres przekonany jest, że nadszedł czas skrócenia godzin pracy we wszystkich rzemiosłach i zawodach do ośmiu godzin na dobę, to jest do czterdziestu ośmiu godzin tygodniowo (tydzień licząc po dni sześć roboczych, niedzielę zaś przeznaczając na zupełny spoczynek). Uznając siłę i wpływ stowarzyszeń robotniczych, kongres jest zdania, iż najszybszym i najlepszym sposobem osiągnięcia tego skrócenia godzin pracy dla ogółu pracowników jest akt prawodawczy parlamentu. Wskutek tego kongres poleca swemu komitetowi parlamentarnemu (komitet ten przedstawia unie wobec parlamentu), by natychmiast przedsięwziął środki potrzebne dla osiągnięcia tego celu.“

Przyjęcie tego wniosku większością 193 przeciw 155 głosów, 100 obecnych bowiem wstrzymało się od głosowania, było zwycięstwem neo-unionizmu, czyli neo-socyalizmu, prowadzonego przez p. Burnsa. Rozprawy jednak były bardzo żywe. Staro-unioniści bronili silnie zasady prawowiernéj, czy klasycznéj ekonomii politycznéj. P. Patterson wystąpił z przeciwwnioskiem: „że najlepszym środkiem uzyskania ośmiogodzinnego dnia pracy jest działalność kongresu i unii robotniczych bez żadnego odwoływania się do parlamentu.“ Niektórzy mówcy, jak np. Boyle, przedstawiciel górników northumberlandzkich, oświadczali głośno, że odwoływanie się do parlamentu jest nikczemnością, abdykacyą moralną i że robotnicy widocznie bardzo zwyrodnieli od bohatérskich czasów unionizmu rzemiosłowego, jeżeli nie czują się na siłach do zdobycia własną potęgą tak ważnéj reformy. Inni, jak Holmes lub Burkley, oświadczali, że nie mają ochoty narażać robotnika, przez ograniczenie jego produkcyjności, na niebezpieczeństwa ciężkie. Za lada bowiem ponowieniem się tych peryodycznych

przesileń, które w handlowych stosunkach regularnie sprowadzają po kilku latach pomyślnych lata zastoju, albo robotnik będzie narażonym na straszne zmniejszenie zarobkowéj płacy, albo też runie przemysł angielski, nie mogąc wytrzymać konkurencyi zagranicznéj, z powodu zwiększenia jego kosztów produkcyi, co pociągnie za sobą koniecznie podwyższenie ceny wyrobu, na czém tylko konkurencya zagraniczna zarobić może. Patterson wykazywał, że niepodobna marzyć o przyjęciu przez dzisiejszy parlament środka tak radykalnie sprzecznego z zasadami prawowiernéj ekonomii, oraz, z pozornym może ale powszechnie uznawanym, interesem fabrykantów i przedsiębiorców. Znalazła się nawet, jak zwykle w parlamentach, pośrednia partya, któréj przedstawicielem bardzo wymownym i zręcznym był Fenwick, robotnik-deputat z Northumberlandu. Dowodził on, że wszyscy się zgadzają na ograniczenie godzin pracy do ośmiu na dobę i to jest rzecz główna, że spór chodzi tylko o najlepsze środki i drogi, co jest rzeczą podrzędną. Na teraz więc można i należy odrzucić, lub odłożyć rozstrzygnięcie pytania: czy najlepszym środkiem jest swobodny rozwój sił indywidualnych i zasady stowarzyszeń, czy też interwencya państwa. Po rozprawach długich, często namiętnych, zawsze jednak trzymanych na pewnéj wysokości, o których właśnie ów bardzo poważny sprawozdawca francuski pisał: „że ze względu na talent w nich dowiedziony, oraz ze względu na widoczną szczerość mówców, honor by przynosiły każdemu parlamentowi politycznemu“, — nastąpiły głosowania, z których ostateczne podaliśmy. Zwolennicy socyalizmu państwowego zwyciężyli.

Jak dotąd, zwycięstwo to na wiele się im nie przydało. Parlament obraduje od listopada, a nie doniesiono jeszcze, by przedstawionym został przez kogobądź projekt ośmiogodzinnego bilu. Być może, iż wstrzymano się z tém wystąpieniem z obawy rozdwojeń i secesyi. Robotnicy bowiem wszystkich gałęzi przemysłu tkackiego, liczący się na milion przeszło, zalecili swym przedstawicielom, by się oparli projektowi interwencyi państwa i ustanowieniu w drodze prawodawczéj normalnego ośmiogodzinnego dnia pracy we w s z y s t k i c h gałęziach produkcyi, zadanie bowiem podobne sprzeciwia się wielkiéj „indywidualistycznéj“ tradycyi klas robotniczych angielskich.

Tymczasem rząd wziął sprawę w ręce. W dniu 10 kwietnia r. b. pierwszy lord izby skarbowéj zawiadomił izbę gmin, że rząd zamianował wielką komisyę specyalną, mającą na celu wynalezienie środków pogodzenia k a p i t a ł u z p r a c ą. Ciężkie to i trudne niezmiernie zadanie, a pono w téj chwili jeszcze do rozwiązania niepodobne. Komisya składa się z 27 członków tak wybranych: 9 kapitalistów, 7 ro-

botników (a przynajmniéj przedstawicieli unii robotniczych), 2 ekonomistów, 1 obrońca marynarzy, 1 członek parlamentu, nie należących do żadnego stronnictwa, 6 polityków, pomiędzy tymi dwóch ministrów, oraz lord Hartington i lord Derby (ten znać ma dobrze sprawy robotnicze), p. Fowler i p. Mundella, znany dobrze ze swych wniosków i projektów w sprawie robotniczéj stawianych i wielce w tym kierunku zasłużony. Komisya obradować będzie w pałacu Westminster i wkrótce ma rozpocząć swe prace. Czy co praktycznego wypracuje? Życzyć jéj powodzenia należy, ale nic więcéj powiedzieć o niéj nie można.

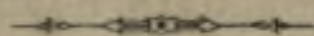
W połowie września odbył się jeszcze w Halli niezmiernie ważny kongres niemieckiego stronnictwa robotniczego, które otwarcie i urzędownie nosi tytuł socyalno-demokratycznego. Sprawozdanie z tego kongresu i z jego uchwał dziś pominąć musimy, jakkolwiek to robotnicze stronnictwo w Niemczech, wyhodowane mimowoli przez ks. Bismarcka na rozmaity sposób, jest silniéj uorganizowaném i potężniejszém liczebnie, aniżeli nawet unioniści angielscy i z niesłychaną szybkością wzrasta, jak to najściśléj wskazują wybory do parlamentu cesarstwa, których przez ostatnie lat dwadzieścia było ośm. W roku 1871-ym wybory te wykazały 124,655 wyborców socyalistów, w roku 1890-ym zaś wykazały już 1,427,298 takichże wyborców. W r. 1871 mieli oni w sejmie tylko dwóch przedstawicieli, w r. 1890 zaś mieli ich 35 z nadzieją powiększenia téj liczby.

J. Kenig.





WSPÓŁCZESNE DZIENNIKARSTWO
W ANGLII *).



(Dokończenie).

IV.

Dzięki wielkiemu kapitałowi, którym rozporządzał i który mu pozwalał na różne materyalne ulepszenia, dzięki długiemu doświadczeniu dziennikarskiemu, wreszcie przez trafny dobór naczelnych redaktorów i współpracowników, *Times* zajmował, jak to powiedzianém już było uprzednio, tak górujące, tak wybitne stanowisko wśród prasy angielskiéj, iż można było utrzymywać, że istniał sam jeden. *Morning Herald*, *Morning Chronicle*, *Morning Post* i kilka innych dzienników, choć wcale dobrze nieraz redagowane, nie mogły się z nim mierzyć i nawet o współubieganiu się nie marzyły, zadawalniając się szczupłém kołem czytelników i skromną ilością handlowych ogłoszeń, które jedynie na materyalny rozwój dziennika pozwalają. Dopiéro zniesienie podatku stemplowego i podatku od papiéru w roku 1855 i w 1861-ym postawiło na nogi prasę angielską, wywołało ruch dziennikarski, pozwoliło na zakładanie nowych i rozszerzanie dawniéj istniejących organów. Od téj epoki datuje się prawdziwa rewolucya w dziennikarstwie, i jéj zawdzięcza Anglia wyswobodzenie się z pod monopolu *Times*'*a*. Utrzymuje się on jeszcze siłą tradycyi i nie obniża swéj ceny, ale nie można powiedzieć, aby był obecnie wyrazem opinii masy narodowéj. Stopniowo i krok za krokiem nowe warstwy społeczne zdobywają sobie w Anglii nietylko równouprawnienie, ale

*) Patrz „Ateneum" za m. lipiec r. b., str. 217.

i przewagę, a demokracya płynąca tam pełném korytem jest tak pewna swéj potęgi, tak ufna w swą przyszłość, że pozostawia oligarchii, opiérającéj się na przywilejach, czas do przekształcenia się, do przeniknięcia w jéj szeregi. Opinie, zasady, przekonania téj wielomilionowéj masy urabiają się i kształtują przez dzienniki daleko więcéj, aniżeli przez szkołę i przez książkę; a dziennikami tymi są trzy w pierwszym rzędzie: *Daily Telegraph*, *Daily News* i *Standard* a w drugim: *Pall Mall Gazette*, *Saint James's Gazette* i *Star*. Nie mamy miejsca na szczegółowe ich monografie, ale jeżeli chce się nabrać wyobrażenia o współczesnéj Anglii, o prądach rzeczywiście w jéj łonie istniejących, nie w *Times*'ie ale w łamach tych dzienników szukać ich wypada. Kilka charakterystycznych szczegółów o każdym z tych dzienników zdają się nam tutaj być na miejscu.

Daily Telegraph, olbrzymi dziennik o 12, a często o 16 stronicach, wychodzący obecnie w 350,000 egzemplarzy i posiadający największą ilość ogłoszeń, miał bardzo mizerne początki. W r. 1855, pierwszy jego wydawca, pułkownik Sleigh, sprzedał go za długi p. Mojżeszowi Levy, i ten to, a raczéj jego synowiec, Edward Levy Lawson, w krótkim przeciągu czasu zrobił z niego najpoczytniejszy organ prasy angielskiéj. Trzech ludzi, rzec można, zrobiło go tém czém jest, p. Edward L. Lawson, p. Edwin Arnold i p. Jerzy August Sala. Każdy z nich jest indywidualnością potężną. P. Edward L. Lawson, zmarły przed trzema laty, był właścicielem i wydawcą dziennika i całe plemię Levy zaprzęgło się do tego wydawnictwa, przynosząc mu w ofierze niestrudzoną działalność i zmysł kupiecki. Zarobili miliony i jako spekulacya, przedsięwzięcie się opłaciło. Ale trzeba było nietylko wyższego wykształcenia uniwersyteckiego, talentu pisarskiego, jaki p. Edward L. Lawson posiadał, ale i jego zmysłu politycznego i że tak powiemy, instynktu, ażeby nigdy, w czasie trzydziestoletniéj działalności, nie popełnić fałszywego kroku. Pod względem kierunku politycznego, *Daily Telegraph* zaczął od radykalizmu i stopniowo robił się zachowawczym. Obecnie jest przeciwnikiem Gladstona co do irlandzkiéj jego polityki, ale we wszystkich kwestyach wewnętrznych bezwyjątkowo staje po stronie szeroko liberalnych projektów. W kwestyach zewnętrznych trzyma się polityki nakreślonéj przez lorda Beaconsfielda, jest zatém stronnikiem *imperyalizmu*. Można jednak powiedzieć, że jest on najbezstronniejszym, najobiektywnieszym z dzienników angielskich, gdy idzie o kwestye stronnictw i dlatego zapewne posiada tak olbrzymią liczbę czytelników. Było ciągłém staraniem wydawcy utrzymać się w bliskim związku z masą czytających, i pod tym względem otworzył on nowe

szlaki dziennikarstwu angielskiemu. Żadne przeszkody materyalne, żadne koszta nie zatrzymywały go, gdy szło o zapewnienie jego dziennikowi wybitnego stanowiska. To za radą Edwina Arnolda wysyła p. Smith'a na czele wyprawy do Assyryi dla zbadania pomników kraju, który był kolebką Biblii, to znowu wysyła na wspólny koszt z dziennikiem amerykańskim *New York Herald* Stanleya do wnętrza Afryki, albo bierze udział w wyprawie do bieguna północnego. Korespondenci jego przesyłają telegraficzne depesze kilkokolumnowe nietylko o ważnych wypadkach, ale o drobiazgowych i wydawca upoważnia ich, znagla do takich fantastycznych wydatków. P. Campbell-Clark, szwagier wydawcy, korespondent paryski, codzień wysyła telegrafem artykuł o dwóch olbrzymich szpaltach, słusznie noszący tytuł „*Paris day by day*“ i nie ma wypadeczku zaszłego w Paryżu, Francyi w dniu wczorajszym, któregoby czytelnik *Daily Telegraphu* nie przeczytał o 7-éj rano nazajutrz. Na wzór tego działu utworzono także w ostatnich czasach „*London day by day*“, artykuł układany z mozajki dostarczanéj przez reporterów. Te dwie rubryki same jedne zapewniły dziennikowi jakie 100,000 czytelników. Innym ze śmiałych pomysłów p. Lawsona było wezwanie czytelników do odpowiadania, na jaką kwestyę społeczną wielkiego interesu. Przez ciąg tygodni i miesięcy przysyłają czytelnicy odpowiedzi na postawione zagadnienie i zawiązany w ten sposób węzeł pomiędzy dziennikiem a publicznością okazuje się nader korzystną operacyą dla pierwszego. Odpowiedzi na kwestye: „Co robić z naszymi synami?“ „Jakie zatrudnienia znaleść dla kobiét?“ „Jak ulepszyć małżeństwo?“ i wiele, wiele innych świadczą o geniuszu p. Lawsona, jako wydawcy.

Obok tego rzadkiego wydawcy należy postawić dwóch jego nieporównanych współpracowników, E. Arnolda i J. A. Salę. Edwin Arnold, laureat uniwersytetu Oxfordzkiego, profesor w kilku wyższych zakładach naukowych i dyrektor kolegium sanskryckiego w Poona, w prezydencyi Bombay, jest bezwątpienia jednym z najgłębszych uczonych, najwszechstronniéj wykształconych ludzi, jakimi cywilizacya poszczycić się może. Znamienną jego cechą jest, że wiedza filozoficzna i filologiczna nie zabiła w nim wyobraźni, i że przedewszystkiém jest poetą. Jego poemat *Light of Asia*, ten pomnik nieśmiertelny, wzniesiony na cześć buddyzmu, używa tak szerokiéj sławy i jest tak dobrze znany każdemu miłośnikowi poezyi angielskiéj, że rozwodzić się nad nim nie ma potrzeby. Zdobył on autorowi wszystkie nagrody, odznaczenia i zaszczyty, jakie tylko były do pozyskania i stał się podstawą téj powagi, jakiéj zdanie jego używa w każdéj kwestyi, odnoszącéj się do Indyi i do azyatyckiego wschodu

wogóle. Dziwić się można w pierwszéj chwili, że ten myśliciel i ten poeta zaprzągł się do niewdzięcznéj, bezimiennéj, dziennikarskiéj pracy i że wytrwał w niéj przez lat dziesiątki. Jednym z powodów była właśnie ta gruntowna znajomość Wschodu. Przeświadczony o znaczeniu, jakie ma on dla Wielkiéj Brytanii, z całą namiętnością wziął się do opracowywania téj kwestyi dla obznajmienia z nią narodu. Ale i inne zagadnienia nie pozostały dlań obcemi, i przez wiele lat nie było numeru *Daily Telegraphu* bez jednego, z pomiędzy zwykłych trzech wstępnych artykułów, jego pióra. W każdym z nich polyhistor ten zdradzał się świeżością i podniosłością myśli, wszechstronną erudycyą, klasycznemi cytatami, językiem nieposzlakowanéj czystości. A wszakże artykuły te były improwizowane w ostatniéj chwili, w jego gabinecie opatrzonym w wyborną bibliotekę, rodzaju świątyni we wspaniałym gmachu, jaki sobie *Daily Telegraph* na Fleet-Street zbudował. Improwizacya taka jest możliwą jedynie, gdy ją poprzedziły lata podróży, nauki i rozmyślań. Chociaż w ostatnich czasach *sir* Edwin—został bowiem podniesiony do godności baroneta — mniéj regularnie pisuje do swego dziennika, uważany być jednak może zawsze jeszcze za jego spiżową kolumnę.

Pod niektóremi względami, a mianowicie nadzwyczajnym, nieustannym wysiłkiem pracy, Jerzy August Sala jest do swego kolegi podobnym. Nazwany on został królem dziennikarzy angielskich i jest w każdym razie najwybitniejszą śród nich figurą. Nie ma jednéj zalety potrzebnéj dzienikarzowi, któréjby ten szczodrze przez naturę obdarzony i przez długoletnie studya wykształcony pisarz nie posiadał. Szczególniéj odznacza go lekkość pióra, łatwość, jasność, dowcip, dobry humor i czyni go pobratymcem dziennikarzy francuskich, do których podobniejszy jest, aniżeli do oschłych i sztywnych angielskich, nie całkowicie dotąd wytrzebionych. P. Sala obracał się dużo na stałym lądzie Europy, Ameryki; nie ma kraju, któregoby nie znał, wielkich wypadków, którychby osobiście nie był świadkiem, jako specyalny korespondent. Jest on powieściopisarzem i biografem, podróżnikiem, ekonomistą, artystą, i nie wiem czém jeszcze. Napisał cały szereg książek, które są po większéj części zbiorami artykułów i studyów drukowanych w *Daily Telegraph*. W wielkiém *in folio* katalogu biblioteki „*British Museum*“, jest całe trzydzieści stronic, zapełnionych tytułami jego książek. Jak Aleksander Dumas, p. Sala zapomniał zapewne nawet ich tytuły. Nietylko jako mówca na wszystkich literackich zebraniach i bankietach, ale jako *causeur* w poufałém gronie jest on nieporównany. Piszący, przed kilku laty miał zaszczyt być mu przedstawiony przez jednego z literatów angiel-

skich, który zwrócił uwagę, że nie można być żołnierzem w armii publicystów bez otrzymania pomazania od tego wodza. We wspaniałych salonach na Victoria-Street, przepełnionych arcydziełami sztuki, p. Sala pracuje przy pomocy trzech sekretarzy, a oni są zmęczeni pierwéj, aniżeli jego żelazny temperament okazuje najlżejsze ślady znużenia. Tego rodzaju ludzi potrzebuje wielki dziennik i nie można się dziwić, że ich płaci na wagę złota. Nie ma wątpienia, że *Daily Telegraph* wzniósł się na pierwszorzędne stanowisko, jakie od lat dziesięciu i więcéj zajmuje, dzięki tym dwóm przywódzcom nieporównanym.

Oprócz tych wodzów, jest wielu doświadczonych i pierwszorzędnych dziennikarzy w tym organie. Wystarczy wymienić p. Dawida Andersona, którego imię stało się powszechnie znaném, gdy przed kilku laty zaproponował utworzenie akademii dla dziennikarzy. Instytucya ta przez systematyczne wykłady i specyalne ćwiczenie zastąpiłaby brak nauki, kompetencyi i literackiego talentu u dziennikarzy, którzy, w obecnym stanie rzeczy, są zazwyczaj samozwańczymi pisarzami, bez zdolności do wyrobienia sobie stanowiska w żadnym innym zawodzie. Gdyby projekt p. D. Andersona był wszedł w wykonanie, nie możnaby było powierzyć jego kierownictwa bieglejszemu i lepiéj do tego uzdolnionemu dziennikarzowi. Jego *leader*'y są wzorem jasności i treściwości. Zasadą, jaką mieliśmy sposobność z ust jego słyszéć i któréj się trzyma wiernie, jest, iż każdy artykuł pisany jest przezeń dla obeznania z daną kwestyą człowieka, który dotąd nigdy o niéj nie słyszał, a powinien być napisany tak, żeby tego nowicyusza nauczył odrazu i zainteresował do dalszych rozmyślań i poszukiwań.

Daily News jest organem stronnictwa liberalnego, whigów, i obecnego ich wodza, Gladstona, którego nie opuścił nawet w krytycznéj chwili przed sześciu laty, gdy większość narodu, nie rozumiejąca jego polityki względem Irlandyi, obrała sobie innego kierownika, i gdy stronnictwo liberalne przepołowiło się i rozpadło na dwoje. Istnieje on już od r. 1845 i powstał współcześnie z reformą ceł zbożowych, przedsięwziętą przez Roberta Peel'a. Idea założenia wielkiego organu postępowego wyszła od Karola Dickens'a. Wielki romansopisarz, znajdujący się wówczas na najwyższym szczeblu swéj sławy, wciągnął do tego przedsiębiorstwa wielkich kapitalistów i nie szczędzono żadnych wysiłków intelektualnych i materyalnych, ażeby odrazu zapewnić temu organowi stanowisko pierwszorzędne. Programowy artykuł w pierwszym numerze napisany był przez Dickensa i tchnie szlachetnym zapałem dla wszystkiego, co jest podniosłe,

wielkie, postępowe. Ludzkość miała być odrodzona przez tę otwartą dla wszystkich prawd kazalnicę. Istotnie, we wszystkich kwestyach szerokiego humanitaryzmu *Daily News* pozostał, zawsze ich rzecznikiem, nawet gdy egoistyczne interesy Anglii cierpiéćby na nich miały. Dość będzie przypomnieć, że w czasie wojny domowéj w Stanach Zjednoczonych dziennik ten, jeden jedyny w całéj prasie angielskiéj, stanął od pierwszéj do ostatniéj chwili po stronie emancypującéj Północy przeciwko niewolniczemu Południowi. Nie ma uciśnionego plemienia, za którémby nie przemawiał.

Chociaż współpracownictwo Dickensa było tylko krótkotrwałém, chociaż olbrzymie wydatki, w jakie się dziennik ten rzucił, przyprawiły pierwszych jego wydawców, sir G. Paxtona, sir Williama Jackson'a i innych założycieli o straty kapitału zakładowego 100,000 funtów szt. po raz jeden i drugi, i trzeci, dziennik nie przestał wychodzić i razem z *Daily Telegraph*'em rozpoczął erę dzienników, kosztujących tylko jednego penny. Karol Dilke, Evans Crowe, Knight Hunt byli z kolei jego wydawcami wśród trudnych okoliczności materyalnych, ale udało im się przebrnąć przez mielizny. Najznakomitsze imiona literatury znaleść można było pomiędzy bezimiennymi współpracownikami tego dziennika, a pomiędzy nimi specyalnie wyróżnić należy *miss* Martineau, Samuela i Johna Morley, Karola Read'a, Henryka Labouchera, Justyna Mac-Carthy, Rob. Giffen, Williama Black. Ale mimo tych wysiłków, potrzeba było długiego szeregu lat, ażeby dać temu dziennikowi tę olbrzymią podstawę popularną, jaką obecnie posiada. Szczęśliwa gwiazda zaświeciła mu dopiéro w 1870 roku, w czasie wojny francusko-niemieckiéj, a to dzięki wyjątkowéj, nadzwyczajnéj indywidualności swego wojennego korespondenta, p. Archibald Forbes'a. Pisarz ten, którego sława, jako sprawozdawcy z pól bitwy, nie ma żadnego rywala i zaćmiła nawet osobistość pamiętnego dr. Russell, korespondenta *Times'a*, pozyskał odrazu przez szybkość, wierność i malowniczość swych depesz taką popularność, że *Daily News*, które odbijały przed wojną zaledwie 50,000 egzemplarzy, od razu poskoczyły do 150,000! W czasie kampanii tureckiéj, wyprawy do Afganistanu, wojny Zulusów i w kilku innych, wszędzie Archibald Forbes był posyłany przez p. Franka Hill, wydawcę dziennika i wszędzie zbiérał dla siebie i dla dziennika laury zasłużone.

Będąc przedstawicielem zasad postępowych w kwestyach politycznych i społecznych, *Daily News* ma jeszcze inny odcień szczegółowy: jest organem non-conformistów, to jest wszystkich sekt liberalnych, które się z biegiem czasu wyłoniły z pośród urzędowego

kościoła anglikańskiego. Sekty te, obejmujące prawie wszystkie klasy ludowe i drobnomieszczańskie kraju, walczyły w łamach tego organu za swoje swobody. Przychodziło im to tém łatwiéj, że jednym z głównych właścicieli *Daily News* był słynny filantrop i milioner Samuel Morley, zmarły przed jakiemi trzema laty dopiéro. Człowiek ten pełen zapału religijnego, należał do najoryginalniejszych postaci społeczeństwa angielskiego i najbardziéj wpływowych w ciągu ostatniego pół wieku. Jeżeli dziennik nie wszedł za daleko na drogę polemiki religijnéj, stało się to tylko dzięki działalności kilku innych współwłaścicieli, a szczególniéj cynicznego Henryka Labouchère. Trudno wymarzyć większe przeciwieństwo jak pomiędzy tymi dwoma kierownikami opinii krajowéj!

Charakter popularny, demokratyczny *Daily News* wpłynął na osobistość jego dyrekcyi. Znajdowała się ona w ostatnich latach w ręku p. Henryka Lucy, który jako sprawozdawca parlamentarnych rozpraw, nabył wielkiego doświadczenia politycznego i powagi. Ale gdy objął ster poczytnego dziennika, literacka, wykwintna forma jego leaderów, obszerna i niespodziewana erudycya, nadmiar klasycznych cytat, spowodowały protestacye ze strony masy mniéj wykształconéj zwykłych czytelników. Komitet właścicieli odjął mu kierownictwo bez żadnego innego powodu, jak ten, że był zanadto wykształcony! To zajście, słynne w dziejach dziennikarstwa angielskiego lat ostatnich, i pokazujące w brzydkiém świetle jedno z oblicz demokracyi, nie trwało na szczęście długo i obecnie p. H. Lucy powrócił znowu na swoje stanowisko dyrektorskie do *Daily News*. Dziennik ten odbija 220,000 egzemplarzy, a przy niedalekim zapewne powrocie stronnictwa liberalnego do władzy, znaczenie jego jeszcze się powiększy.

V.

Charakterystyka dwóch głównych organów prasy codziennéj zajęła nam tyle miejsca, że jesteśmy zmuszeni ograniczyć się w szczegółach, dotyczących innych, wyrównywających im często swém znaczeniem.

Na pierwszém miejscu postawić tu należy dziennik *Standard*, którego obieg wyrównywa nieledwie *Daily Telegraph*'owi a czasami go nawet przewyższa. Jest on organem zachowawczego stronnictwa, torysów, i cała potęga jego, którą płytki radykalizm tak często na śmierć niezwłoczną skazuje, uwidocznia się w tym dzienniku. Ale trzeba przyznać, że zasady, idee, kierujące tém stronnictwem, zmieniły się do wysokiego stopnia w ciągu sześćdziesięciu kilku lat istnie

nia *Standard*'a i nic lepiéj nie pokazuje postępu, który uczyniła w łonie społeczeństwa angielskiego demokracya, jak dawniejsze *credo* tego organu przeciwstawione dzisiejszemu. Gdy p. Baldwin i Dr. Giffard założyli go w r. 1827 za pieniądze kilku fanatycznych adeptów urzędowego kościoła anglikańskiego, bezpośrednim jego celem było sprzeciwianie się emancypacyi katolików. Ale zarówno emancypacya katolików, jak akt reformy parlamentarnéj, kilkakrotne rozszerzanie praw wyborczych, zniesienie ceł zbożowych i t. d., zostały przyjęte przez parlament. *Standard* stawiał każdéj z tych reform opozycyę zaciętą, uporczywą, w duchu obskurantyzmu, noszącym w Anglii charakterystyczną nazwę „obskurantyzmu wiejskiéj szlachty“, zapowiadał zawsze jeżeli nie koniec świata to przynajmniéj koniec Anglii. Trzeba mu oddać sprawiedliwość, że nawet gdy jego stronnictwo było u władzy, i gdy ono wykonywało, jak się to często zdarza, program zakreślony przez whigów, to i wtedy nawet nie słabła jego opozycya. Protestował aż do ostatniéj chwili, a gdy pokonany został, starał się zachować jaknadłużéj nietkniętemi pozostałe jeszcze prawa klas uprzywilejowanych. W tych dniach oto, gdy gabinet zachowawczy przedłożył parlamentowi bil o bezpłatnéj oświacie elementarnéj, widzieliśmy *Standard*, krytykujący surowo ten projekt i opłakujący niespodziewane jego powodzenie wśród szeregów konserwatyzmu.

Kiedy na stałym lądzie jedynie dzienniki o postępowym i radykalnym kolorycie liczyć mogą na popularność, w Anglii i dla zachowawczych dzienników możliwe jest powodzenie. Szerokie warstwy toryzmu służą im wprawdzie za podstawę materyalną, ale należy zrobić dziennik nieposzlakowanym, dobrze i szybko poinformowanym, a wtedy, bez względu na jego koloryt, ma on coraz większe koło czytelników. Zdobył je sobie *Standard* przez wzorową admistracyę. Zawdzięcza on ją swemu właścicielowi, p. Jakóbowi Johnstone, który go nabył w 1857 roku. W przeciągu 11-letniego swego wydawnictwa doprowadził on go do wszelkiéj możliwéj doskonałości. Nie było kosztu, któregoby oszczędzał. Depesze z Afganistanu, gdzie każdy wyraz kosztował 8 szylingów, połączenie biura redakcyi własną liną telegraficzną podmorską z Nowym Yorkiem i otrzymywanie stamtąd depesz, jak przy zamachu na prezydenta Garfielda, które kosztowały 1000 funtów szt. etc.: oto wydatki, które *Standard* ponosił ochotnie i które mu się opłacały widocznie, skoro materyalne powodzenie dziennika wzrastało ciągle. Przed śmiercią, p. Johnstone mianował swym spadkobiercą, jako wydawcę i naczelnego redaktora, jednego z młodych współpracowników, którego niezależność charakteru i talent pisarski były mu znane. Był to p. Wiliam Henryk Mudford, który

do chwili obecnéj nie przestał być duszą dziennika. Osobistość twarda i nieugięta, p. Mudford jest na wskroś zachowawczym, ale bynajmniéj nie sługą niewolniczym swego stronnictwa i często otwarcie kruszy z niém kopie. Nie toleruje on obok siebie wprawdzie żadnego talentu pierwszorzędnego, i dlatego nie można pomiędzy jego współpracownikami znaleść żadnych gwiazd literatury, ale umié wybiérać i gromadzić około siebie doskonałych reporterów, specyalistów i pisarzy, odzwierciedlających wybornie jego zapatrywanie. Uważany jest w dziennikarskich kołach londyńskich za tak wybornego i wytrawnego kierownika, że każdy z jego dłuższych pomocników, po przejściu przez jego szkołę, znajduje natychmiastowy wstęp do pierwszorzędnych dzienników.

Dopóki lord Salisbury stać będzie na czele stronnictwa torysów i dopóki piastować będzie naczelną władzę, *Standard* pozostanie jego poufnym organem. Nie zapomni on, że w dawnéj, trudnéj epoce swego życia, kiedy był tylko lordem Robertem Cecil, jedynie artykuły, pisywane przezeń do *Saturday Review* i do *Standarda*, pozwoliły mu znaleść materyalną podstawę bytu i arenę otwartą do rozwinięcia swych talentów jako pisarza, myśliciela i męża stanu.

Jeżeli się doda do trzech powyższych dzienników dwa inne *Morning Post*, organ zachowawczy, dworski, czytywany więcéj w wytwornych buduarach, aniżeli wśród klas przedstawiających rdzeń inteligencyi i siły społecznéj, oraz *Daily Chronicle*, dziennik demokratyczny, popularny wśród mas, dobrze prowadzony przez swego przedsiębiorczego właściciela p. Lloyd, to się będzie miało wszystkie poranne dzienniki londyńskie. Jeden z nich, *Standard*, ma także i wieczorną edycyę a raczéj trzy, cztery wydania wieczorne, stosownie do potrzeby. Specyalnych popołudniowych dzienników jest w Londynie wszystkiego pięć: *Pall Mall*, *Saint James's Gazette*, *Echo*, *Globe* i najmłodsza, ale najbardziéj rozpowszechniona dzięki swéj niskiéj cenie (½ penny) *Star*. Jak dzienniki poranne wszystkie są wielkiego formatu, tak popołudniowe są znowu do siebie podobne — zmniejszonym. Liczba ogłoszeń jest w nich daleko mniejsza, a charakter, ton, w dwóch pierwszych przynajmniéj, daleko więcéj literacki.

Pall Mall Gazette założona była w r. 1865 r. przez znanego wydawcę Smith'a, a redakcya powierzoną przezeń została p. Fryderykowi Greenwood, który był sekretarzem wielkiego romansopisarza Thackeray'a. Tytuł dziennika zapowiadał jego treść. Na ulicy Pall Mall znajdują się wielkie kluby londyńskie i dziennik ten miał być ich organem. Streszczając głosy rannéj prasy i komentując je w sposób elegancki, wytworny, ale na wskroś sceptyczny, starał się

odpowiadać temu ideałowi dziennika pieszczonemu przez Thackeray'a, dziennika pisanego przez gentlemana dla gentlemanów! Rozumié się samo przez się, że nastrój takiego czasopisma musiał być zachowawczy, ale w pierwszych latach przynajmniéj nie było w nim żadnéj krańcowości i fanatyzmu, lecz przeciwnie uznania godna bezstronność krytyczna. Ale stopniowo charakter ten się zaciérał i *Pall Mall Gazette* stała się typowym organem stronnictwa, przezwanego *Jingo*, dla którego lord Beaconsfield i awanturnicza jego polityka zewnętrzna była najwyższym wyrazem wielkości i rozumu stanu. Talent pisarski niezaprzeczony p. Fred. Greenwooda, ale zaprawny jadem żółci, zyskał dziennikowi wielką wziętość, lubo wywołał także potężne nienawiści. I stało się, że gdy w r. 1880 własność dziennika przeszła na zięcia p. Smith'a, p. Thompson'a, ten odrazu wydalił p. Greenwooda i *Pall Mall Gazette*, odrazu, *über Nacht*, z dziennika zachowawczego, stała się liberalnym, radykalnym nawet. Wtedy to p. Greenwood i wszyscy jego współpracownicy, a pomiędzy nimi i wysoce sympatyczny rodak nasz, p. Adam Giełgud, przenieśli się do nowo przez nich założonego dziennika *Saint-James Gazette*. *Pall Mall* tymczasem w nowéj swéj szacie liberalnéj znajdowała się przez trzy lata pod dyrekcyą p. Johna Morley, wielkiego, filozoficznego umysłu, ucznia Johna Stuarta Mill'a, autora wielu dzieł z historyi literatury i cywilizacyi europejskiéj, wiernego stronnika Gladstona, który w ostatnim jego gabinecie pełnił obowiązki ministra dla Irlandyi. Pod światłém jego kierownictwem, dziennik nabiérał coraz większéj powagi, i losy jego byłyby niezaprzecznie świetne, gdyby redaktor naczelny, rzucając się w wir życia politycznego nie był widział się zmuszonym do zarzucenia działalności dziennikarskiéj. Następcą jego zotał jego pomocnik p. W. T. Stead. Pod jego kierownictwem nie zmienił wprawdzie dziennik swego nastroju politycznego, ale zmienił swój ton i temperament. Pan Stead zamerykanizował prasę angielską, to jest wprowadził do niéj sensacyonalizm. Przedewszystkiém szło mu o wywołanie wrażenia, o zwrócenie na swój organ uwagi. Z abstrakcyjnéj i zasadniczéj, polityka stała się osobistą i napastniczą. Życie prywatne przestało być osłaniane przed ciekawością ulicy; chmary reporterów rzuciły się do interwiewowania nietylko wybitnych ludzi politycznych, pisarzy, artystów, ale każdy szarlatan i awanturnik był dla nich pożądaną strawą. Im wyżéj p. Stead zawieszał swój sztandar moralny, im fanatyczniejszym był sługą kościoła, tém więcéj rozmazywał skandalów w imieniu moralności i religii. Nie było rozwodowego procesu, któryby mu nie posłużył do katońskiéj surowości filipik przeciwko zepsuciu obyczajów, ale dziennik jego wyszukiwał skwapliwie wszystko, co niskie

instynkta natury ludzkiéj jest w stanie rozbudzić. Ostatniém słowem tego „puffizmu“ było studyum nad zwiększającą się prostytucyą londyńską, nad uwodzeniem młodych dziewcząt. Skandal przybrał rozmiary nadzwyczajne, ale dziennik zarobił na téj dwuznacznéj spekulacyi sumy ogromne. Nie można zaprzeczać, że p. W. T. Stead jest osobistością wybitną w prasie angielskiéj, i że mu na odwadze cywilnéj nie brakuje, ale gdy się bliżéj jego metodzie przyjrzy, można go postawić bliżéj typowego Barnum'a, aniżeli owego klasycznego „gentleman'a“, w którego ślady iść mu nakazywano.

O gazecie *Saint-James*, istniejącéj od r. 1883, nie można powiedziéć nic innego, jak, że jest odwrotną stroną *Pall Mall*'u. Założona przez p. Greenwooda w miesiąc po jego wydaleniu z dawniejszego jego organu postawiła sobie jako zadanie być jakby wyrzutém sumienia dla swego spółzawodnika. Jest ona do niego bliźnięco podobna papierem, formatem, drukiem, rozłożeniem artykułów, ale podobieństwo kończy się na téj zewnętrznéj stronie. Tam gdzie jeden wychwala, drugi gani, i *vice versa*. To współubieganie bawiło czas jakiś świat czytający; obecnie straciło na powabie nowości. P. Greenwood, nie chcąc służyć kapitałom i interesom niemieckim, usunął się od dwóch lat od redakcyi tego dziennika, który stracił od téj chwili jedno z najlepszych piór współczesnych.

Nie ma wiele do powiedzenia o dwóch dziennikach *Echo* i *Globe* rywalizujących z sobą w ten sam sposób, jak dwa powyższe. Pierwszy jest liberalnym, drugi arcy-zachowawczym organem. Ten ostatni, posiadający większe zasoby materyalne, ma obfitszy zapas artykułów. Przeznaczony do propagowania idei konserwatywnych, stał się jednak przeważnie organem spraw brukowych, municypalnych i nie można mu przypisać żadnego większego znaczenia.

Ufundowany przed kilku laty *Star*, dla podtrzymywania zasad radykalnych, znalazł odrazu olbrzymie powodzenie i odbija blisko pół miliona egzemplarzy. Widziéć go można w ręku każdego prawie robotnika. Polemika tego organu nie odznacza się naturalnie wykwintnością; przeciwnie jest natarczywą i osobistą. Powoli jednak i ten organ się przekształca i często znaleść w nim można artykuły treściwe a przedziwne w kwestyach społecznych. Znakomitości literatury i parlamentu nie wstrzymują się od zabierania głosu na téj mównicy, gdzie jako słuchaczy mają miliony.

VI.

Dla dopełnienia obrazu prasy współczesnéj angielskiéj wypada jeszcze powiedziéć słówko o pismach tygodniowych. Liczba ich jest

ogromna, większa aniżeli w jakimkolwiek innym kraju. Przy działalności nieustannéj, charakteryzującéj świat anglo-saksoński, dzienniki są przeglądane raczéj, aniżeli czytywane starannie, i wiele wypadków, wiele zjawisk społecznego bytu przeszłoby niepostrzeżenie, gdyby nie znalazły miejsca w tygodnikach. Redagowane starannie, pojawiają się one zazwyczaj w sobotę rano, i w tym dniu na pół świątecznym i w następującą niedzielę znajdują się one w ręku wszystkich, co czytać umieją. Są dzienniki, które raz na tydzień wydają edycyę specyalną, i w numerze tym mieszczą się wszystkie wybitniejsze artykuły drukowane uprzednio w pojedyńczych. Tak postępuje *Times*, *Pall Mall* i kilka innych organów prasy codziennéj. Są także tygodniki, mieszczące artykuły oryginalne, pisane specyalnie dla czytelników niedzielnych. Torysi posiadają swój organ *Observer*, najdroższy co do ceny ze wszystkich pism peryodycznych, a stronnictwo liberalne posiada ich kilkadziesiąt bezwątpienia. Najbardziéj rozpowszechnionym tygodnikiem jest słynny *Lloyd's Weekly News*. Założony przez Blanchard Jerrold'a, który jest uważany za twórcę i organizatora taniéj i popularnéj prasy, drukowany najbardziéj ulepszonemi amerykańskiemi machinami Hoe, tygodnik ten daje za jednego penny, co tydzień wiadomości, które wydrukowane książkowo, dałyby objętość grubego tomu. Obecnie, mimo olbrzymiéj konkurencyi, jaką znajduje, ilość rozprzedawanych numerów wynosi z górą 800,000. *The Referee*, *The People*, *Reynold's Newspaper*, odznaczający się gryzącą satyryczną nutą względem klas wyższych, a przedewszystkiém *The Weekly Dispetch* powinny być wzmiankowane tutaj, jako pisma polityczne i jako karm umysłowa masy narodowéj. Ten ostatni tygodnik, przekształcony w 1875 r. przez Achtona Wenthworth Dilke, stał się pionierem idei i doktryn radykalnych. Radykalizm angielski, nie mający nic wspólnego z deklamatorskim jakóbinizmem francuskim, opiérający się na silnéj podstawie ekonomicznych i społecznych studyów, nie posiada wielu lepszych organów w całéj prasie europejskiéj, jak to pismo, w którego łamach najpierwsze pióra świata politycznego łamały kopie za postępowe hasło.

Do innéj sfery umysłowéj i do innego rodzaju czytelników odzywają się tygodniki poważne, o stanowisku oddawna już wyrobioném w pośród cywilizowanego świata, jakimi są *Saturday Review* i *Spectator*, a od dwóch lat ostatnich nowy a znakomity przybysz *the Speaker*. Nazwano tego rodzaju pisma ciężką artyleryą prasy i zadaniem jéj jest znieść ostatnie szańce, których szermierka codziennych gazet zdobyć nie potrafiła. Artykuły rozumowane, z których się składa, nie są improwizowane w ostatniéj chwili i pisane pod wpływem pierw-

szych, często namiętnych wrażeń, lecz są wynikiem chłodnych rozmyślań, statystycznych i ekonomicznych danych, porównań historycznych, obiektywnéj krytyki. *Saturday Review*, założona w r. 1855-ym przez A. J. Beresford Hope'a, rzuciła w pierwszym swym numerze rękawicę *Times*'owi, z którego umysłowéj niewoli chciała oswobodzić społeczeństwo angielskie. Chociaż postanowiła redakcya stać ponad stronnictwami i być całkowicie od nich niezależną, przybrała jednak niebawem charakter wybitnie zachowawczy. Powiedzieliśmy już wyżéj, że lord Robert Cecil, dzisiejszy lord Salisbury, był przez jakich lat dziesięć jednym z najgorliwszych współpracowników tego tygodnika, i obok niego znajdowały się osobistości pierwszorzędne różnych obozów. Jako przykład wymienić można E. A. Freeman'a, słynnego profesora oksfordskiego i historyka, Vernona Harcourt, Henryka Maine'a, Johna Morley i wielu innych. Wszyscy ci pisarze i myśliciele wyrafinowanéj kultury uniwersyteckiéj, traktowali nietylko kwestye bieżącéj polityki, ale i wszystkie zagadnienia cywilizacyjne. Połowa tygodnika poświęcona była raz na zawsze krytycznéj ocenie literackiéj produkcyi krajowéj, a często i zagranicznéj. Ten charakter literacki *Saturday Review* nietylko posłużył za wzór dla wszystkich innych tygodników politycznych, do których literatura weszła obecnie, jako nieodzowny czynnik składowy, ale oddziałał nawet na podniesienie krytycznego poziomu pism, które jak *Atheneum* albo *Academy*, niczém prócz tylko przeglądu płodów twórczości umysłowéj się nie zajmują.

Współzawodnikiem tego tygodnika jest *Spectator* pod względem druku, rozkładu artykułów i t. d. bliźniaczo do niego podobny. Założony on był jeszcze w r. 1828 przez p. Rintoule, pod którego wyłączną dyrekcyą znajdował się przez lat trzydzieści i był organem tak zwanego wykształconego radykalizmu. Gdy następnie przeszedł pod dyrekcyą Mer. Townsend i R. Holt Hutton, stał się bardziéj jeszcze systematycznym w kwestyach politycznych, religijnych i filozoficznych, z coraz widoczniejszą tendencyą do programatu stronnictwa zachowawczego. Ewolucya ta dokonała się całkowicie w ciągu ostatnich kilku lat i obecnie *Saturday Review* tak samo, jak *Spectator*, są stanowczymi przeciwnikami polityki Gladstona.

Służy jéj za to, i wybornie, *the Speaker*, tygodnik tego samego pokroju, co jego polityczni rywale. Zdawać się mogło przez czas jakiś, że żaden tygodnik nie może się utrzymać pod sztandarem whigów, jedne upadały po drugich. On pierwszy udowodnił, że tak nie jest. Isnieje dopiéro od lat dwóch, ale już potrafił sobie wyrobić doniosłe stanowisko w prasie i opinii wszystkich poważniejszych

umysłów. John Morley, Karol Dilke, Harrison i cały sztab generalny stronnictwa postępowego znajdują się pomiędzy jego współpracownikami.

Obok popularnych tygodników i obok naukowo-literackich, z których pierwsze podług charakterystycznego wyrażenia angielskiego pisane są dla mas, a drugie dla klas społecznych, istnieje jeszcze trzecia grupa, stanowią ją tak zwane *Society papers*, pisma wyższych warstw towarzyskich. Istnienie tego rodzaju pism byłoby niemożliwe w innym kraju, jak Anglia. Tutaj rodzina królewska i otaczająca ją aureola lojalizmu wyrobiła sferę *sui generis*. Około niéj szereguje się najpotężniejsza, najbogatsza arystokracya, otoczona przywilejami, od dawna już nieistniejącemi gdzieindziéj. Ten świat arystokratyczny, którego chronologiczne daty podaje w najmniejszych rysach *Red Book*, połączony ze światem magnateryi finansowéj, stworzył u szczytu państwowéj i społecznéj Anglii kategoryę odrębną, wyłączną, znaną pod nazwiskiem *the upper ten thousands*, gdyż nie ma ich prawdopodobnie więcéj nad dziesięć tysięcy. Ta śmietanka towarzyska, obracająca się w kołach dworskich i parlamentarnych, używająca wszystkich rozkoszy życia jest sama dla siebie widowiskiem i przedmiotem najwyższego interesu. Najmniejsze drobiazgi, tyczące się ich zdrowia, życia, podróży, zabaw, strojów i t. p. nabiérają doniosłości spraw stanu. Mieli zawsze swych historyografów, nic dziwnego, że w wieku dziennikarstwa mają téż swych dziennikarzy. Powodzenie tego rodzaju pism jest zabezpieczone tém naturalniéj, że się światem wyższym zajmują nietylko ci, którzy są jego naturalnymi członkami, ale wszystkie te klasy bogacącéj się, a próżnéj burżuazyi, które dążą do zajęcia w niéj poczesnego miejsca. Szeregi arystokracyi są w Anglii zawsze otwarte dla ludzi nowych, ambicye ich zatém, chociaż śmieszne, są całkiem uprawnione.

Po wielu mniéj lub więcéj szczęśliwych próbach tego rodzaju tygodników i na gruzach kilku, które przez publikowanie skandalów miały swój zawód przecięty, wzniósł się, w r. 1874, i od téj chwili rozwija się w całéj pełni *World*. Właścicielem jego i wydawcą jest rozgłośny Edmund Yates, którego literacki jubileusz obchodzono przed miesiącem w literackich kołach londyńskich wśród manifestacyi sympatyi koleżeńskiéj. Z początku w wydawnictwie pomagał mu ów osławiony ze skandalów i procesów dyplomata Grenville Murray, ale można powiedzieć, że on jest istotnym twórcą tego organu. Umiał on, jak nikt inny, dobrać sobie w kołach dziennikarskich pióra wytworne i wytrawne w rozmaitych specyalnościach, na czele każdego numeru daje szkic biograficzny jakiéj znakomitości towarzyskiéj

w otoczeniu jéj rezydencyi lub pracowni, zaciekawia i interesuje szczegółami z życia prywatnego, podnosi zasłonę bezimienności, daje do zrozumienia wiele rzeczy, których jasno powiedzieć nie może, jeżeli nie lubuje się w skandalach, to czuje wyraźny pociąg do plotek i podrzędnych przedmiotów. Będąc organem dla mężczyzn i dla kobiét, jak to jest wyrażoném na tytule pisma, zdaje się szczególniéj uwzględniać te ostatnie. Wielkim warunkiem powodzenia p. Edm. Yates było, iż znalazł mnóstwo współpracowników pomiędzy członkami tego wyższego towarzystwa. Zapowiedział, że będzie poprawiał ortografię i składnię w ich rękopisach, że będzie ich płacił hojnie, a że ich osobistości nigdy nie zdradzi. Dotrzymał zobowiązania i stał się istotną potęgą społeczną. Pismo jego znajduje się w każdym salonie i jest dla wielu alfą i omegą twórczości dziennikarskiéj.

Oczywiście, że nadzwyczajne powodzenie *World*'a wywołało chmarę naśladowników. *Whitehale Review*, *Vanity Fair*, *Piccadilly*, *Belgravia*, *Life* i wiele, wiele innych cieszą się czasowém powodzeniem i zbiérają okruchy z tego stołu. Dla umysłu nieobznajmionego z pewnemi oryginalnemi stronami życia angielskiego, zdawać się może niepojętém, że są pisma, które stawiają sobie za jedyne zadanie, przesyłać życzenia na dnie urodzin członkom wyższego towarzystwa, podawać ich portrety, opisywać ich ubrania, regestrować ich podróże, zaznajamiać czytelnika z plotkami przedpokoju i garderoby. Skoro znajdują czytelników i liczą zastęp pokaźny, widocznie odpowiadają téj czci hołdowniczéj dla arystokratycznéj wyższości, która stanowi jedną z cech charakterystycznych społeczeństwa angielskiego.

Ale wynikało samo z siebie, że i przeciwna, satyryczna nuta pojawić się musiała, że stronnictwo postępowe, które nie o przywileje kasty, ale o prawa masy walczy, posługiwać się postanowiło dogodną formą tygodnika towarzyskiego do propagowania swych zasad i zapatrywań. Obok hołdowników uprzywilejowanych dziesięciu tysięcy, znaleźli się także ich krytycy, a pisma tych ostatnich wywalczyły sobie miejsce wybitne. Wymienić tu można *Modern Society*, tygodnik, którego zjadliwe napaści na wszystkie osobistości wybitne, nie wyłączając członków rodziny królewskiéj, wywołują za każdym numerem krzyki zgrozy w *laudatores temporis acti*, a głośne, hałaśliwe oklaski u masy. Nie jest to krytyka sprawiedliwa i wśród skandalów i plotek, które to pismo sieje, jest bezwątpienia wiele wymysłów i przesady; ale są już dowody, że obawa cenzury ludowéj stała się hamulcem dla wielu.

Daleko podnioślejsze miejsce w rzędzie tygodników towarzyskich zajmuje *Truth*, które jest jedynym współzawodnikiem *World*'u. Nie ma pisma bardziéj nienawidzonego przez tych, którzy popadają pod jego krytykę, i nie ma bardziéj rozchwytywanego. Jego właścicielem, wydawcą i głównym redaktorem jest p. Henryk Labouchère, radykalny deputowany w parlamencie i jedna z najbardziéj oryginalnych postaci współczesnéj Anglii. Życie jego pełne awantur i przygód, honorów i kłopotów, które zrobiło go laureatem uniwersytetu, członkiem koczującego cyrku, podróżnikiem, dyplomatą genialnym, ale niesfornym i nie posiadającym nieodłącznego od tego powołania *decorum*, członkiem parlamentu, filarem giełdy londyńskiéj, przygotowało w nim materyały na pierwszorzędnego dziennikarza. Uczestniczył on w redakcyi i wydawnictwie wielu pism liberalnych, ale prawdziwą potęgą stał się dopiéro, gdy zaczął wydawać *Truth*. Gdy się chce wejść za kulisy politycznego, światowego i finansowego świata, niepodobna obrać sobie lepszego przewodnika, jak p. Labouchère. Zdziéra on cynicznie maski z hypokrytów i stawia wszystkie fałszywe wielkości w ich wstrętnéj nagości. Jest cynizm w téj metodzie, ale nie można zaprzeczyć, że ożywia go duch patryotyzm, obywatelskich obowiązków świadomość i ten szeroki humanitaryzm, którego nie często w szeregach angielskich dziennikarzy spotkać się ma sposobność.

Dr. M. E. Trepka.





Z POEMATU
„KRÓLEWSKA PIEŚŃ“.

. . . .
W powietrzu bywa uroczysta cisza,
Nim w niebo pierwszy promień słońca wzleci.
I dziś milczeniem złotego przybysza
Witała ziemia. Kur zapiał raz trzeci,
U wrót pies szczeknął... Nie spał już dom Wysza —
Jagurda tylko nie budziła dzieci:
Niech śpią! Świętochna niedobry sen miała,
Bożenna długo słowików słuchała.

Ale zaledwie na dalekim wschodzie
Zbielało niebo i pierwszy brzask dzienny
Strzelił, złocistą smugą zbiegł po wodzie
I na obłoku zawisnął, promienny
Jak grot ognisty — w Wyszowéj gospodzie
Szybko uleciał sen z powiek Bożenny —
Zbudził ją słowik... Matka nie dostrzegła,
Kiedy powstała i którędy zbiegła.

Cicha jak promyk, co przez okienniczki
Sosnowe wpadłszy, muskał ją po skroni —
Nie budząc śpiącéj u boku siostrzyczki,
Która sen może jaki srebrny goni —
Wstała cichutko, róg białéj spódniczki
Uniosła, fałdy zgarnęła do dłoni,
I cicha, lekka, jak światło księżyca,
Przez głowy śpiących pierzchnęła wietrznica.

I powitały ją lasy, grające
Jak arfy złote... Jodeł aromaty
Biły w krąg — w rosach kąpało się słońce,
Schylone głowy podnosiły kwiaty,
A górą, wyżéj drzew — morze szumiące
Wiatrów płynęło. Dzień srebrzył się, szaty
Brał jasne — w dołach słały się muśliny
Mgieł, białą piersią trącane dziewczyny.

Szła cicha, senna... Ramiona i szyję
Całował promień słońca purpurowy;
Żaden ptak przed nią w krzewach się nie kryje,
Żadne zwierzątko w gąszcz nie chowa głowy;
Nawet z omszonych pniów wypełzłe żmije
Leżą spokojnie, tylko szmaragdowy
Kobierzec muraw pod idącéj nogą
Sypał ros perły, słał się kwiatów drogą.

Szła zadumana jak ta, co w milczeniu
Snuje tęczową przędzę długą, jasną —
Czasem wiewiórki w lip pachnących cieniu
Ukryte, do niéj w białe ząbki klasną,
Lub gołąb w słońca kąpiąc się promieniu
Drżał srebrny, chwalił się jasnością własną;
Lecz ptaszka zawód spotyka okrutny:
Dziewczę przechodzi — ptak odlata smutny.

A zasłuchana tak była w pieśń ziemi,
I tak olśnioną patrzyła powieką,
Że nie słyszała, jak głosy ludzkiemi
Ten las szumiący ozwał się daleko,
I nie spostrzegła pomiędzy staremi
Pniami wierzb żółtych, co rosły nad rzeką
I zanurzały ramiona do fali,
Szczęku oręży, ani błysku stali.

Dziewczyno — wróć się!... To nie bracia twoi
W goplanych nurtach poją rosłe konie —
Hełmy na głowach, pierś w żelaznéj zbroi,
Szerokim mieczem uzbrojone dłonie.
Lud twéj krainy tych gości się boi,
Wylanéj przez nich krwi ziemia nie chłonie —
Wróć się!... Dziewczyna na wołanie głucha,
Słowiczych pieśni, szmerów sosen słucha.

Tym czasem słońce wzbiło się nad lasy —
Ktoś zakołatał do Wysza zagrody.
Kundle warknęły, drewniane zawiasy
Skrzypnęły przykro, gdy stróż odjął kłody...
Swoi to byli ludziska... Zapasy
Podróżne, sakwy i dzbany do wody
Pod częstokołem w rząd długi złożyli,
I widząc Wysza, w pas się pokłonili.

Twarze to były prostacze, otwarte —
Postawy rosłe, wzrok mgłą nie przyćmiony;
Nie jeden suknie miał na sobie zdarte,
Kaptur na głowie od kurzu zczerniony;
Ten idąc, chwiał się, snadź nogi uparte
Naglił w podróży — więc sunął zmęczony
W cień drzew gościnnych i tam, leżąc zdala,
Oddychał ciężko, niby miech kowala.

Gospodyn wezwał!... a więc szli bez zwłoki
Trzy dni, trzy noce, żeby Wysz nie czekał.
Ten pierś obnażył, zrzucił pas szeroki,
Bo pot kroplisty po ciele ociekał —
Ów kołpak lisi, śpiczasty, wysoki
Z głowy precz cisnął, bo już skwar dopiekał —
A wszyscy mieli strój jeden, włos płowy,
Łapcie na nogach trzymał sznur łykowy.

Był między nimi mąż wielkiéj postawy,
Iście dziw jaki zaklęty przez czary:
Kark wziął u żubra, wzrostem olbrzym prawy,
W młodości swojéj — (bo dziś, to dziad stary
W kabłąk wygięty) — gdy wracał z obławy
Nieraz niedźwiedzia prowadził za bary;
Kamienie dłonią kruszył, więc mu dano,
Dla owéj siły, Waligóry miano.

O nim to biegła powieść w świat daleki,
Przez wędrujących tworzona bajarzy,
Za siódmą górę, do dziesiątéj rzeki.
I nie dziw! czyje oko na téj twarzy
Spocznie, nie prędko ten zamknie powieki —
Widzi na jawie i w snach mu się marzy
Ta twarz potworna, krągła, jak dno misy,
Ubrana gęsto w sine blizn napisy.

Zdjął kołpak, rudy włos oddał powiewom
Ciągnących wiatrów z goplańskich wybrzeży.
Wzrostem był równy kilkuletnim drzewom,
Głos miał charczący jak grom, gdy uderzy
I każe wichrom zagrać i ulewom,
A sam się w chmurach tarza, postrach szerzy...
Drąg, jako pałkę, w szeroką pięść wsadził,
Sapał jak niedźwiedź i mokry nos gładził.

Gdy pas odrzucił i rozpiął koszulę,
Krętemi kudły błysła pierś szeroka.
Na czaszce wstrętne siedziały trzy gule,
Zęby miał wszystkie, lecz brakło mu oka;
Drugie nurzało się w ropiącym mule
Bezrzęsne, krwawe — z kątów warg posoka
Ciekła leniwie, którą wciągał usty
Jak zwierz, gdy w cielsku czuje chuć rozpusty.

W tych źrenic jednak dziś mętnem spojrzeniu
Stawały niegdyś łzy jak perły duże —
Na onych ustach, w lubem upojeniu,
Kładły się niegdyś dziewiczych ust róże;
Nie jeden uniósł życie w tém ramieniu,
Gdy z ziem germańskich uderzyły burze —
Nie kryte hełmem pękały czerepy,
On mścił się strasznie — i powrócił ślepy.

A one zgięte w łuk łowczy ramiona
Pękły, gdy walił kontynę na wrogów,
Gdy spita szałem tłuszcza rozwścieklona,
Chciała urągać mocy jego bogów.
Zgruchotał wszystkich... Rzeka krwi czerwona
Z ciał dygocących bryzgnęła od progów —
A tym, co zbiegli wczas, bladzi od trwogi,
Rzucił śmiech w oczy: — „a co, moje bogi!?...

Takim był człek on. Pierwszy się pokłonił
I gospodyna za kolana ścisnął.
Wysz był milczący, snadź tęskną myśl gonił,
Oczy miał smutne, spojrzeniem zawisnął
Daleko — widać, że jakimś się bronił
Uczuciom... Nagle, jaśniéj twarzą błysnął,
Tchnął, jakby więcéj powietrza w pierś schwytał,
Postąpił naprzód i przybyłych witał.

Skinieniem ręki zawezwał gromadę
I wiódł za sobą w chłodny cień lipowy.
Siedli — milczeli... Czas zagaić radę —
Ba! któż mędrszemi odezwie się słowy
Od Waligóry?... Lecz Wysz czoło blade
Zwiesił — więc wszyscy pochylili głowy
I coś tam szeptać zaczęli po cichu.
Świętochna na dół patrzyła ze strychu.

Milczeniem Wysza liczny tłum się znużył —
Ten i ten chrząknął, zakaszlał, to splunął...
Czekali trwożnie — a że czas się dłużył,
Więc myśl niejedną posępną nasunął
I serca, chciwe dobréj wieści, wzburzył.
Woleli, żeby grad złych nowin lunął,
Byle od razu — i na złe jest rada!
Ten i ten łokciem trącił więc sąsiada.

—„Kumie!“—„Ty zacznij!“ — odpowiedział drugi.
—„Z ciebie zdun znany!“— „A z ciebie kołodziéj!“—
I cichym szeptem poleciał szmer długi.
Tak nocą, kiedy wiatr przemknie po wodzie,
Las trzcin potrąci i wodnemi strugi
Ruszy i cichą toń nurtów ubodzie —
Zbudzona fala srebrną grzywą wstrząsa,
Mruczy, wydyma pierś i brzegi kąsa.

Wysz szmer zasłyszał. Dłoń jedną położył
Na głowie pałki, drugą o kolana
Oparł i krótko całą rzecz wyłożył,
Dla czego była drużyna zebrana:
—„Jam jest ostatni—mówił... Tegom dożył,
By, jak topola piorunem strzaskana,
W dół się usunąć... Niech hospodyn nowy
Pośród was stanie jako słup dębowy.

„Obierzcie pana, bo mogą godziny
Przyjść doli ciężkiéj, a jam już za stary!...
Byłem lat wiele stróżem téj krainy,
Z wami krew lałem i piłem miód z czary.
Jeślim zawinił, przebaczcie mi winy!
Jeślim na pamięć zasłużył, konary
Dębów utnijcie, wznieście stos wysoki,
By duch, na skrzydłach ognia, szedł w obłoki.
. . . .

Uniósł rąk dwoje... ale szum powstały
Przeszedł po tłumach i rósł z każdą chwilą,
Jak kłosy żytnie, głowy się zachwiały
I gięte wiatrem ku ziemi się chylą;
Poruszył serca wszystkich strach nie mały,
Daremno spokój zachować się silą;
Podanéj wieści zlękło się prostactwo:
—„Gospodyn rzucać chce nad nami władztwo!“

—„Nie!... nie!“ zagrzmiało.—Tu z trzeszczącéj ławy
Wstał Waligóra jak słup, co wyrasta:
—„Baj, baj nam, stary!... Ty dla nas kneź prawy,
Nie jakiś dudek z niemieckiego miasta,
Strojny w kędziory, jak dziéwka. Z postawy
Tyś człek na króla—a ja, nie niewiasta,
Co to na wieść złą rozciągnie się chmurą
I deszczem kapie... Jestem Waligórą!...

„Od kiedy pierwsze źdźbło tych lasów padło,
Kneziował tylko twój ród w téj krainie;
Plemię niczyje w téj ziemi nie siadło,
Od kiedy jasne nasze Gopło płynie.
My i ty, dziadźku—to parzyste stadło,
Niech zginie jedno, może drugie zginie;
Nas nie zastąpi żadna para wtóra,
Na gromy klnę się, jakem Waligóra!...“

Wysz przerwał:—„Stary! wszakże dom mój pada,
Dach wichrem zdarty nie skryje wam głowy.“
—„Naprawim, ojcze! huknęła gromada,
Z własnych ci pleców zbudujem dom nowy!“
Nie rozumieli, o czém to Wysz gada—
Patrzano, kędy zrąb chaty sosnowy
Stał w cieniu jodeł, a na każdym zrębie
Siedziały srebrne, puszyste gołębie.

Lecz Waligóra, co miał rozum wielki
I rozplątywał zawikłane słowa,
A i znachorstwa brał się, że człek wszelki
Rad jego słuchał—zrozumiał, co mowa
Wysza znaczyła... Ręce, jak dwie belki
Wzniósł, niby sosna, która w cień swój chowa
Ptastwo strwożone—łysy łeb pogładził,
Chrząknął, brwi ściągnął i tak rzecz prowadził:

—„Póki mi ręka jedna, jedna noga
Zostanie, a śmierć z oka dnia nie zdejmie—
Na twego klnę się i na mego boga,
Że nikt, gdyś ty jest, władztwa nie obejmie...
A śmiercią nie strasz!... Ona mara sroga
Jasną źrenicą nie patrzy uprzejmie:
Powieki suche ma—zdrętwiałe—ciasne...
A no—baśń gadasz!... ty masz oko jasne!

„A więc nam nie graj po duszach boleśnie—“
Tu kląkł i ręce wyciągnął drgające:—
„O, gospodynie! zawcześnie, zawcześnie
O takiéj ciężkiéj prawić nam rozłące.
Jabym zmarł, gdyby mi szepnięto we śnie,
Że Wysz śmierć zwietrzył... Na gromy świecące,
Nie tak mi gadaj, bo błysnę jak chmura
Setką piorunów—jakem Waligóra!“

Pięścią potężną tu w pierś sobie trzasnął,
Aż coś we wnętrzu zajękło straszliwie—
Tłum się poruszył, skłębił: „Żywie!“ wrzasnął,
Aż echa lasów odkrzyknęły: żywie!
Wysz powstał—patrzał, blask źrenicy gasnął—
Widział głów tysiąc, jak kłosy na niwie
Schylone u stóp swych... Stał uroczysty,
Smutny—a z oczu padał deszcz rzęsisty.

Jeśli młodzieniec łzami się zaleje,
Patrzących przejmą jakieś smutki rzewne—
Nieczułe serce zadrży i zemdleje,
W oczach łzy staną, tamtym łzom pokrewne.
Ale z onemi nie gasną nadzieje,
Życie nie pęka: to chmurki przewiewne
Płynące szybko nad głowami ziemian,
Słońcem patrzące, to cieniem naprzemian.

Lecz gdy mąż, starzec pochylony laty
Wybuchnie jękiem i zadzwoni łkaniem—
Płacz to okropny, bo tęcze i kwiaty,
Nadzieje wszystkie już zostały za nim,
Przed nim noc, cisza i całunów szaty:
Płacz taki w on czas jest morza wylaniem,
W którego wnętrzu wulkany wybuchną,
Stłumionym grzmotem uderzą—i zgłuchną.

Wysz chlipał—ale Waligóra baczny,
Śledził ruch każdy i rzekł te wyrazy:
—„Héj!... co nam bajesz? ty masz wzrok rozpaczny,
A czoło twoje poorane w skazy
Smutków niedobrych. Gościniec opaczny
Obrałeś z nami—zakryłeś obrazy
Duszy, lecz jedna została nić szara,
Po niéj do kłębka pójdę—wstanie mara...

„Nie straszna—o, nie!... Wyrostek, pacholę
Zczezł ci i koniec!... I jeden kąt pusty
Został w świetlicy, a więcéj na czole
Bruzd... A no—nie łkaj!... Może ze dwa spusty
Miodu nam zlejesz przy biesiadnym stole,
A miód nadpije Lech swojemi usty...
Kto wié?“ Tu umilkł, bo Wysz wzrok rozszerzył—
Czuł Waligóra, że w pierś mu uderzył.

—„Zmilknij! rzekł głucho—i nie tykaj rany...
Zły wróżbit z ciebie i próżna słów praca—
Kto został przez ten ród węży porwany,
Nie wraca nigdy—albo żmiją wraca...
Gdy orląt z gniazd ich wyrwą huragany,
Co z nich zostaje?... Słońce nie pozłaca
Piór wyszarpniętych przez wicher straszliwy:
Oko oślepłe i lot mają krzywy.

„Tyś ciężko zgrzeszył, bo odkryłeś grzmotom
Pierś moją starą... nie!—Piorun, co spada,
Nie ma téj siły—gromowym łoskotom
Słuch mój nie obcy—znam je, jak ryk stada!“—
Zmilkł nagle, czoło obrócił ku wrotom,
Z których wypadła drżąca—straszna—blada
Bożenna, jak ta, co groźną wieść niesie...
Wbiegła—krzyknęła: „Ojcze!... Niemcy w lesie!“

Z tysiącznéj piersi jeden okrzyk trwogi
Zagrzmiał... i skonał, strachem w głąb wciśnięty.
Skoczyli wszyscy i biegli bez drogi
W schron lasów znany. Ten jak wyciągnięty
Wąż pełzał w krzaki cierniste, drąc nogi—
Ów sosny chwycił ramieniem słup kręty,
Chcąc szczytu dotrzéć; ten w gąszczę trzcin spłynął,
Ów jak bóg leśny w dziuple olszyn zginął.

Chwilę trwał jakiś szmer dziwny, gwar głuchy—
I cisza padła na Wyszowy dworzec;
W dalekich lasach tylko łoskot suchy
Płynął szelestem, że nie mógłbyś orzec:
Wiatr to po liściach gra, czy tańczą duchy,
Czy zapomniany po bitwie proporzec
Szeroką wstęgą z wiatrem się kołysze
Na szańcu pustym i rzuca płacz w ciszę?

I coraz dalej w mdlejącym półszmerze
Gnało ten głuchy łoskot przerażenie—
Raz jeszcze falą plusnęło wybrzeże,
Lasy wydały szerokie westchnienie,
Jakby dziadowskie kończyły pacierze...
I zcichło wszystko... Poważne milczenie
Trzymało nawet echa na uwięzi—
Budził je czasem suchy trzask gałęzi.

Tak, gdy grom z czarnych płuc wyrzuci chmura,
Płoszy się ptastwo niespodzianym grzmotem,
Sztandary skrzydeł rozwija i pióra
Na wiatr rozpuszcza i pierzchliwym lotem
Do gniazd swych śpieszy... Jeden Waligóra
Nie tknięty został onéj wieści grotem—
Wpatrzył się, wsłuchał... a w uszach mu dzwoni
Stuk kopyt—rżenie rumaków—szczęk broni.

Niemcy!... jak węża syk ktoś w słuch mu świsnął...
Popatrzył w lewo, na prawo—milczenie!...
Lisi swój kołpak po za uszy wcisnął,
Na lasy swoje spojrzał... uczuł drżenie
W sercu... Cyklopie oko zawarł—błysnął
Źrenicą krwawą, rzucił z piersi tchnienie
Niby jęk wiatrów—i zimny z pozoru
Leniwym krokiem poszedł do ścian dworu.

Dworzec był mocny. Sosny, buki, dęby
Swoje mu ciała ofiarnie złożyły.
Spojrzał nań Waligóra—między wręby
Dłoń włożył... targnął... Belki się ruszyły
I trzasły strasznie. On splunął przez zęby
W palce—pierś wydął i wszystkiemi siły
Szarpnął raz jeszcze, aż z wiązań budowy
Wydobył gruby, ciężki dyl sosnowy.

Wielkim wysiłkiem umęczone krzyże
Rozgiął i z czoła otarł pot kroplisty...
Nagle dech wstrzymał, podniósł się... Tam—wyżéj,
Jakiś posuwał się krąg promienisty
Z tętentem kopyt. Sunął do wrót—bliżéj...
Błysnął krąg drugi.—Waligóra świsty
Piór chwycił uchem... rozwarł oko szerzéj:
To błyszczą tarcze i świecą pancerze.

Jak niedźwiedź, kiedy w brzuch wciągnąwszy boki,
Kraczastym chodem kroczy na łup żywy—
Tak Waligóra, ująwszy wysoki
Dyl swój oburącz, kierował chód krzywy
Ku wrotom... Sapał, jakby w nos szeroki
Wiatr wszystek wchłonął — w piersiach drgał stra-
Charkot, zgrzyt niby pękłego akordu... [szliwy
I szedł tak straszny, groźny, jak duch mordu.

Nie sam był... Za nim, jak łoś z legowiska
Spędzony, kiedy żubrów bek złowrogi
Posłyszy zdala, w gąszczę puszcz się wciska,
Na grzbiet garbaty położywszy rogi—
Biegł Wysz... W prawicy ostrz siekiery błyska
Niby wąż gromu, gdy sierdzą się bogi,
I zanim w trąby piorunów uderzą,
Ślą błyskawice ciche i strach szerzą.

—„Wrota zamykać!“ zakrzyknął.—„A po co?
Odsapnął cyklop—staniem u wrót właśnie—
Na każdą głowę drąg mój zleci procą,
Za nim twój topór—i każdy łeb trzaśnie.
Przez dzień się tutaj pobawim, a nocą
Pod dach ten wprosim i—żeby im jaśniéj
Było—promienie jak węże się zerwą...
Słyszysz!... las spalim—i zdusim to ścierwo!“

Już dobiegali... Wtém końskie kopyta
Zagrzmiały... do wrót dwóch jezdców dolata—
Wstrzymali konie. Jednego z nich lita
Z pierścieni złotych okrywała szata;
U hełmu pawich piór błyszczała kita,
Włosy miał jasne i młodzieńcze lata...
Na widok onych Wysz i Waligóra
Runęli naprzód, niby grom i chmura.

Dobiegli... Każdy wroga swego zmierzył
Oczyma groźby, wyzwań i obrazy...
Zajęknął topór, za nim drąg uderzył—
Rycerz uskoczył i omylił razy.
Cios był tak silny, że ziemię rozszerzył
I bruzd głębokie zarysował skazy,
I z taką siłą grzmotnęli zajadli,
Że się zachwiali i twarzą w proch padli.

Zanim powstali—rycerz Wysza zoczył,
Zadrżał, aż brzękło u nóg srebrne strzemię...
Hełm zrzucił z głowy, do kolan poskoczył
I białém czołem uderzył o ziemię.
Wysz miał raz zadać—lecz wstrząsł się, zatoczył—
Zatrzymał ciężkie swéj siekiery brzemię,
W Niemca wzrok utkwił i na pół przytomny:
—„Lech!...“ krzyknął krótko—był to krzyk ogromny.

Krzyk tak ogromny—wielki, tak potężny,
Takiemi głosy radości nabrzmiały,
Że las uderzył niby dzwon mosiężny
I w przestrzeń rzucił daleką krzyk cały...
W ramionach Wysza spoczywał orężny
Mąż—oczy starca w twarz syna patrzały...
—„To ty?—wciąż szeptal—ty?... mój Lech—mój własny!“
Tulił do piersi i gładził włos jasny.
. . . .

Gdy z piersi starca pierwszy krzyk wybuchnął
I śpiącym wiatrom siadłszy na ramiona,
Wrzaskiem ech wszystkich po rozdołach gruchnął
I puszcz wnętrzności zatargał: strwożona
Tym krzykiem, który może zgon wydmuchnął—
Jagurda z lasu wybiegła, do łona
Dłoń przycisnęła: szła w postanowieniu
Śmierci okropnéj przy męża ramieniu.

Ale bez walki nie umrze. Kamienny
Odłam w jéj ręku drżał grozą pocisku...
Wtém—głaz z téj ręki, a z piersi bezdenny
Krzyk wypadł... Wróg on spoczywał w uścisku
Wysza, a Wysz jéj nad nim stał—promienny,
Jako świtanie słonecznego błysku.
Słuch wytężyła, ciała się połową
Wygięła... Niemiec mówił ludzką mową.

Poznało matki serce, gdy tak wryta
Stojąc, widziała męża powitanie—
Z taką radością nikt Niemca nie wita,
Tak srebrną mową mówić on nie w stanie.
Poznała—dłonie uniosła—pierś chwyta,
W duszy melodyi wszystkich słyszy granie,
Jak gdyby niebo otwarło się całe,
A duchy wspomnień biły w skrzydła białe.

Tak prowadzona rozbudzoném echem
Marzeń dni dawnych, nocy niedospanych—
Z bijącém sercem i szczęścia uśmiechem
Przybiega, patrzy, szuka rysów znanych:
—„Lechu mój!—woła—czy ty jesteś Lechem?“
I szuka myślą pamiątek rozwianych,
I dłonią gładzi płowych włosów zwoje:
—„Baranku mój ty biały... dziecko moje!“

—„Mamo!“ zabrzmiało.—O! z tego wyrazu,
Gdyby i z hełmu nie uwolnił czoła;
Z dźwięku by głosu poznała od razu,
Że to ją orle rodzone tak woła.
Lech się rozczulił, oddane żelazu
Barki uchylił, aż napierśne koła
Brzękły—i ramion wyciągnął obręcze...
Matka patrzyła w twarz syna, jak w tęczę.

W drogich ramionach, Lech spoczywał—matki.
A pośród tarnin splątanéj zieleni,
Wykwitły nagle, dwa różowe kwiatki
I czworo jasnych wybiegło promieni.
Świętochna miała oczy, jak bławatki
Gdzieś wykradzione z błękitów przestrzeni—
W oczach Bożenny była morska głębia,
Cień gajów świętych i spokój gołębia.

Pierwsza mówiła: — „Z twego rozbójnika,
Bożenko, wyszedł jakiś rycerz grzeczny,
Mama go wita i tatuś spotyka
Jak gościa, który nie jest niebezpieczny
I jak twój leśny rabuś, nie przenika
Serca przestrachem, co byłby konieczny,
Gdyby to byli ci, którzy czasami
Lubią nas chwytać i uciekać z nami.

„Dziś więc ciekawość twoją, tchórzu mały,
Wybaczam.—Dobrze, żeśmy ze schroniska
Wyszły naszego spojrzéć na dzień biały
I owym strachom przypatrzéć się zbliska.
Patrzaj!... tam drugi rycerz w zbroi cały,
Stoi na boku, nikogo nie ściska—
Przyłbicy nie zdjął, co mu czoło dusi,
Jednak... przysięgnę! że nas widziéć musi.“

—„Świętochno! może to groźni posłowie
Przybyli z Niemiec i niosą nam wojnę?...“
—„Ach! co ty pleciesz!... widać po rozmowie,
Że przyjaźń dają... Czoła tak spokojne
U nich... Siostrzyczko! ten, co hełm na głowie
Ma z pióropuszem i ramiona zbrojne,
Wciąż na nas patrzy!... Czy widzisz Bożenko?
Zwrócił się do nas i gładzi wąs ręką.“

Przez usta Bogny przeleciał uśmieszek,
I rozgarniając warkocz krzewu gęsty:
—„Widzisz!—przemówi—ciekawości grzeszek
Nie zawsze szkodzi, jeśli nie jest częsty.
Ach!—miła moja—może to jest Leszek!
A mnie strwożyły jego miecza chrzęsty,
Gdy konia dosiadł i za wodze chwytał.
Tak ojciec Niemca nigdyby nie witał.“

—„Więc wyjdźmy z krzewów... Brzydkie! kolą ręce...“
Odparło dziewczę, bijąc gałąź dłonią.
I wyskoczyła podobna sarence,
Którą kudłate psy z lasów wygonią.
Bogna się jeszcze kąpała w wanience
Krzewów zielonych, otoczona wonią
Kwiecia—grzeczniejszy był dla niéj cierń ostry—
Wreszcie wybiegła na wołanie siostry.

I obie razem, dłońmi połączone,
Strącając z włosów wplątane źdźbła ziela —
Ciekawe więcéj, niż trwożne, szły w stronę,
Kędy zmieszany brzmiał okrzyk wesela...
Leszek postąpił, te drgnęły spłonione
I zatrzymały się. Matka ośmiela,
Wreszcie Świętochna zaśmiała się pusta:
—„Gdyś nasz braciszek, to pocałuj w usta!“

I pocałunek zadzwonił. Dziewczyna
Skraśniała — duże źrenice rozszerza —
Na małéj stopie do ramion się wspina,
Kładąc swe dłonie na blachach pancerza.
I jak u dębu wije się leszczyna,
Tak ona szyję objęła rycerza,
I ustom dając pocałunek długi:
—„A ten—spytała—co?... ten rycerz, drugi?“

Był nim towarzysz Lecha. Na uboczu
Stał, nie uchylił ni hełmu, ni głowy —
I widać było z jego zimnych oczu,
Że on w téj ziemi zupełnie gość nowy.
Wzrokiem się tylko ślizgał po warkoczu
Włosów Świętochny, których połysk płowy
Kąpał się w słońcu i przyświecał zdala
Jak lekkim wiatrem kołysana fala.

Hełm wpół odkryty pokazywał lica
Pobladłe nieco; ciemne włosów sploty,
Choć głowę szczelnie trzymała przyłbica,
Wiły się wdzięcznie, jakby do pieszczoty
Przywykłe — (taki włos dziewcząt zachwyca
I nie odbiéra patrzeniu ochoty).
Twarz mu okalał ciemny zarost brody
Z wąsem misternym — był piękny i młody.

Wyniosła jego postać, ruchy sztywne
Zdradzały syna rycerskiéj krainy.
Gdy na Świętochnę zwrócił oczy piwne,
Jakiś dreszcz przeszedł po ciele dziewczyny
Takie te oczy były duże — dziwne,
I takie spojrzeń były w nich głębiny.
—„Kto?—spytała brata.—„Cudzoziemiec“. —
Lech rzekł... Westchnęła...—Taki śliczny—Niemiec!“

„Gdzie Waligóra?!...“ Spojrzała zlękniona
Wkoło i wzrok swój w przybysza utkwiła —
I tak błękitem oczu rozwidniona
Stała i może gotowąby była,
Jak skrzydła, swoje rozpostrzeć ramiona
I bronić, gdyby zguba mu groziła.
Dla czego?... dała swym myślom pytanie —
I znów westchnęła cicho jak arf granie.

Zaledwie został syn Wyszów poznany,
Jak Waligóra wstecz kroki obrócił —
Gnała go radość—„Lech wrócił kochany,
Z ogromnym mieczem do bicia — kneź wrócił!“
Biegł szukać swoich, a biegł jak żubr szczwany:
Przez płot chciał skoczyć i koły wywrócił,
Wpadł w krzaki — zgniótł je, tam gałąź pogłaskał
Ramieniem — pękła, słup trącił i strzaskał.

Lecz się nie wstrzymał choć zszarpane lice
Miał, zgubił kołpak — choć raz się uśliznął
W dół wilczy—upadł i zdusił wilczycę...
Sklął Niemców tylko, stłuczoną pięść liznął,
I sunął dalej w znaną okolicę
Lasu. Tu stanął — pierś wydął... i gwiznął
Z sił całych... Las drgnął—głos w głębie puszcz wpada—
Trwożne się ptastwo zerwało, wron stada

Z przeciągłym krzykiem wzniosły się nad bory —
Ryś na bukowym siedzący konarze
Jak piorun skoczył, pierzchnął jeleń skory
Ze snu zbudzony. Nagle, blade twarze
Błyskać zaczęły: ten z borsuczéj nory
Jak wąż wypełzał — ten, podobny marze
Nocnéj, z sowiego gramolił się dziupła,
Tego bagnista, mętna toń wychlupła.

A wszystko starce pochyli, skuleni,
Doznanym strachem postarzali więcéj —
Podobni raczéj do umarłych cieni,
Niż ludzi. Wyszli, ocierając ręce
Zbrudzone o gzła — ziemią oczernieni,
Z okiem omdlałém, jak gdyby po męce
Przebytéj, kiedy torturowe koła
Wyciągną stawy i ugniotą czoła.

Wyszli, niepewni, czy jeszcze nie kusił
Czart ich, by oddać Niemcom na pożarcie —
Ów się rozglądał trwożnie, ten się krztusił,
Spluwając cicho na bok — lecz na warcie
Stał Waligóra. — „A no! czyś podusił
Wszystkich?...“ spytali. — Ten milczał uparcie,
Źrenicą krwawą rzucał jeno wkoło,
Sapał, kroplisty pot operlał czoło.

—„Zdusił!... barany!... tchórze głupie... owo!—
Syknął ochrypłym głosem, rwąc wyrazy —
—„Lech wrócił!“ wrzasnął...—Potężne to słowo
Jak grom upadło. Zrazu, niby głazy
Nieporuszeni stali, dziwną mową
Wbici do ziemi, że musiał dwa razy:
—„Lech wrócił!“— krzyknąć — nim wreszcze tłum cały
Zrozumiał, skoczył i biegł oszalały

Na dworzec Wysza. Właśnie Wysz i czeladź
Ze strychu długie wynosili ławy.
Wysz każe z dziéżek miód do dzbanów przelać —
Błyszczy na złotém słońcu płyn złotawy —
A miód to stary, takiego udzielać
On zwykł w doroczny tylko dzień zabawy,
Gdy w noc sobótek żywe ognia szarfy
Błysną nad Gopłem i zadzwonią arfy.

Dziś to, dziś święto!... Co tam noc Kupały,
Ciche arf skargi, gęśli narzekanie?...
Jaśniéj mu włosy Leszka przyświecały,
Piękniejszém było jego ust śpiewanie.
Gotował ucztę z pośpiechem. Chléb biały
Niewiasty piekły — tylko pomaganie
Świętochny dzisiaj na nic się nie zdało:
Za obręcz sita sypie mąkę białą.

Jasny dzień szybko uciekał. Ognist
Słońce już w zachód uderzyło głową —
Niebo promienne było — gładkie — czyste,
Dla Wysza niby stworzone na nowo.
Na trawach rosy siadały perliste.
Zachód się wstęgą sznurował ponsową,
Dwór szumiał, kipiał niby ule pszczelne
A lasy pieśni śpiewały weselne.

Ławy już stoją. Jagurda z córkami
Niosła kołacze żółte, séry duże —
Dziewczęce usta świeciły perłami,
A białe perły chowały się w róże.
Świętochna tylko biegała oczkami,
Jakby szukała kogoś — miodu krużę
Trąciła piersią, rozlała płyn złoty...
Matka dziewczynę zgdérała za psoty.

Wtém—„Witaj—witaj, miły hospodynie!“
Od wrót zabrzmiało z piersi pół tysiąca —
Szedł Waligóra — za nim morze płynie
Głów ludzkich — płynie, miesza się, potrąca —
Lech wszedł na ławę, Wysz stanął przy synie.
Właśnie ostatnie padło światło słońca
I włosy Leszka otoczył czerwony
Promień — i świecił jak obręcz korony! —

Kazimierz Gliński.





Z TEORYI I FAKTÓW PRZYRODNICZYCH.

IV.

Cynetyczna teorya gazów.—Prawa gazami rządzące.—Na pograniczu fizyki i chemii.—Teorya rostworów.—Ciśnienie osmotyczne.—Zależność ciśnienia osmotycznego od stężenia rostworu i od temperatury. — Prawo van't Hoffa. — Analogia pomiędzy gazami a rostworami. —Prawo Avogadro'a i dysocyacya gazów.—Badania Arrheniusa —Wolne iony w wodnych rostworach elektrolitów.—Badania Raoulta.— Dowody popierające nowoczesną teoryę rostworów.

Prawa rządzące gazami, a odkryte drogą przeważnie empiryczną, pozyskały w nauce trwałą podwalinę wówczas dopiero, kiedy t. zw. teorya cynetyczna gazów wywalczyła sobie ogólne uznanie. Prosta w zasadzie hypoteza, orzekająca, że cząsteczki materyi w stanie gazowym poruszają się w prostolinijnych kierunkach, pozwoliła wyprowadzić wnioski, które do tego stopnia zbliżają się do postrzeganych przez zmysły ludzkie faktów, iż zdaje nam się, że charakterystyczne własności gazów z nieubłaganą koniecznością wynikać powinny z téj hypotezy. To, co o gazach wygłaszali Boyle i Mariotte, Gay-Lussac i Avogadro, a co dziś do elementarnych naszych wiadomości z fizyki zaliczamy, najprościéj i najjaśniéj tłómaczy teorya cynetyczna, rozwinięta wspaniale przez uczonych takich, jak Clausius, Maxwell, Boltzmann i in.

Niech mi pozwoloném będzie kilka prostych wzorów i równań przypomnieć czytelnikowi. Energia, jaką posiada pewna masa materyi, pozostająca w ruchu, mierzy się iloczynem z połowy téj masy przez kwadrat prędkości. Niechaj m oznacza masę cząsteczki gazowéj, v zaś jéj szybkość, przeto energia cynetyczna (ruchu) wyrazi się wzorem $\frac{1}{2}mv^2$. Wyobraźmy sobie, że w jednostce objętości gazu

zawartych jest n takich cząsteczek; zatém $n.\frac{1}{2}mv^2$ wyraża energię cynetyczną masy gazu zawartéj w jednostce objętości. Dla innego gazu energią cynetyczną w jednostce objętości wyrazimy przez $n_1\frac{1}{2}m_1v_1^2$.

Ten bezustanny ruch cząsteczek gazowych jest w pojmowaniu teoryi cynetycznéj niczém inném, jak ciśnieniem przez gaz wywieranem, np. na ścianki naczynia, w którém jest zawarty. Przy jednakowém przeto ciśnieniu, dajmy na to jednéj atmosfery, równe objętości dwu gazów powinny być obdarzone tą samą energią cynetyczną. Wynika z tego, że $n.mv^2 = n_1m_1v_1^2$.

Wraz z wzrastaniem temperatury proporcyonalnie wzrasta téż energia cynetyczna, a to dzięki temu, że szybkość, z jaką cząsteczki gazu biegną, wzmaga się. Gdy zaś przyjmiemy dla obudwu powyższych gazów równość temperatury, wówczas $mv^2 = m_1v_1^2$. Porównywając ostatnie dwa równania, otrzymujemy z nich $n = n_1$; innemi słowy: liczba cząsteczek rozmaitych gazów w równych objętościach jest jednakowa, przy jednakowém ciśnieniu i jednakowéj temperaturze. Jest-to znane prawo Avogadro'a, objaśniające w sposób zadawalający zachowanie się rozmaitych gazów wobec zmian, jakim ulegają one. Wiąże się ono ściśle z prawem Boyle'a (Mariotte'a), głoszącém, że objętość gazów jest odwrotnie proporcyonalną do ich ciśnienia, z prawem rozszerzalności gazów, według którego każdy gaz zyskuje $^1/_{273}$ pierwotnéj swéj objętości przy podnoszeniu jego temperatury o jeden stopień Celsyusza. Prawo Avogadro'a uogólnia, rzec można, wszystkie nasze wiadomości o prawidłowém zachowaniu się gazów w rozmaitych warunkach. I tak samo, jak ono, tak téż inne prawa, gazów dotyczące, mogą być w bardzo łatwy sposób wyprowadzone z zasadniczego założenia teoryi cynetycznéj.

Zasady teoryi cynetycznéj okazały się nader płodnemi i pozwoliły fizyce postąpić śmiało w téj dziedzinie, do jakiéj, zdawało się, iż nigdy umysł ludzki zwycięsko przeniknąć nie zdoła. Analiza matematyczna pozwoliła na polu fizyki cząsteczkowéj rozstrzygnąć nader zawiłe zadania i wejrzéć w świat niepochwytnych dla umysłu drobinek, składających materyą gazową. Zdobycze, o których tu wspominam, należą do ubiegłych trzech dziesiątków lat. Do najostatniejszych wszakże czasów nie tyle bylibyśmy szczęśliwi przy badaniu niegazowego stanu materyi. Fizyka cząsteczkowa ciał stałych znajduje się obecnie jeszcze w stanie, który nie pozwala na rozległe uogólnienia. Natomiast badanie cieczy doprowadziło już do wniosków, które nie przeniknęły wprawdzie do podręczników, zasługują wszakże w zupełności na uprzystępnienie szerokim kołom.

Badania, o których mówić zamierzamy, zajmują w jednakowym stopniu fizyka i chemika; znajdują się one na owém pograniczu fizyki i chemii, które przez bardzo długi czas leżało odłogiem, które wszakże od pewnego czasu tak gorliwie i z tak pomyślnemi rezultatami jest opracowywane, że wyrosłe ostatnio na tym gruncie owoce bezspornie do najcenniejszych w nauce zaliczane będą. Chemia fizykalna zajmuje obecnie cały legion badaczów, wspaniale uzbrojonych w wiedzę matematyczną, fizyczną i chemiczną, umiejących przytém z godną podziwu bystrością korzystać z najróżnorodniejszych udoskonaleń wiedzy technicznéj. Mało bardzo, nawet w wyższych szkołach, upowszechnił się ten dział nauk fizycznych. Niemniéj wzrasta on i przybiera coraz poważniejsze doniosłością wniosków naukowych rozmiary.

Od dawna już starano się zrozumiéć istotę rostworu, a dziwić to nie powinnno, gdyż w naturze i w życiu codzienném, w praktyce przemysłowéj i w pracowni naukowéj wciąż z rostworami mamy do czynienia.

Pod nazwą rostworu pojmujemy, jak wiadomo, jednorodną mieszaninę dwu lub większéj liczby ciał, któréj przy pomocy mechanicznych środków rozszczepienia sprowadzić nie można. Gazy najłatwiéj tworzą podobne mieszaniny: wszystkie gazy i w dowolnym stosunku ilościowym dają się ze sobą mieszać. Ta, że tak powiemy, nieograniczoność tworzenia podobnych mieszanin, zostaje jednak zakłóconą, gdy jedną z części składowych jest ciecz. Dana ciecz przy określonéj temperaturze i ciśnieniu, pochłania, rozpuszcza w sobie tylko ściśle określoną ilość gazu; ilość owa może wzrosnąć w rostworze téj cieczy nie inaczéj, jak pod warunkiem zmiany ilości cieczy, albo téż zmiany temperatury lub ciśnienia. Również prawami rospuszczalności są rządzone rostwory w cieczach, oraz stałych ciał w cieczach.

Rostwory ciał stałych w cieczach największą budziły ciekawość fizyków i chemików, a o ich istocie do ostatnich czasów najsprzeczniejsze panowały poglądy. Pomimo licznych badań, nie potrafiono wykryć ogólnego prawa, rządzącego wszystkiemi bez wyjątku rostworami. Zrozumiemy to, gdy wyjaśnimy sobie dzisiejszy pogląd na to zjawisko: najzwyklejsze bowiem rostwory, mianowicie wodne rostwory soli, jak się przekonamy, osobliwie się zachowują, stanowiąc niejako wyjątek z ogólnego prawa—przynajmniéj według dotychczasowych naszych poglądów chemicznych.

Poznajmy, a raczéj przypomnijmy sobie przedewszystkiém własność rostworów, nazywaną przez fizyków ciśnieniem osmotycznem.

Gdy np. na rostwór cukru w wodzie nalejemy ostrożnie warstwę czystéj wody, to taki podział dwu warstw nie pozostanie na zawsze w pierwotnym stanie. Nawet przy najzupełniejszym spokoju naczynia, cukier poczyna się podnosić wbrew sile ciężkości i rozchodzi się w wodzie, a ruch ten wówczas dopiéro ustaje, gdy rozmieszczenie cukru w całéj cieczy stało się równomierne, t. j. gdyśmy z obudwu warstw otrzymali rostwór jednakowego stężenia. Gdybyśmy nawet spróbowali wodę oddzielić od rostworu cukru porowatą ścianką, np. błoną zwierzęcą lub niepolewaną płytą glinianą, to jednakże zmieszanie nastąpi, gdyż ścianki takie, jak wiadomo, przepuszczają rostwory.

Istnieją wszakże pewnego rodzaju napół przepuszczalne ścianki, które nie stawiają przeszkód przenikaniu wody, lecz powstrzymują rozpuszczone w niéj ciało. Taką ściankę otrzymujemy, gdy np. porowate naczynie gliniane, jakich zwykle używamy do ogniw galwanicznych, napoimy najprzód rostworem siarczanu miedzi (koperwasu niebieskiego), a następnie potraktujemy żółtym cyankiem potasu. W ściance glinianéj tworzy się w tych warunkach zbita warstwa żelazocyanku miedzi, która stawia zaporę w przenikaniu rozpuszczonych w wodzie cząsteczkom ciała stałego, lecz nie zamyka drogi saméj wodzie. To samo działanie sprawiają i inne osady, utworzone w porowatych ściankach gliny: z tym samym skutkiem stosowano np. tlennik żelaza, kwas krzemny i garbnikan kleju. Zwłaszcza zaś interesującym jest fakt, że protoplazma organizowanych komórek, głównie w roślinach, powleczona jest błonką, posiadającą te same własności.

Gdy podobnie spreparowane naczynie, po napełnieniu go rostworem cukru, szczelnie zatkamy korkiem i umieścimy następnie w wodzie, szczególne spostrzeżemy zjawisko. Z zewnętrz mianowicie woda przeniknie do naczynia, skutkiem czego we wnętrzu tegoż powstanie ciśnienie na ścianki. To właśnie ciśnienie, które łatwo mierzyć można, połączywszy naczynie z manometrem, nazywamy ciśnieniem osmotycznem. Występuje ono w każdym rostworze, a wzrasta zależnie od stopnia stężenia (koncentracyi rostworu) aż do pewnéj maksymalnéj wartości. Tak np. rostwór, zawierający 1% cukru, sprowadza już w opisanych warunkach ciśnienie 50 centymetrów rtęci; w rostworze saletry téjże koncentracyi ciśnienie staje się natomiast do czterech razy większém. Wewnętrzne to ciśnienie rostworu objaśnia nam, dlaczego np. w wyżéj przytoczonym wypadku cukier podnosi się wbrew sile ciężkości; również zrozumiałém staje się przez to podnoszenie się soków w roślinach; mamy tu do czynienia z wcale znacznemi objawami siły.

Niezmiernie wielką liczbę rozmaitych rostworów o różnym stopniu stężenia poddawano badaniu i oznaczano ich ciśnienie osmotyczne, a ogólny badań tych rezultat streszcza się w prawie nader prostéj natury, rządzącém tém zjawiskiem. Ciśnienie osmotyczne jest wprost proporcyonalne do koncentracyi rostworu. Tak więc, dwa, trzy, cztery razy silniéj stężony rostwór danego ciała sprowadza podwójne, potrójne, poczwórne... ciśnienie. Pomyślmy o pewnéj określonéj ilości danego stałego ciała, które w cieczy rozpuszczamy; stężenie czyli gęstość rostworu jest oczywiście tém większą, im mniejszą objętość, w któréj owa określona ilość się rozpuszcza. Koncentracya przeto rostworu jest odwrotnie proporcyonalna do jego objętości. Gdy zaś wynika z obserwacyi, że ciśnienie osmotyczne jest wprost proporcyonalne do koncetracyi rostworu, zatém musi ono odwrotnie proporcyonalnie zachowywać się względem objętości. Mamy tu zatém to samo prawo, które i w gazach reguluje stosunek pomiędzy ciśnieniem a objętością (prawo Boyle'a-Mariotte'a). I tutaj także ciśnienia i objętości znajdują się w stosunku odwrotnéj proporcyonalności.

Zgodność wszakże pomiędzy stanem gazowym, a stanem rostworów rościąga się jeszcze znacznie daléj. Jak wiadomo z elementów fizyki, we wszystkich gazach, bez względu na ich skład chemiczny, objętość rozszerza się o $\frac{1}{273}$ przy ogrzaniu o jeden stopień, a odpowiednio téż o tę samą wartość wzrasta oczywiście ciśnienie. To ostatnie bowiem jest niczém inném, jeno sumą owéj cynetycznéj energii ruchu, którą obdarzone są cząsteczki gazu, szybkość zaś ruchu podnosi się wraz ze wzrastaniem temperatury. W nieoczekiwany sposób tę samą prawidłowość napotykamy w rostworach.

Mierzono ciśnienia osmotyczne określonych rostworów w rozmaitych temperaturach, i osiągnięto rezultat: ciśnienie osmotyczne wzrasta wraz z temperaturą, i to niezależnie od natury rostworu, o $\frac{1}{273}$ swéj pierwotnéj wartości, gdy temperatura podnosi się o jeden stopień Celsyusza.

Od prawa Boyle'a oraz od prawa rozszerzalności pod wpływem ciepła znane są wśród gazów pewne uchylenia, o których natychmiast pomówimy. Nie ma tu zupełnéj ścisłości, a raczéj jest ścisłość w określonych dokładnie granicach. Uchylenia te, ogólnie biorąc, są bardzo nieznaczne, a podobne do nich znaleziono téż przy badaniu rostworów. Pomimo to, najzupełniejsza analogia pomiędzy gazami a rostworami została dowiedzioną, a analogia ta doskonale wyraża się w ogólném prawie, wygłoszoném przed kilku laty przez van't Hoffa i orzekającém, że ciśnienie osmotyczne rostworu ma tę samą wartość, co i ciśnienie, jakie wywierałoby dane rospuszczone ciało, gdyby się ono w sta-

nie gazowym w takiéjże znajdowało objętości, jaką zajmuje rostwór.

Zapytajmy z kolei: jakże objaśniono sobie tę prawidłowość, charakteryzującą wszystkie bez wyjątku gazy, a określającą stosunki ich objętości i ciśnień w rozmaitych warunkach? Istotną pomocą była tu hypoteza Avogadro'a (1811). Przypuszcza ona, jak już wyżéj powiedziano, że wszelkie gazy zawierają, w równych objętościach przy jednakowém ciśnieniu i jednakowéj temperaturze, równą liczbę cząsteczek; innemi słowy: rozmaite cząsteczki gazowe, bez względu na swą jakość chemiczną, zajmują wszystkie jednakowe objętości; zgodnie zaś z tém, ciśnienie gazu winno być przyjęte jako wprost proporcyonalne do liczby cząsteczek, do gęstości, lub, jakby wyrazić się można, do koncentracyi gazu.

Nie mamy możności doświadczalnie sprawdzić hypotezy Avogadro'a. To téż nazywamy ją tylko hypotezą. Wynika ona wszakże zarówno z faktów doświadczalnych, i wprost drogą logiczności matematycznéj do tych faktów prowadzi. Bez niéj nie rozumielibyśmy całéj mechaniki gazów. To téż hypoteza ta ogólnie została przyjętą, obejmuje ona sobą, rzec można, wszystkie nasze wiadomości o gazach, wyrażając je w jasnéj, dla umysłu naszego przystępnéj formie.

Z chwilą, gdy dla rostworów odkryto dwa zasadnicze prawa, zbliżające je do stanu gazowego, sam przez się nasunął się wniosek analogiczny z prawem Avogadro'a. Można było zatém powiedzieć, że ciśnienie osmotyczne jest wprost proporcyonalne do liczby cząsteczek rozpuszczonego ciała. Na wniosku tym jednak zatrzymać się nie było można. Przyjmując go, należało jednocześnie przenieść na rostwory to wszystko, co w ostatnich czasach wyprowadzono o związku, istniejącym pomiędzy gęstością gazów, a masami ich cząsteczek, a tu nasunęły się niemałe trudności. Trzeba bowiem było powołać do świadectwa wszelkie zboczenia od praw zasadniczych, jakie spostrzegano w gazach.

Te zboczenia, rzekome wyjątki z ogólnych praw, dawno już w gazach poznano. Tak np. przekonano się, że dla wielu ciał, które w zwykłéj temperaturze stały lub ciekły mają stan skupienia, po zamianie ich na gazy, gęstość staje się znacznie mniejszą, albo innemi słowy, ciśnienie staje się większe, aniżeli należało tego oczekiwać. Nie umiano sobie tego z początku objaśnić i chciano nawet skutkiem tego obalić hypotezę Avogadro'a. Przekonano się wszakże następnie, że w owych odbiegających od prawa ciałach zachodzi roskład, t. zw. dysocyacya na dwa lub więcéj składników wówczas, gdy przyjmują one stan prawdziwych gazów. Lecz w ten sposób liczba cząsteczek

zwiększa się; a skoro wszystkie bez wyjątku cząsteczki zajmują jednakowe objętości, przeto oczywiście ciśnienie wypaść musi większe a gęstość mniejsza, aniżeli odpowiada to stosunkom normalnym, w których dysocyacyi nie ma. Owe wyjątki dały się w ten sposób objaśnić; okazało się, że właściwie nie ma wyjątków i być ich nie może, a hypoteza Avogadro'a bezwarunkowy święciła tryumf.

Dziwna rzecz, zupełnie to samo w ostatnich latach powtórzyło się dla rostworów. Naprzód poznano ogólne prawa, ujęto je w formułę analogiczną do hypotezy Avogadro'a, wreszcie poczęto przemyśliwać nad tém, jak objaśnić wypadki, wyłamujące się z pod praw. Idąc analogicznie, łatwo może było spodziewać się tego, lecz znacznie trudniéj było nastręczające się tu wątpliwości rozstrzygnąć.

Ogólnym, wyłożonym wyżéj prawom, jak się okazało, nie podlegają wodne rostwory wszystkich kwasów, zasad i soli. Podobnie, jak dla owych wyjątkowych gazów, tak téż i dla wymienionych rostworów ciśnienie okazuje się większém, czyli gęstość mniejszą, aniżeli oczekiwać tego należało. I tu znów przypuszczać przeto trzeba było, że mamy do czynienia z dysocyacyą cząsteczek podobnie jak w gazach.

Do ostatnich wszakże czasów znaczne trudności stały na przeszkodzie takiemu przypuszczeniu; dowody doświadczalne nie łatwo dają się tu przeprowadzić, mamy tu do czynienia z najtrwalszemi ze znanych nam związków chemicznych. Dalsze wszakże badania okazały, że wymienione ciała, kwasy, zasady i sole, zachowują się w zaznaczony nieprawidłowy sposób tylko w wodnych rostworach, natomiast rozpuszczone w eterze lub w alkoholu ulegają ogólnemu prawu. A zapominać nie trzeba, że w wodnych rostworach związki owe, jak to już zresztą dawno wiadomo, odznaczają się inną jeszcze osobliwością, któréj rostwory w innych rozpuszczalnikach nie wykazują; mianowicie, są one przewodnikami prądu elektrycznego czyli elektrolitami.

W roku 1887-ym chemik szwedzki, Arrhenius, podjął szereg badań, mających na celu w wielkiéj liczbie rostworów porównać przewodnictwo elektrolityczne, oraz zachowanie się względem ogólnego prawa rostworów, głoszącego, że ciśnienie osmotyczne jest wprost proporcyonalne do liczby cząsteczek zawartych w rostworze. Badania te doprowadziły do bynajmniéj niedwuznacznego wniosku, że im rostwór bardziéj uchyla się od ogólnego prawa, tém znaczniejszém jest jego przewodnictwo elektrolityczne, tém lepszym jest przewodnikiem elektryczności. To zrodziło w znakomitym tym uczonym przypuszczenie, że rzeczywiście z temi uchylającemi się od ogólnego prawa rostworami rzecz się ma zupełnie tak, jak z odpowiedniemi gazami, które rzekomo stoją w niezgodzie z prawem Avogadro'a. Wpadł on

na domysł, że sole, zasady i kwasy w wodnych swych rostworach istotnie są dysocyowane, znajdują się nie jako takie, lecz w postaci swych elektrolitycznych składników, t. zw. ionów.

Zmarły przed laty kilku słynny fizyk Clausius, pragnąc objaśnić zjawisko roskładu cieczy przez prąd elektryczny, czyli t. zw. elektrolizę, przyjąć musiał, że niektóre cząsteczki elektrolitu rozpadają się na swe iony i że te właśnie dysocyowane cząsteczki elektrolitu niejako biorą na siebie zadanie dalszego przenoszenia elektryczności w całéj masie cieczy. Lecz liczbę tych cząsteczek rozłożonych uważał Clausius za nader małą. Spostrzeżenia Arrheniusa, dopełniające hypotezę Clausiusa, rzuciły dalsze światło na istotę rostworów.

Jeżeli pomyślimy o rostworze soli takiéj, jak np. chlorek potasu, złożonéj z równéj liczby atomów chloru i potasu, to powinniśmy sobie wyobrazić, że w rostworze tym pewna część cząsteczek znajduje się rozłożona na iony, na atomy chloru (Cl) i potasu (K). Gdy wszakże Clausiusowi, dla objaśnienia samego tylko zjawiska elektrolizy, wystarczało przypuszczenie, że tych rozłożonych cząsteczek stosunkowo jest niewiele, okazuje się tymczasem z oznaczeń dokonanych przez Arrheniusa, że przeważna część cząsteczek znajduje się w tym dysocyowanym stanie. W rostworze bowiem takim chlorku potasu ciśnienie osmotyczne okazało się prawie dwa razy większém, aniżeli spodziéwać się można było.

Nie kto inny, lecz właśnie sami chemicy mogliby wobec tak niespodziéwanego wniosku słusznie zapytać: w jaki sposób istniéć mogą w wodnym rostworze wolne atomy potasu, skoro doskonale wiemy, że metal ten niezmiernie energicznie roskłada wodę, utleniając się kosztem tlenu wody i wydzielając wodór? Zauważyć jednak wypada, że nie powinniśmy bynajmniéj wyobrażać tu sobie atomów potasu w stanie takim, w jakim przywykliśmy je widziéć w olbrzymich skupieniach materyi. Atom potasu nie jest tu wolny od wszelkich wpływów fizycznych; przeciwnie, jest on obdarzony znaczną ilością elektryczności, przez co własności jego bezwątpienia uległy pewnym zmianom. Kto wié, czy ten „elektryczny potas“ wogóle zdolny jest roskładać wodę. A gdyby nawet wodę rozłożył, toż przecie i produkt tego roskładu, mianowicie ług potasowy, silna zasada, tworząca się w tymże rostworze wodnym, również jest elektrolitem; i w niéj przeto przyjąć winniśmy dysocyacyą cząsteczek. W rostworze chlorku potasu należy raczéj przypuścić ustawiczną grę przemian chemicznych; co najmniéj istnieją tam obok siebie cztery ciała: potas, chlor, tlenek potasu (rozpuszczający się w wodzie na ług potasowy) i wreszcie chlorowodór. Ten ostatni bowiem, związek choru z wodorem, również łatwo się tworzy z wol-

nego, wydzielającego się ze swych związków chloru w obecności wody, jak tlenek potasu z potasu i wody.

Rostwory najprostszych ciał, w świetle powyższych uwag, przedstawiają nam się nie jako statyczne jakieś układy materyi, nie jako cząsteczki ciała, niby spoczywające w stanie zatopionym w rozpuszczalniku, ale raczéj jako zawiłe systemy dynamiczne, w których w sposób nieuchwytny dla zmysłów naszych odbywa się bezustanny kołowy cykl reakcyi chemicznych.

Dla poparcia tych nowych poglądów na stan rostworów, idźmy daléj jeszcze. W dawniejszych badaniach rostworów, w których zresztą chodziło o empiryczne stwierdzenie pewnych zależności, takich, jak np. pomiędzy stężeniem rostworów z jednéj strony, a punktem zamarzania lub prężnością pary z drugiéj, nie zdobyto żadnego ogólnego prawa póty, póki ograniczano się na badaniu tylko wodnych rostworów. Dopiéro gdy w zakres badań wciągnięto rostwory w innych rozpuszczalnikach, osiągnięto pożądany cel. Głównie dzięki niezmordowanéj na tém polu pracy fizyka francuskiego, Raoulta, wykryto następującą prostą zależność: obniżenie punktu zamarzania rostworu, a także obniżenie stopnia prężności pary jest wprost proporcyonalne do liczby rozpuszczonych cząsteczek, niezależne zaś od chemicznéj natury rozpuszczonego ciała.

Lecz oto i tutaj znów wyjątek stanowią wodne rostwory soli, kwasów i zasad. Jeśli i te ciała chcemy podporządkować ogólnemu prawu, musimy w nich przyjąć dysocyacyę cząsteczek i to w sposób zupełnie taki sam i w tym samym stopniu, jak gdyby chodziło o ciśnienie osmotyczne.

Widzimy, że dwie różne drogi prowadzą nas w nieubłagany sposób do jednego celu. Przewodnikami w obudwu razach są pomiary tak ścisłe, jakich wogóle dostarczyć jest w stanie współczesna technika fizyczna. Okoliczność ta w dosadny chyba sposób przemawia za przyjęciem dysocyacyi cząsteczek w rostworach wodnych, jako faktu. Wszelkie wątpliwości, jakie nastręczyć się tu mogą, zostały usunięte i nie mamy dziś żadnego poważnego powodu do opiérania się przyjęciu tych nowych zdobyczy do zakresu chemii teoretycznéj. Wyjaśniają nam one nawet więcéj, niż się spodziéwaliśmy po nich z początku. Przytoczę tylko jeden na to dowód.

Pozostańmy przy przykładzie związku chloru z potasem. Jestto typ całego szeregu podobnych soli, t. zw. chlorków, które—teoretycznie biorąc—możemy sobie wyobrazić, jako pochodzące od chlorowodoru (HCl), przez zastąpienie w tym ostatnim wodoru metalami. Wszystkie metale w połączeniu z chlorem dają takie sole, rozpuszczal-

ne w wodzie; nierozpuszczalnemi są tylko chlorki ołowiu i srebra. Otóż chlorek srebra tworzy się zawsze, ilekroć jakiś solny związek srebra zmieszamy z rozpuszczalnym chlorkiem, np. potasu, sodu, żelaza lub t. p. Powiadamy, że sole srebra są doskonałym odczynnikiem na chlorowodór (kwas solny) i na chlorki metalów. Wyobraźmy sobie np. azotan srebra ($AgNO_3$) w rostworze i działajmy nim np. na chlorek potasu (KCl). Zachodząca tu przemiana chemiczna może, jak to wogóle w chemii bywa, być wyrażona przez równanie: $AgNO_3 + KCl = AgCl + KNO_3$. Sole wymieniły pomiędzy sobą metale: utworzył się nierozpuszczalny biały osad chlorku srebra ($AgCl$) obok rozpuszczalnego azotanu potasu (KNO_3). To właśnie tworzenie się białego osadu chlorku srebra jest niezawodną wskazówką, że mamy do czynienia z chlorkiem metalu. Lecz istnieje wiele związków chemicznych, zawierających chlor i rozpuszczalnych, w których wszakże azotan srebra chloru tego nie wykrywa; t. j. za dodaniem azotanu srebra nie otrzymujemy charakterystycznego białego chlorku srebra. Są to związki, w których chlor innego rodzaju połączenia tworzy, niż te proste połączenia z wodorem lub metalami. Za przykłady przytoczymy tu chloran potasu ($KClO_3$), związek potasu, chloru i tlenu, lub kwas chlorooctowy ($C_2H_3ClO_2$), związek węgla, wodoru, chloru i tlenu. Nie umiano sobie dokładnie dotąd zdać sprawy z tego, dlaczego w tych ostatnich związkach, chlor nie może być wykryty przez azotan srebra. Lecz objaśnienie samo przez się występuje, gdy przyjmujemy te wnioski, do których doprowadziły nas badania nad istotą rostworów, mianowicie, gdy policzymy się z faktem, że takie elektrolity, jak sole, zasady i kwasy, w swych wodnych rostworach rozpadają się na iony.

Chlor chloranu potasu lub kwasu chlorooctowego dlatego nie zostaje strącony, osadzony przez srebro z azotanu srebra, ponieważ w rostworze nie znajduje się on jako wolny ion. Chloran potasu jest też elektrolitem, lecz rozpada się przy elektrolizie na potas (K) i związek chloru z tlenem (ClO_3); kwas chlorooctowy, również elektrolit, rozpada się w rostworze wodnym na swe iony: wodór (H) i pozostałą część ($C_2H_2ClO_2$). W żadnym przeto z obudwu wypadków nie mamy wolnego chloru. Inaczéj natomast w chlorkach metalów: tam w wodnym rostworze zawarty jest rzeczywiście wolny metal obok wolnego chloru; tak samo w kwasie solnym mamy wolny wodór obok wolnego chloru.

Podobnie objaśnić można inne różnice w zachowywaniu się niektórych pierwiastków w rozmaitych związkach. Tak np. żelazo, występujące w zwykłych solach, jako metal, daje się zawsze wykryć

przez siarek amonu, gdyż tworzy pod wpływem tego ostatniego czarny osad siarku żelaza. Natomiast istnieją bardziéj zawiłe związki żelaza (np. t. zw. żółta sól), w których siarek amonu nie wykrywa żelaza. I tu przyczyny szukać trzeba w tém, że w pierwszym razie w rostworach wodnych żelazo jest wolnym ionem, w drugim występuje ono jako ion w połączeniu z innemi pierwiastkami.

Wogóle, powiedziéć można, tylko te związki wykazują określone reakcye chemiczne, w których wzajemnie łączące się składniki występują jako iony.

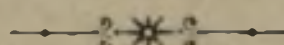
Badania, podobne do powyższych nad rostworami, otwiérają dla fizyki i chemii współczesnéj nowe widnokręgi, na których znane już dotąd zjawiska rysują się odmiennie od sposobu, w jaki dotąd na nie patrzano; obejmują one sobą coraz większy zakres tych zadań, których gorliwy przyrodnik nigdy się nie wyrzecze, gdyż przenikają w samą głąb istoty materyi. Szkoda tylko, że nie wszystkie te zadania i sposoby, jakiemi nad ich rozwiązaniem pracują, dadzą się dziś już w sposób przystępny wyłożyć.

Maksymilian Flaum.





DZIAŁALNOŚĆ
KOMISYI KOLONIZACYJNÉJ NIEMIECKIÉJ
W WIELKIÉM KSIĘSTWIE POZNAŃSKIÉM
i Prusach Zachodnich.



Nowa era polityki niemieckiéj sięga połowy XIX wieku. Celem jéj jest powstrzymanie wzrastającéj emigracyi w kraje zaantlantyckie, oraz wytworzenie gospodarstw włościańskich, jak również osad dla robotników wiejskich. W prowincyach polskich stronnictwo, nieprzychylne ludności rdzennéj, dąży do wzmocnienia żywiołu niemieckiego przez wykupno majątków z rąk Polaków i obsadzania kolonii wyłącznie Niemcami.

Szczególniejszą uwagę zwrócono najprzód na północno-wschodnie prowincye państwa niemieckiego, w których własność większa główną odgrywała rolę. We wspomnianych prowincyach pozbywali się właściciele mniejszych posiadłości zagona ojczystego, w celu szukania szczęścia w zaatlantyckich krajach. Anormalny stosunek, wywołany coraz bardziéj wzrastającą emigracyą, pomiędzy własnością wielką, średnią i małą, był najgłówniejszym bodźcem do rozparcelowania znacznéj liczby dóbr rządowych w celu wytworzenia zdrowych gospodarstw włościańskich. Rozparcelowano téż najprzód na Pomorzu pewną liczbę dóbr rządowych, ale utworzone kolonie nie rozwinęły się pomyślnie, skutkiem niekonsekwentnego postępowania władz przy rozdzielaniu gruntu, skutkiem rozmaitości warunków, pod jakiemi kolonistów obsadzano, wreszcie dla złego materyału i różnéj zamożności kolonistów. Wylewy w latach 1864 i 1867 i burze zniszczyły

biedniejszych tak, że jak pisze Rimpler, czteréj zamożniejsi wykupili wszystkie parcele. Kilka lat upłynęło spokojnie.

Inne owoce przyniosła w téj saméj prowincyi kolonizacya przeprowadzona w latach 1875 i 1876; rozparcelowano dobra Upatel-Carrin, Mittelhof, Redebas i Vorland a kolonie tu potworzone utrzymały się do dzisiaj.

W Prusach i W. Księstwie Poznańskiém rozporządzenia gabinetowe z 14 listopada 1845 i 29 września 1846 zabraniały wydzierżawiania dóbr kameralnych (państwowych) w latach 1847, 1848 i 1849 i nakazały o ile to możebném, rozsprzedawać je w parcelach w celu zakładania osad rolnych. Parcele te miały być oddawane pod najprzystępniejszemi warunkami osadnikom. Celem téj parcelacyi było powstrzymanie, wzrastającéj jak statystyka wykazuje, emigracyi do krajów zaatlantyckich. Ustanowiono specyalnych agentów, którzy kolonistów wyszukiwali, pozostających w kraju wspierali odpowiedniemi zasiłkami pieniężnemi. Projekt téj sprzedaży upadł z braku osób chęć kupna mających, bo warunki nowe, nieodpowiadające przybyszom, doprowadziły do tego, iż wielu osiadłych już po kilku latach posprzedawało kolonie i wróciło w ojczyste strony, szczególniéj dotyczy to kolonistów przybyłych z W. Ks. Hessen. W r. 1874 poruszył kwestyę kolonizacyi poseł Miquel; wzywał on ówczesny rząd, by istniejące jeszcze dobra kameralne podzielił na małe gospodarstwa i na osady robotników wiejskich.

Następnie poseł Sombart, występuje w r. 1877, tłómacząc zły stan rolnictwa w prowincyach wschodnich przewagą większéj własności, która, zdaniem jego, jest znacznie mniéj produkcyjna w tychże prowincyach. W obronie własności większéj wystąpił 13 listopada 1877 r. poseł With. Według niego właśnie w Poznańskiém gospodarstwa większe wyższe dochody przynoszą, i żąda kolonizacyi, wyłącznie w celu zgermanizowania prowincyi wschodnich.

Przy obradach etatu dóbr kameralnych na r. 1878—1879 poruszył ponownie zadanie kolonizacyi poseł Sombart 19 lipca 1878 r. W pięć lat późniéj kwestyę tę wznowiono i wreszcie w obradach sejmowych r. 1885, poruszono ją z powodu przedłożonego przez rząd prawa, dotyczącego kolonizacyi w celu zgermanizowania Prus zachodnich i W. Księstwa Poznańskiego.

Mowa tronowa, otwierająca sejm pruski z r. 1886, zapowiada środki, jakie rząd zamierza przedsięwziąć, w celu wzmocnienia żywiołu niemieckiego w prowincyach wyżéj wspomnianych. Izba poselska i izba panów przyjęły w zupełności projekt rządu i przyrzekły udzielić potrzebnych na ten cel środków. Wówczas wniósł rząd pru-

ski 8 lutego 1886 r. projekt prawa, dotyczącego rozszerzania niemieckich kolonii w Prusach Zachodnich i W. Księstwie Poznańskiém. Prawo to uzyskało sankcyę cesarską. Przyznano rządowi fundusz, wynoszący 100 milionów marek, w celu wzmocnienia żywiołu niemieckiego, przez wykupno własności ziemskiéj z rąk Polaków, rozparcelowanie téjże i oddanie chłopom niemieckim jużto w dzierżawę, jużto na własność w drodze sprzedaży. Ażeby uchronić się od tego co zaszło na Pomorzu, postanowiono nowonabywcom ułatwić zakupno przez oddanie kolonii nie za gotówkę z góry, ale w spłatach umarzających powoli cenę zakupna. Spłata ta może być dokonywana także w naturaliach. Nowonabywca może podzielić lub sprzedać kolonię, ale tylko ze zgodą rządu.

Do r. 1907 mają wszystkie dochody z wydzierżawionych, jako téż ze sprzedanych kolonii wpływać do funduszu 100 milionowego, celem dalszego wykupna własności polskiéj i tworzenia nowych kolonii; dopiéro po 1907 roku mają wpływać do skarbu państwa.

Dla przeprowadzenia kolonizacyi powołano do życia rozporządzeniem gabinetowém z 26 lipca 1886 r. specyalną komisyę kolonizacyjną, z siedmiu członków, prezydenta i zastępcy złożoną, któréj do pomocy przydzielono pięciu komisarzy ministeryalnych. Komisya ta ze stałą siedzibą w Poznaniu na 3 lata ustanowiona, miała z czynności swych przedstawić parlamentowi wyczerpujące sprawozdanie z zakupna dóbr, przeprowadzonych kontraktów, osiedleń, urządzeń i administracyi zakupionych dóbr.

Ze sprawozdań tych („*Denkschriften der Ansiedelungs-Kommission*“) udzielonych nam przez odnośne władze pruskie, za interwencyą dr. Inamy-Sternegg, czerpiemy materyał do naszéj skromnéj pracy.

Etat komisyi kolonizacyjnéj, wypracowany przez ministeryum państwa na rok od 1 kwietnia 1886/7, przedstawia się następująco:

Dodody: 1) Z funduszu 100 milionowego	20,106,824	marek	77	fenig.
2) ze sprzedanych powtórnie posesyi . . .	20,000	„	—	„
3) prawne dodatki na wdowy i sieroty . . .	825	„	23	„
4) inne dochody	100	„	—	„
Razem	20,127,750	marek	—	fenig.
Rozchody: A. Stałe 1) na zakupno ziemi.	20,000,000	„	—	„
2—5) koszta zarządu	32.250	marek		
6—8) wydatki osobiste.	25.500	„		
9—11) wydatki rzeczowe	60.000	„		
	20,117.750	„		
B. jednorazowy nadzwyczajny wydatek: na urządzenie lokalu i biblioteki	10,000	„		
Razem	20,127,750	marek		

Zanim przystąpimy do opisu działalności komisyi kolonizacyjnéj, nie od rzeczy będzie poznać przepisy, według których ona w zakresie swych czynności miała postępować. I tak: *a*) administracya ma być przeprowadzaną w jak najprostszéj formie;

b) nabywanie ziemi dotyczy przeważnie obwodów rejencyjnych, w których żywioł polski przeważa, z uwzględnieniem jednakże jakości gruntów;

c) przygotowanie kolonizacyi w większych posiadłościach ma być w ten sposób przeprowadzone, żeby uniknąć kosztów i utrudnień w wykonaniu zadania; od kolonistów wymaga się, by posiadali odpowiednie środki do pomyślnego prowadzenia gospodarstwa;

d) pojedyncze kolonie mają być oddawane za gotówkę, albo téż na zasadzie renty spłacalnéj lub wieczystéj, albo téż mają być wydzierżawione;

e) przy parcelacyi mają być stosownie do ustawy uwzględniane przeważnie kolonie małe, w celu wytworzenia w prowincyach polskich zdrowego (!) stanu włościańskiego i kolonii robotniczych włościańskich. Z zasady powinny być tworzone mniejsze huby z siłą sprzężajną jednego konia lub 2 wołów, lub téż 2 krów roboczych;

f) koloniści mają ponosić tylko koszta zakupna z dodatkiem 3% od wyłożonych kapitałów, po trzech latach wolnych; przy dzierżawach ma być kapitał zaraz oprocentowanym;

g) ostatni punkt ogranicza kolonistów co do sprzedaży nabytych kolonii, w celu zabezpieczenia się przed nabywcą Polakiem.

O ile szereg tych przepisów nie był ściśle wykonywany, jak również jakiemi drogami komisya kolonizacyjna zdążała do celu, wskażemy późniéj.

Po obradach uchwaliła komisya zakupić 140 majątków. Do końca r. 1886 zakupiła:

a) 1 dominium z 8 folwarkami:

b) 16 tak zwanych dóbr rycerskich (*Rittergüter*);

c) 3 samodzielne gospodarstwa włościańskie z zabudowaniami, inwentarzem i t. d.

Wogóle zakupiła komisya 11,730,$_{0024}$ hektarów ziemi ornéj za 6,672,900 marek; pod zabudowaniami zaś 110,$_{9410}$ hektar. za 88,845 marek, czyli hektar wypada przeciętnie 571,$_{05}$ marek, kiedy ustawa naznaczyła cenę hektara na 560 marek.

Według sprawozdania z r. 1886 zgłosili się nabywcy ze wszystkich prowincyi państwa niemieckiego, prócz tego z Rosyi, Austro-Węgier, a nawet z Ameryki (!); wszyscy zgłaszający się żądali pręd-

kiego załatwienia podań, grożąc w razie zwłoki wyemigrowaniem w kraje zaatlantyckie.

Z ogólnéj liczby 877 ubiegających się o kolonie przypada:

na mniejsze do wysokości	50 ha	— 421
na większe po nad	50 ha	— 409
zagranicznych podań wpłynęło		— 49

O posady w zakupionych dobrach zgłosiło się 341 kandydatów, z tego 68 byłych właścicieli, 245 dzierżawców i urzędników gospodarczych, 96 zaś innego powołania.

Działalność komisyi kolonizacyjnéj, nieprzygotowanéj zupełnie, ogranicza się w pierwszym roku jéj urzędowania wyłącznie na zakupieniu dóbr, dopiéro w drugim roku rozpoczęła ona przeprowadzać dalsze zadania. Okazało się, iż przepisy są zbyt ogółowe, uzupełniono je następującemi punktami:

a) plany wszystkich zakupionych dóbr mają być wykonywane przez ludzi fachowych i przesyłane prezydentowi komisyi, w celu ułożenia rocznego etatu;

b) uwzględnić należy ubezpieczenia od gradu i ognia;

c) urzędy powiatowe mają wydzierżawiać prawo polowania na lat sześć;

d) i *e*) dotyczą urządzania parceli leśnych oraz cegielni.

W r. 1887 zakupiła komisya kolonizacyjna: 27 dóbr rycerskich, a 13 posiadłości włościańskich, ogółem 15401.$_{1961}$ hektarów za sumę 9,071,331 marek.

Z dobrowolną sprzedażą według sprawozdania komisyi zgłosiło się 216 większych posiadaczy, z których przypada na właścicieli Niemców 114, i 121 mniejszych, z tych 48 Niemców; prócz tego poczyniła komisya w 57 przypadkach dalsze kroki w celu zakupna posiadłości wystawionych na sprzedaż publiczną. Małe gospodarstwa oddawała komisya zgłaszającym się wprost z wyjątkiem dwóch, resztę nabytych majątków objęła we własny zarząd, stosownie do rozporządzenia z 21 czerwca 1886 r. Koszta administracyi poszczególnych dóbr wykazują znaczne różnice, komisya pociesza się, iż stosunek ten z latami się wyrówna.

Z ogólnych kosztów zakupionych posiadłości przynoszą one czystego dochodu w obwodach rejencyjnych:

gdańskim . . .	0,25%	przeciętnie 1,13%, gdy tymczasem sprawozdanie komisyi wykazuje błędnie 1,55%.
kwidzyńskim . .	0,64 „	
bydgoskim . . .	2,31 „	
poznańskim. . .	1,34 „	

Do rezultatów wyjaśniających kwestyę ugrupowania pojedyńczych kolonii, oraz wielkości tychże nie doszła komisya, postanowiła tylko, o ile to będzie wykonalne, osiedlać razem i tworzyć nowe gminy. Również nie zdecydowała się, czy zabudowania gospodarcze ma sama stawiać, czy też powierzyć budowę kolonistom. Według planów komisyi, zabudowania gospodarskie kosztują 4000 do 6200 marek, baraki tymczasowe 400 marek.

W celu utrzymania się nowo założonych gmin oddaje komisya bezpłatnie szkołę, wyposażając ją, oraz kościół z odpowiednią dotacyą. Z opracowanych planów rozległości 6,308 hektarów, wyznaczyła komisya na cele mających się utworzyć gmin 366 hektarów, czyli niespełna 6%. W celu sprowadzenia kolonistów rozesłała komisya wyczerpujące sprawozdania po całych Niemczech, dołączając do każdego arkusze z zapytaniami, które nowonabywcy mieli powypełniać.

Rezultatem téj agitacyi z r. 1887 było zgłoszenie się 2827 kandydatów, słabo nadzwyczaj uposażonych, jak wykazuje następujące zestawienie:

2842 ewangelików	z przeciętnym	kapitałem	3584	marek
333 katolików	„	„	2884	„
9 menonitów	„	„	10,944	„
3 żydów	„	„	11,667	„

Z wyżéj wymienionych (2827) wypada na:

a) resztujące (*Restgüter*) i nierozparcelowane majątki	122
b) gospodarstwa włościańskie	2252
c) rzemieślników zajmujących się rolnictwem . . .	453

Tak w dobrach zakupionych, jako téż i w biurze komisyi kolonizacyjnéj w Poznaniu znajdują się plany wszystkich kolonii; kolonista, mający zamiar osiedlić się, zawiéra układ z urządzającym na miejscu pośrednikiem. Albo pośrednicy nie mają odpowiednich zdolności, albo też egzaminowanie osadników jest zbyt wygórowane, bo wynik nadzwyczaj niepozorny, gdyż zaledwie w 142 wypadkach umowa doszła do skutku. Pośredniczący odsyłają do Poznania akta o zawartym kontrakcie i przyjęciu kaucyi, prócz tego obowiązani są składać tygodniowe raporta, zawierające uwagi i spostrzeżenia o kolonistach.

Kiedy w pierwszéj połowie 1887 r. obsadzono 86 kolonii, w drugiéj połowie tegoż r. z liczby 165 przygotowanych kolonii zkolonizowano zaledwie 46, reszta pozostała pod zarządem komisyi. Z trzynastu gospodarstw włościańskich odprzedała komisya kolonizacyjna 10 bez parcelacyi, resztujące trzy rozkupili miejscowi częściowo.

Czynność komisyi kolonizacyjnéj w 1888 r. podobnie jak w poprzedzającym rozpada się na dwa działy:

a) pierwszy dotyczy zakupna, parcelacyi, osiedlenia i dalszego rozwoju kolonizacyi, oraz kasowości;

b) drugi przeprowadza tymczasową administracyę zakupionych dóbr i nieodprzedanych jeszcze kolonii; prócz tych dwóch oddziałów jest jeszcze biuro techniczne, którego zadaniem jest wypracowanie planów podziału, zabudowań i przeprowadzenie melioracyi.

W r. 1888 zakupiła komisya 19 większych posiadłości ziemskich i 9 samodzielnych gospodarstw włościańskich:

pierwsze	obejmują	9,523,$_{5335}$	hektara	za sumę	5,620,505 marek
drugie	„	602,$_{1729}$	„	„	429,200 „

między ofertami	widzimy	polskich	własności większéj 36,	mniejszéj	53
„	„	niemieckich	„ 42	„	24.

Komisya kolonizacyjna odrzuciła oferty wszystkich Niemców, zakupiła jak wyżéj wykazaliśmy znacznie mniéj, gdyż liczba chęć kupna mających, obniżyła się stosunkowo do lat poprzednich znacznie.

Kosztem funduszu kolonizacyjnego zabudowano 39 osad, z tych w najtańszym wypadku kosztują zabudowania włościańskie (podwórko) przy 8 hektarach ziemi ornéj 2900 marek, wzrastając stopniowo przy 36 hektarach do poważnéj sumy 10,000 marek.

Błędy komisyi kolonizacyjnéj przy przeprowadzeniu czynności, klęski elementarne, oraz wysokie ceny sprzedaży odstraszyły mających chęć kupna. Różnica między rokiem poprzednim, a 1888 jest bardzo znaczna; z ogólnéj liczby 593 kandydatów wypada:

561 ewangelików	z przeciętnym kapitałem	4420 marek
28 katolików	„ „	4596 „
3 menonitów	„ „	9300 „
1 żyd	„ „	18000 „

Zgłosiło się na *a*) nierozparcelowane majątki	54
b) na małe włościańskie gospodarstwa . . .	436
c) jako rzemieślnicy zajmujący się rolnictwem	103.

Liczby powyższe wykazują większą zamożność i chęć kupna mających, lecz i ta jest stosunkowo za mała; wielu bardzo chce wyzyskać niekorzystne położenie komisyi, co zestawienie poniższe potwierdza.

Z ogólnéj liczby 593 wypada na:

nabywców za gotówkę zaledwie	47
„ za pośrednictwem powolnego umarzania ratami. . .	387
„ sposobem wieczystéj dzierżawy.	10
jako dzierżawcy lub téż kupujący	71
wyłącznie jako dzierżawcy	78

Pomimo, iż komisya kolonizacyjna założyła kilka szkół ludowych, oraz uregulowała stosunki kościelne, uposażając wikaryusza roczną pensyą 2400 marek, nie powstała ani jedna nowa gmina.

W r. 1889 oprócz wielu zmian w zarządzie komisyi, obrano nowego prezydenta Beutnera z siedzibą w Bydgoszczy, a dyrektorem

dóbr zamianowano Staudego, z siedzibą w Poznaniu. Zakupiono wyłącznie od właścicieli Polaków:

a) 8 większych posiadłości, obejmujących $4,800,_{62}$ hektarów, za sumę 3,268,250 marek;

b) 4 mniejsze samodzielne gospodarstwa włościańskie obszaru $38,_{17}$ hektarów za sumę 25,009 marek.

Między ofertami r. 1889 z ogólnéj liczby (50) większych posiadłości 27 należy do Polaków, z 77 mniejszych 61 z rąk polskich. Liczba mających chęć kupna zbliża się bardzo do zeszłorocznéj, z 604 wypada:

567 ewangelików z przeciętnym zasobem	6200 marek
37 katolików	4300 „

O większe gospodarstwa zgłosiło się 85, o włościańskie 407, na rzemieślników trudniących się ubocznie rolnictwem przypada 112.

Biuro techniczne opracowało do końca 1889 roku 18431 hektarów, te rozdzielono jak następuje:

a) grunta kościelne	$67,_{10}$	hektarów
b) „ szkolne	$103,_{09}$	„
c) na cele gminne	$94,_{77}$	„
d) grunta gminne wspólne. . . .	$763,_{64}$	„
na cele publiczne ogółem . . .	$1028,_{60}$	„
e) odpada na jeziora, nieużytki i t. d.	$2021,_{48}$	„

Pozostałe $15,380,_{92}$ ha. rozdzielono jak następuje:

f) 34 większe posiadłości		
98 mniejszych po 25 hekt. i wyżéj		Razem 861 kolonii
320 „ posiadłości 13—15 ha		obejmujących:
338 „ „ 4—13 „		$15,380,_{92}$ hekt.
71 małych „ do 4 „		

Do końca r. 1889 odstąpiono wogóle 526 kolonii, pozostało w administracyi komisyi kolonizacyjnéj urządzonych 228 o obszarze $4,643,_{38}$ hekt. wartości 2,547,405 marek 73 fenigów.

Co się tyczy przynależytości osiadłych kolonistów w obudwóch prowincyach przypada 264 na tubylców, 251 przywędrowało z różnych stron państwa niemieckiego. Ostatni osiedlają się przeważnie w miejscach, gdzie komunikacya bardziéj rozwinięta, w pobliżu sieci kolejowéj, miast i fabryk.

Rozdawnictwo kolonii z końcem r. 1889 tak się przedstawia w pojedyńczych obwodach rejencyjnych:

w poznańskim. , . .	73%
„ bydgoskim	70 „
„ kwidzyńskim . . .	83 „
„ gdańskim	43 „

W 16-tu najwięcéj zasiedlonych dobrach, na 356 koloniach trudni się 310 rodzin wyłącznie rolnictwem, 46 zajmuje się prócz tego rzemiosłem. Rodziny te liczą 2,047 członków, z nich zdolnych do pracy jest 53% (1090). Liczba służących, już to z kolonistami przybyłych, już to miejscowych, wynosi (140 familii) 616 osób, z tego 292 wolnego stanu; pomiędzy służącymi jest 415 Polaków. We wszystkich koloniach było do końca 1889 r. 4202 dusz z tego 607 Polaków. Wzajemny stosunek kolonistów do tubylców jest według sprawozdania komisyi wogóle przyjazny.

Różnemi środkami dąży komisya kolonizacyjna, by tylko zjednać sobie kolonistów; rodzinom, które przybywają z odległości dalszéj jak 300 kilometrów zwraca koszta podróży. Ułatwia komunikacyę, zakłada poczty, buduje mosty, studnie, wypala cegłę w 25 piecach i odstępuje ją kolonistom po cenie własnego kosztu i t. d.

Komisya założyła 11 szkół tymczasowych; prócz nowo wybudowanéj stałéj w Lowęcinach, 10 bibliotek ludowych zapełnionych niemieckiemi książkami patryotycznemi, jednem słowem, zdąża z całą energią do zgermanizowania obudwu prowincyi. Założyła kasę do obrotów pieniężnych, która podobno w r. 1889 bardzo się pomyślnie rozwinęła. Wypożyczała nawet kolonistom brakujący im inwentarz żywy, co jednak okazało się zupełnie niepraktycznem, wreszcie w celu podniesienia fabrykacyi wina owocowego (moszczu) rozdała pomiędzy kolonistów w latach 1888 i 1889 sadzonek grusz, jabłoni, czereśni i śliw 7846 sztuk.

Mimo tych wszystkich wysiłków, pomimo agitacyi i systematyczności z jaką komisya czynności swe przeprowadza, rezultaty nadzwyczaj małe. Nowe gminy polityczne nie zorganizowały się ani w jednym wypadku, na przyszłość zamierza komisya przesyłać władzom dotyczącym z planami kolonii do zatwierdzenia równocześnie szczegółowy plan uregulowania stosunków gminnych, wraz ze statutami odpowiadającemi miejscowym stosunkom. Nowa gmina zależéć będzie nadal od przejęcia własności i sankcyi cesarskiéj. Ubodzy miejscowi uchwałą komisyi mają być kosztem rządu utrzymywani aż do wymarcia.

Wielkie utrudnienie w przeprowadzaniu parcelacyi sprawiają komisyi niezbędne melioracye, pociągające za sobą znaczne koszta, do 1 stycznia 1890 zdrenowano 3,970 hektarów kosztem 520,000 marek, prócz tego w celu uzyskania odpływu wody, wykopano 40,000 metrów bieżących rowów kosztem 26,000 marek.

Strat, jakie poniosła komisya kolonizacyjna w latach 1888 i 1889 z powodu wylewów rzek i późniejszéj posuchy, nie wykazuje bliżéj

w swych sprawozdaniach, jest tylko wzmianka, iż były znaczne, i tym to elementarnym klęskom przypisuje komisya mniejszy popyt o kolonie.

Zestawiliśmy dane, dotyczące działalności komisyi kolonizacyjnéj z lat czterech, usilne starania w celu uzyskania danych, dotyczących zeszłego roku, spełzły na niczém. Sprawozdania komisyi nie znajdują się w handlu księgarskim, udaliśmy się wprost do biura, ale nadaremnie, tajemniczością chce zakryć liche swe rezultaty, do których dotychczas doszła.

	Zgłosiło się ze sprzedażą dobrowolnie właściciele posiadłości				Komisya kolonizacyjna zakupiła		Przeciętnie za hektar		Zgłosiło się o kolonie	Komisya kolonizacyjna odprzedała			
	większ.		mniejsz.									wartości	
W roku	Polacy	Niemcy	Polacy	Niemcy	Ogółem hektarów	Za marek	Marki	Fenigi		Kolonii	Ogółem hektarów	Marki	Fenigi
1886	? [1]	?	?	?	11840,$_{84}$ [2]	6761745	571	05	877				
1887	112	114	73	48	15401,$_{19}$	9071331	589	—	2827	132	2819,$_{54}$	1652946	09
1888	36	42	53	24	10125,$_{72}$	6049705	597	46	593	203	3724,$_{22}$	2549022	08
1889	27	23	61	16	4838,$_{79}$	3293259	680	59	604	191	3428,$_{88}$	2079110	82
					42206,$_{54}$	25176040	609	52 [3]	4901	526	9972,$_{64}$	6381079	99

Przechodząc pojedyńcze kolumny widzimy, iż pomiędzy właścicielami większéj własności, chcącymi się pozbyć swego kawałka ziemi, przeważa żywioł niemiecki, tylko mała własność na niekorzyść naszą wypada.

Komisya kolonizacyjna wykupiła znaczny kawał ziemi z rąk polskich, korzystając z trudnych warunków rolnictwa w ostatnich latach; koszta hektaru jednakże wzrastają rok rocznie po nad unormowaną prawem cenę 560 marek.

Nie jest żadną zasługą wykupić, mając na to miliony i poparcie

[1]) Nie wiadomo — sprawozdania nie wykazują.
[2]) Dalsze ułamki opuszczamy.
[3]) przeciętna z 4 lat.

rządu, lecz cóż zrobić z zakupioną ziemią? Liczba zgłaszających się, pomiędzy którymi przeważają ludzie chciwi zysków, gwałtownie maleje, a ci co nabyli, posiadają małe zasoby pieniężne, jak to wyżéj zaznaczyliśmy.

Stosunek obszaru kolonii rozdanych do zakupionéj ziemi, wynosi zaledwie 23%, cóż będzie z resztą? czy komisya zastanowiła się nad tém? Nie była przygotowana na podobne wyniki, przedwczesne, urojone plany nie ziszczają się pomyślnie panom Prusakom. Komisya chcąc prędzéj pozbyć się zakupionéj ziemi, omija prawo, zostawiając większe dobra (*Restguter*), by i koszta parcelacyi zmniejszyć, tłómacząc się nieodpowiedniemi warunkami tychże do przeprowadzenia parcelacyi. Koloniści, zamiast osiedlać się w zakupionych i przystępnie im oddawanych osadach, wolą szukać szczęścia w Ameryce.

Nie przydała się systematyczność, w porównaniu z kosztami rezultat bardzo mały, w motywach prawa robili sobie Niemcy nadzieję wykupienia 200,000 hektarów roli, funduszem 100 milionowym i osiedlenia w koloniach 40,000 Niemców, jakżeż daleko do tych marzeń, zaledwie 3,595 „*Kulturträgerów*“ do końca r. 1889 osiedliło się, natomiast czujność z naszéj strony wzrosła.

Obowiązkiem właścicieli większych posiadłości oszczędnością i umiejętném prowadzeniem gospodarstwa chronić ojczystego zagonu od przejścia w ręce niemieckie. Obywatelstwu przypadło w udziale pouczać lud, jak ma iść z postępem czasu, zadanie to wielkie i jak poniżéj wykażemy, godnie rozpoczęte.

Ciężkie warunki istnienia gospodarstw włościańskich w W. Księstwie Poznańskiém i Prusach Zachodnich opisują w dziełach swych Oemler i Nathusius [1]). Zarzucają oni ludowi naszemu opieszałość w prowadzeniu gospodarstwa, zaniedbywanie chowu bydła rogatego, natomiast kosztowny chów koni, wreszcie zanadto rozpowszechniony zwyczaj zwiedzania jarmarków, których jest rocznie w Poznańskiém w 138 miastach nie mniéj jak 350. Badania tychże autorów wykazały jednak, że w dzisiejszych warunkach ekonomicznych nawet pilny i względnie inteligentny właściciel małéj posiadłości, nie mając zapasów pieniężnych i będąc obdłużonym, wobec niskich cen zboża, powtarzających się często klęsk elementarnych, wobec nadzwyczajnie wygórowanych podatków państwowych i ciężarów gminnych z trudnością tylko utrzymać się może.

---

[1]) Nathusius. „Die bäuerlichen Verhältnisse in der Provinz Posen“. Schriften des Vereins für Socialpolitik. Tom. III. Lipsk. 1883. — Oemler. „Die gegenwärtigen bäuerlichen Verhältnisse in der Provinz Westpreussen“. Tamże, T. II.

Oemler przyznaje ludowi polskiemu znacznie więcéj przywiązania do zagona ojczystego, aniżeli niemieckiemu, i jest nadzieja, że koloniści niemieccy wobec téj zalety (!?) powoli wynosić się będą i z kolonii małych powstaną większe, a zatém żywioł niemiecki zmaleje. Stronniczy Oemler przyznaje w końcu, iż opieszałość i pijaństwo między ludem polskim z każdym rokiem maleją, i że robotnik polski pomimo wad, jakie mu autor przypisuje, jest produkcyjniejszym od niemieckiego. Zwrot ten ku lepszemu przypisać wypadnie dodatniemu wpływowi obywatelstwa, które w coraz bardziéj rozwijających się kółkach rolniczych [1]) włościańskich żywy udział bierze i ludem się żywo zajmuje. Dość przejrzéć rocznik kółek rolniczych, ażeby miéć wyobrażenie o postępie w gospodarstwach w Poznańskiém.

Wielu odprzedało swój zagon ojczysty — korzystali ze sposobności, w celu uratowania reszty swego dobytku— dziś rzecz przedstawia się pomyślniéj, akcya ratunkowa banku ziemskiego z każdym rokiem wzrasta, zyskaliśmy względnie tyle, iż cena ziemi się podniosła i wobec znanych wydalań, robotnik polski stał się dziś więcéj poszukiwany i lepiéj wynagradzany. Lepsze warunki bytu i parcelacye, jakie bank ziemski pomimo trudności stawianych przez rząd z pomyślnym skutkiem przeprowadza, zachęciły lud nasz do większéj pracy i oszczędności, dając mu nadzieję uzyskania w przyszłości kawałka ziemi w kraju.

Z właścicieli większych wielu przez zanadto intensywne prowadzenie gospodarstwa, nakłady na melioracye i ulepszenia, zadłużyło się bardzo i podobnie jak mniejsi właściciele ratowali się od subhastacyi sprzedażą. Z każdym rokiem liczba ofert maleje i miejmy nadzieję, że w niedalekiéj przyszłości dojdzie... do zera.

Dr. Stefan Pawlik.



---

[1]) W W. Ks. Poznańskiém według Rocznika za 1883 było w 1882 r. 141 kółek rolniczych włościańskich, w roku 1888 natomiast 154.



WIADOMOŚĆ O RĘKOPISIE GNIEŹNIEŃSKIM,

zawierającym najdawniejsze statuta uniwersytetu Padewskiego z roku 1301-go.

Z gnieźnieńskiéj biblioteki kapitulnéj przysłany mi był na moję prośbę z uprzejmości ks. biskupa Andrzejewicza rękopis papiérowy, arkuszowego formatu, z wieku XV, zawierający, jak w napisie powiedziano, najdawniejszy ze znanych dotychczas statutów uniwersytetu Padewskiego. Ponieważ uniwersytet Padewski był w pewnym czasie uniwersytetem młodzieży polskiéj i kroackiéj, więc losy jego, mianowicie statuta, ulegające różnym przeobrażeniom, są dla Polaków i południowych Słowian nie obojętne. Statuta zaś z r. 1301, z dodatkami rychlejszemi i późniejszemi, są dlatego wielkiéj wagi, że dotychczas znane były tylko ze wzmianek w późniejszych statutach, z tych też późniejszych ustaw wzmiankuje o nich Denifle w przedmowie do wydanych przez siebie statutów uniwersytetu w Bolonii z r. 1317 w *Archiv für Litteratur und Kirchengeschichte*, III, 1887, na str. 231: „Die Bemühungen in den Jahren 1300 und 1301 waren nicht vom Erfolg gekrönt, im J. 1302 dagegen „Rudolphus de Augusta et Bonus de Mora Mediol. rectores creati magna diligentia, constitutionibus superiorum adhibitisque ex Bononiensi scolarium universitate statutis volumen effecerunt“ (jest-to tylko wiadomość historyczna, wyjęta z późniejszych statutów, w których nazwisko Bonus de Mora prawdopodobnie poprawnie jest wypisane). Denifle dodaje: „Allerdings ist es möglich, dass die Jahrzahl gefehlt ist“, domysł ten okazuje się słusznym.

Rękopis Gnieźnieński, na który najpierw profesor Smolka zwrócił uwagę (Rozprawy i sprawozdania Akad. krak., wydział filozoficzny IV, str. 295) jest formatu arkuszowego i zawiera dwie części: 1) Allegationes sive resolutiones iuris canonici advocati Lapi de Castilionovo de Florencia, 2) statuta Padewskie z r. 1301.

Statuta te przepisane nie wiadomo przez kogo nie dość starannie, z błędami i opuszczeniami, jak świadczą miejsca niezapisane, zawierają ustawy uniwersytetu Padewskiego, sporządzone na podstawie dawniejszych Bolońskich i Padewskich w r. 1301, z dodatkami dawniejszemi i późniejszemi, obejmują sześć ksiąg i stanowią ważny przyczynek do rozpoznania filiacyi uniwersytetów włoskich.

Poniżéj podaję dokładną zawartość rękopisu téj drugiéj części, obejmującéj przeszło 80 kart nieliczbowanych.

Rękopis zaczyna się od tych słów:

Ad honorem et reverentiam individue trinitatis i t. d. ....ad bonum statum studii Padwani. Hec sunt statuta secundum novam compilationem facta et elicita de veteribus statutis studii Padwani et ex statutis Bononiensibus per venerabiles et sapientes viros dominum Rudolfum Synenum de Augusta, canonicum in Buchshan (sic), dominum Binum (sic) Mora de Mediolano utriusque iuris peritum, rectores universitatis studii Padwani, dominum Henricum de Polenahn, canonicum Frising., dom. Jacobum de Arena de Parma, dom. Engelbom canonicum veteris capelle Rotispane, dominum Hugutionem de Cresteno de Vincen., dominum Pillgrinum de Istria, rectorem ecclesie in Eisgruob, dominum Raynaldum de Raynaldis de Tarvisio, dominum Petrum de Prixna, canonicum...., dominum Albertum de Nullanis de Vincen., dominum Johannem de Constantia, magistrum Deo (?) de Maredorfh, dominum Valentinum de Mediolano, dominum Nicolaum de Polonia, dominum Constantinum de Savorgano et dominum Orthlibum de Moguncia per ipsam universitatem ad hoc specialiter electos. Anno Domini M. CCC-mo primo indictione quarta decima die XVIII mensis Junii.

Sprawdzenie daty r. 1301 dla historyka, który chce studyować historyą uniwersytetu Padewskiego, a przytém historyą filiacyi uniwersytetów włoskich pomiędzy sobą, nie będzie zbyt trudném dla szeregu nazwisk; na teraz nie mając tymczasowo żadnych wyczerpujących danych, mogę tylko poddać pod rozwagę dwa sprzeczne ze sobą szczegóły. W pierwszym wstępie, który po napisie dosłownie wyżéj przytoczonym idzie (takich wstępów jest dwa), oświadczają Rudolf Synenus (w drugim wstępie „de Bucshayn“) i Mora de Mediolano, dlaczego nową kompilacyą statutów uczynili i w tym pierwszym wstępie

jest wzmianka o rozmaitych rektorach, którzy się około uporządkowania stosunków uniwersytetu Padewskiego zasłużyli. Jest tam na czele wymieniony pod r. 1260 „quidam hyspanus nomine Gosaldus... hic primus, ut audivimus, tanquam diligens et discretus, statutis et regulationibus fundavit studium Paduanum laudabiliter licet imperfecte“ i t. d., co jest potwierdzeniem znanego szczegółu, tutaj jednakże dokładniéj wyłuszczonego; w szeregu późniejszych rektorów wymieniony jest także, jako zasłużony rektor „nicholaus Polonus archidiaconus grouien (wedle wyjątku przytoczonego przez Denifla l. l. Archiv, III, 395 ma być „Cracoviensis“), zapewne jako rector ultramontanorum, razem z Janem de Montelongo i t. d.; pomiędzy tymi zasłużonymi rektorami są także wymienieni rektorowie Jan Czech „Johannes de Bohemia prepositus s. Egidii Pragensis“ i Mikołaj de Grimmore (sic) z r. 1331, zatém z rektoratu 30 lat późniejszego, niż rektorat Rudolfa z r. 1301, jeżeli ten rok jest dobrze z oryginału przepisany; z drugiéj strony pomiędzy towarzyszami Rudolfa jest wymieniony Jakob de Arena, którego nazwisko spotykamy już r. 1288 (Denifle, „Entstehung der Universitaeten“, I, 286). Z resztą najprawdopodobniejszą jest rzeczą, że chronologiczne zapiski z roku akademickiego 1330 i z roku 1331, t. j. z roku rektoratu Jana z Pragi były późniéj wsunięte.

W drugim wstępie („prohemium ad totum librum“) oświadczają Rudolf de Augusta i Binus (sic) Mora de Mediolano, że przez wzgląd na dotychczasową niepewność (*confusio*), układają ze statutów Bonońskich i Padewskich obecną księgę statutów dla obudwu uniwersytetów w sześciu księgach: 1) de rectoribus, 2) de doctoribus, 3) de universitatis officialibus, 4) de forma processus studii, 5) piąta księga zawiera statuta, quibus certa negotia emergentia terminantur, 6) pacta inter commune et studium. Następuje potém porządek pierwszéj księgi statutów: In nomine Domini nostri Jesu Christi etc. incipit liber primus statutorum secundum novam compilationem factam per venerabiles viros Dom. Rudolfum Synenum de Augusta, canonicum in Bucshayn (sic) et Dom. Binum (sic) Mora de Mediolano utriusque iuris peritum, rectores universitatis scolarum studii Paduani una cum statutariis supradictis per universitatem praefatam ad hoc specialiter electos. W téj pierwszéj księdze idzie znowu osobny wstęp, który się zaczyna od słów: Quoniam cum Dominus dixit Petro: Petre, super hanc petram aedificabo etc., a potém idą rozdziały o wyborze rektorów, które z początku i co do następstwa i co do brzmienia zgadzają się z tymi, które Denifle był ogłosił, jako statuta fakultetu jurystów uniwersytetu Bonońskiego z r. 1317 w „Archiv für Litteratur und Kirchengeschichte“,

III, 254; dwa pierwsze z nich zgadzają się i w tém z sobą, że przepisy zaczynają się od słów wedle porządku alfabetycznego (Ad rectoratus officium eligatur..., Brevi statuto iubemus...), ale trzeci przepis, choć na tém samém miejscu stoi, ma w Padewskich statutach literę *e* (electio rectoris fiat per celulas (sic)), gdy tymczasem w Bonońskich z r. 1317 czytamy: „Citramontani electio fiat“ z odmienną treścią; potém już tylko niektóre rozdziały zgodne ze sobą, ale porządek początkowych liter w statutach Padewskich z r. 1301 nie jest zachowany. Po piętnastu kartach następuje księga druga: De doctoribus eligendis rubrica, z napisem (przepisywacza?) od góry: liber secundus de electione doctorum; po dalszych piętnastu kartach znajdujemy nowy rozdział: de officialibus universitatis z napisem (przepisywacza?) od góry: liber tertius; przepisy téj księgi ciągną się przez kikanaście kart, jak się zdaje, aż do rozdziału zarubrykowanego tak: quod nullus remoueatur de suo officio nisi per uniuersitatem eciam si sit inutilis. Prohibemus officialem etc. Po tym przepisie idzie widocznie księga czwarta, chociaż jako taka nie oznaczona przez przepisywacza, bo część ta zaczyna się od przepisów co do rozpoczęcia roku akademickiego w dzień po św. Łukaszu ewangeliście mszą św. „de spiritu sancto“ w kościele katedralnym, zawiera daléj szereg dni odświętnych, przepisy na drugi dzień roku akademickiego i t. d., a kończy się przepisami „contra turbatores“ i „contra arengantes.“

Od tego miejsca ciągnie się księga piąta (na brzegu téż oznaczona jako liber quintus), przez kart 14, z pierwszym rozdziałem o pieczęci uniwersytetu, a następnie z przepisami np. co do obrazy i o mieszkaniach. Przepisy, tyczące się mieszkań, kończą się paragrafem: Quod rectores etiam cum consiliariis non dispensent super statutis hospiciorum („Statuta super hospiciis concedendis edita inviolabiliter ab omnibus obseruentur“ etc.; dalej idzie znany z późniejszych statutów rozdział: (De) Interpretatione statutorum etc. („Karolus magnus legitur“ etc.), a po nim inny z nadpisem: De voluminibus statutorum rubricauimus rubricam rubricentes (sic). („Extunc autem reuocata esse volumus omnia statuta hoc volumine non inseruata“ etc.). Daléj idą widocznie dodatki: najsamprzód idzie rozdział bez nadpisu, oddzielony od tego, co poprzedza i od tego, co po nim następuje, kréską przez całą szerokość rękopisu, a zawierający ustawę z r. 1278, tyczącą się rozporządzenia spuścizną studenta zagórskiego na przypadek zupełnego sieroctwa zmarłego i na przypadek taki, gdyby byli spadkobiercy. Po tym rozdziale, pod kréską, czytamy: „In Cristi nomine Amen. Incipiunt statuta tria per vener. viros dominum Bertoldum de Salza, rectorem ultramontanorum, nec non dom. Albertum de Bald... facta

sub annis (sic) 1346 indictione XIIII mense nouembris die quindecima“, a po tych trzech statutach stoi: „Nos Joannes de Ungaria praepositus Strigoniensis dominorum ultramontanorum famosi studii Paduani rector et nos Jacobus de Burgiselle de Fauo in iure canonico licentiatus, dominorum citramontanorum venerabili (sic) studii Paduani rector universibus et singulis venerabilibus doctoribus et scolaribus in dicto studio commorantibus salutem et debitum incrementum cum infrascripto statuto mandamus“: wymienieni rektorowie wydają ustawę o święceniu dnia św. Katarzyny r. 1377 („a natiuitate Domini nostri Jesu Cristi mill. III° LXXVII... pontificatus sanctiss. in Chro patris Gregorii undecimi... anno sexto ac sereniss. principis... Karoli quarti... decimo eius imperii“). Tu zaczyna się księga szósta, na brzegu oznaczona jako „sextus liber.“ Po kilku kartach, ku końcowi kodeksu, idą dodatki zaznaczone takiém zdaniem: „Expliciunt pacta vetera, incipiunt noua pacta a communi concessa scolaribus. In Chri nomine amen. Anno eiusdem natiuitatis M° CCC. vigesimo primo... Pacta, conuenciones et priuilegia, quae petebantur per uniuersitatem scolarium studii Bononiensis iuris canonici et ciuilis et firmata sunt per commune Paduae et promissa ut inferius describuntur“, poczém idą dwa ustępy (prooemia) i wzmiankowane ustawy przez kilka kart, i kończą się tak: De copia statutorum rubrica. Item promiserunt et firmauerunt, quod commune Paduae copiam statutorum uniuersitatis Bononiensis suis expensis statim sine mora debeant procurare.“ — Na ostatnich dwu kartach rękopisu umieszczone są dwie ustawy rektorów Kaspara de Prussia i Auuta de la Turre: „Kaspar de Prussia, canonicus Warmiensis, rector dominorum scolarium ultramontanorum et Auutus de la turre, vicerector cytramontanorum venerabilis studii Paduani“ etc., zatém z początku XV wieku.

Wł. Nehring.





ROZBIORY I SPRAWOZDANIA.

Wincenty Rapacki: „Hanza“, powieść z XV wieku (Warszawa, 1890).

Dzieje nienawiści plemiennéj, rozdzielającéj Słowian zachodnich, a mianowicie Polaków z Niemcami, przedstawiają mnóstwo ciekawych załamów i epizodów, które dla sztuki plastycznéj i literatury długo jeszcze niewyczerpanym będą skarbem.

Pierwszy odgłos poetyczny téj prastaréj waśni sąsiedzkiéj, widzimy już w odtworzonéj malowniczo przez Gallusa „Obronie Głogowa“; echa natchnień satyrycznych, wrogim wywołane stosunkiem, rozpoczyna końcowa część „pieśni o Albercie, wójcie krakowskim“ (w. XIV), a tryumf na polach grunwaldzkich zjednywa laury nietylko wojownikom, ale i wierszopisom polskim (Jan z Wiślicy).

Do najświeższych zwierciadełek literackich tego rozbratu, harmonijnie wtórujących głośnym utworom pędzla Matejki, należy „Hanza“ Rapackiego.

Krążące dotąd śród ludu z okolic krakowskich podanie „o lesie żywieckim, gdzie się piekło rozwarło i czarci Niemców ugotowali w smole“, dało autorowi powód do osnucia obrazu, który w ustroju powieściowym odgrywa rolę pełnego siły dramatycznéj prologu. Na karawanę Hanzy, wiozącą towary swe do Krakowa, napada niespodzianie z okrytéj ciemnością nocną gęstwiny boru zbójecka gromada z Przemysławem (młodszym), księciem oświecimskim, na czele. Zaskoczeni znienacka, dają się okuć w żelazne pęta. Grabieżcy, a szczególniéj znajdujące się w ich liczbie „kobiety z ówczesnego półświatka“, przystępują do rabunku, zabierają chciwie płótna flamandzkie i kolońskie, złotogłowy, aksamity, jedném słowem wszystko, co tylko w ich oczach może miéć jakąkolwiek cenę. „W tém stało się coś

strasznego. Gdy wóz otwarto i zbliżono się doń z pochodniami, huk stu gromów i ogień piekielny wybuchnął. Jęk konających, krzyk rannych, rżenie koni, strugi ognia... Las stanął w płomieniach. Kto mógł, uchodził z życiem; komu nie dano, znalazł tam grób... Był to proch strzelniczy, wieziony przez Hanzę po raz pierwszy do Krakowa.“

Obraz ten wstępny, z trzech rozdziałów złożony, stanowi do pewnego stopnia zamkniętą w sobie całość, różnobarwną i efektowną. Znajdujemy tu już nawet gotowy wizerunek pięknéj duszą i ciałem postaci bohatéra, osiemnastoletniego młodzieńca, którego matka jest odepchniętą od progów rodzicielskich, mieszczanką krakowską, a ojciec hanzeatą — wybitnym członkiem związku, krępującego swych adeptów ślubem bezżeństwa. Rudolf urodził się i wychowywał do lat dziesięciu w Krakowie. Wysłany potém przez opiekuna zagranicę, trawił czas na naukach w Kolonii: dojrzéwał on tam fizycznie, rósł duchem, ale przywiązania do matki, języka rodzinnego i ziemi nie zatracił. Ojciec, któremu nie wolno przyznać się do syna, wprowadzić go ma na drogę, po któréj sam kroczy. Rozmowa bohatéra z „*Tilem Eulenspieglem*“ („Sowizdrzałem“), serdecznym, a przebiegłym błaznem wędrownym, daje rękojmię czytelnikowi, że młoda latorośl z pnia macierzystego czerpiąca soki, ku słońcu germańskiemu zwracać się nie będzie. Wieść o strasznéj w lesie żywieckim katastrofie, niby echo uderzającego blisko gromu, wstrząsnęła duszą Reinholda Bonara z Ingermanlandu, oldermana faktoryi krakowskiéj. Straty materyalne były wielkie. Niemi się téż głównie dostojny mąż wobec swego otoczenia musiał zainteresować; ale serce drżało przedewszystkiém o syna. Szczęściem, ocalał. Przyczynę wypadku zamaskowano; proch bowiem, wieziony przez hanzeatów, służyć miał Zygmuntowi węgierskiemu na Spiżu do rozbijania, z pomocą krzyżactwa, naszych zamków pogranicznych. Łupieżcy oświecimskiemu zaprzysiężono zemstę. Z tego źródła wyłoni się późniéj krwawy epizod powieści. Autor wprowadza w świat bohatéra. Przy ognisku jego rodzinném stoją dwie osoby jawne i jedna ukryta: matka, Agata, córka Ziemby, mieszczanina krakowskiego, piękna, a uczuciowa niewiasta,— przeniewierczy sługa Hanzy, fałszerz monety, wytrawny nikczemnik, ojczym, Justus Knabe,—oraz czuwający tajemnie nad synem, Reinhold Bonar. Silnie zorganizowana gmina niemiecka panuje w grodzie, dławiąc pierwiastek tuziemczy. Biada temu, kto ją do walki wyzwie. Mikołaj Wierzynek, najbogatszy z kupców krakowskich, Polak całą duszą, zostaje za jéj sprawą wyklęty, jako protektor prześladowanych. Rozporządza ona samowładnie mieniem, czcią, życiem człowieka. Ru-

dolf jest jedném z kółek w jéj machinie; sercem wszakże lgnie do ziemi macierzyńskiéj, a swe uczucia narodowościowe tak otwarcie i bez ogródek wypowiada, że wprawia w zdumienie opiekuna, który po za teutonizmem nie widzi w Polsce ludzi, godnych tego miana. Młodzian zyskuje przywiązanie starego Ziemby, dziada po kądzieli, i upragnioną miłość nadobnéj Wierzynkówny. Ściele mu się więc kobierzec małżeński, ale nad jego głową wisi chmura piorunowa. Jednocześnie Justus Knabe, fabrykant różańcow, ojczym bohatéra, wraz z Otbertem i Folchardem, dwoma „braćmi ślubnymi“, podstępnie wciągniętymi do spółki, fałszuje talary hanzejskie. Wieść o pieniądzach podrobionych szybko się rozchodzi, głośny śród społeczeństwa wywołując protest. Mikołaj Wierzynek wpada na ślad przestępców i obiecuje Oldermanowi wydać ich w ręce sprawiedliwości, pod warunkiem, jeżeli od klątwy zostanie uwolniony. Wywołańca przyjęto znów uroczyście na łono kościoła, ale fałszerze, uprzedzeni o niebezpieczeństwie, szczęśliwie ujść zdołali. Przy końcu powieści akcya coraz bardziéj się wikła. Jeden z agentów Hanzy, Chrzan zabija Przemysława oświecimskiego i ścigany zemstą krakowian, znajduje tajemne schronienie u Oldermana, który go do czynu namówił. Gmin, z żydem Natanem na czele, domaga się wymiaru sprawiedliwości. W téj chwili wyrasta nagle, jakby z pod ziemi, malutka dotąd, szara, gadzinowa postać starającego się napróżno o względy Agaty—Detmolda, sekretarza faktoryi krakowskiéj, który przypomni czytelnikowi Rodina, z „Juif errant.“ Sejm w Lubece mianował go najpierwszym radcą i stróżem głównéj pieczęci. Jest on już panem losów Bonara i jego syna, który otrzymawszy „tymczasowe“ od służby uwolnienie, zaślubia Wierzynkównę. Nasłani przez Hanzę ludzie, porywają cichaczem oblubieńca z pośród koła weselnego i stawiają przed sądem. Czynny członek związku wykroczył przeciw zasadniczéj ustawie celibatu. Czeka go za to kara śmierci. Daremnie ojciec zasłania dziecię swemi piersiami, daremnie matka i żona śpieszą na ratunek, daremnie lud krakowski, otoczywszy Sukiennice, żąda wolności dla współobywatela. Młodzieniec pada pod ciosem zabójczym. Mieszczanie postanawiają zdobyć zawarty ze wszech stron budynek i wytępić hanzeatów. Nieprzewidziana wszakże okoliczność zmusza ich do odwrotu. „Jakiś przedmiot, umieszczony w oknie głównéj sali, gdy machiny zbliżyły się do Sukiennic, przemówił takim gromem, że wszystkie szyby w oknach Krakowa zadrżały, a dom kuternogi (Justusa Knabego), w który uderzyła kula, rozpadł się, jak gdyby zbudowany z klepek.“ Była to armata. „Działo zapanowało na świecie i nowa rozpoczęła się era.“ Prawie jednocześnie, schwytanych fał-

szerzy monety na rynku stracono; Chrzan, którego Detmold rozkazał wydać ludowi, przyśpieszył sobie śmierć trucizną. Nieszczęśliwa małżonka Rudolfa niebawem do klasztoru wstąpiła, a bolejący ojciec porzucił Hanzę i jako mąż Agaty, na bruku krakowskim dla nowéj pracować zaczął ojczyzny. W ostatnim rozdziale brzmi donośne echo zwycięstwa pod Grunwaldem. Wypadek ten miał, zdaniem autora, wpłynąć stanowczo na dolę Hanzy: „wlokła czas jakiś nędzny żywot, aż wreszcie wyrzucono ją z miasta, jako sprzęt niepotrzebny.“

Układ przejrzanéj pracy odznacza się dobrą symetryą zogniskowanych ściśle szczegółów. Akcya, mimo rażącéj na pierwszy rzut oka monotonności efektów prochowych, które ją inaugurują i wieńczą, jest w swym rozwoju nader potoczystą, pełną pięknych barw i tonów. Opisy i rozumowania służą za oprawę dekoracyjną bystréj, a bogato rozgałęzionéj rzece dramatu powieściowego. Jeżeliby jaki Zoil mógł autorowi cokolwiek zarzucić, to chyba nie nudę, ale raczéj nie zawsze przebierającą w środkach żądzę usidlenia uwagi i wyobraźni czytelnika. Ostatnie szczególniéj rozdziały (w liczbie dwunastu) przedstawiają kalejdoskop tak burzliwych fal życia, że choć się wszystko toczy w sposób naturalny, posądzamy pisarza mimowol o usilną pogoń za kwiatami, w rodzaju tych, jakiemi są usiane romansie francuskie z ubiegłéj niedawno doby.

Rysy działaczów powieściowych rzeźbi autor dość starannie; ale nie jest on psychologiem, badającym tajniki ducha ludzkiego: nie rwie się do analizy; rodowodu charakterów nie odtwarza. Figury przez niego narysowane, żyją przeważnie na zewnątrz i takiemi schodzą z widowni, jakiemi na nią wstąpiły. Jedyny może pod tym względem wyjątek stanowi zaszczepca rodu Bonarów krakowskich, szlachetny hanzeata, na którego duszę rzuca autor niejednokrotnie całe snopy świetlanych promieni. Rozbrat Reinholda ze związkiem i społeczeństwem niemieckiém znajduje należyte usprawiedliwienie w poważnéj skali doznanych wstrząśnień i w dwu ogniwach serdecznych, które cudzoziemca do barbarzyńskiéj ziemi przykuły. Dziwić się natomiast musimy, że syn jego, Rudolf, przez ośm lat w Kolonii kształcony, żadnych wspomnień z obcego nie wywiózł kraju, że tak dobrze, jak przedtém, włada mową ojczystą, chociaż dzieckiem Polskę porzucił, a wraca do niéj młodzieńcem...

Styl p. Rapackiego lekki, obrazowy, miejscami dramatyczny, grzeszy tu i owdzie nieładem, zlekka przysłoniętym reporterską manierą przesadnéj ucinkowości. Oto jeden z wielu ustępów: „Rynek krakowski w początkach XV-go wieku był o wiele mniejszy. Ten

rynek gorzał kilkanaście razy. Po takiéj pogorzeli, gdy go odbudowywano, poczęto rynek rozszerzać... Kto chce sobie odtworzyć w wyobraźni ówczesny rynek, niech popatrzy na drewniane domy w Wiśniczu.“ Błędy językowe do rzadkich należą zjawisk. Notujemy spostrzeżone: „Miasto było rozległe i ludne, choć *go* ustawicznie palono“ (str. 106); „Świat średniowieczny dziwnemu się przypatrywał widowisku, dziwniejszemu stokroć, *jak* przed kilku laty, kiedy Litwinów chrzczono“ (115); klasztory... „obwarowywano murem grubszym, *jak* fortecę“ (116); „wrogi, obciążeni łupem“ — str. 106 (zamiast: wrogowie obciążeni, lub wrogi obciążone).

Wypada nam jeszcze w końcu jedno poruszyć pytanie: jaki stosunek łączy powieść Rapackiego z historyą? Czy autor badał dzieje słynnego związku miast germańskich, niewiadomo; to jednak pewna, że organizacyę, wpływ różnostronny i znaczenie Hanzy w epoce jéj rozkwitu, pilnie starał się poznać. Główną zaś uwagę zwrócił na Kraków: odtworzyć przypuszczalnie oblicze grodu podwawelskiego z czasów Jagiełły, przedstawić zatarg dwóch nieprzyjaznych żywiołów, polskiego i niemieckiego, w przeddzień bitwy grunwaldzkiéj, wyjaśnić wreszcie sposobem, właściwym utalentowanemu bajarzowi, okoliczności, towarzyszące wyłonieniu się z niemczyzny domu Bonarów, — oto cel, jaki sobie prawdopodobnie założył. Osoby ściśle historyczne, np. Jan von Falkenberg, w grę powieściową nie wchodzą; figurują one tylko w zarysach ogólnych, stanowiących jéj tło i ramy. Beletrysta więc nie jest bardzo skrępowany: uznawszy grunt zasadniczy, buja po nim swobodnie i zabarwia go właściwą sobie tendencyą. Tu otwiéra się szerokie pole do mniéj lub więcéj uzasadnionych sprzeczek z autorem. W powieści znajdujemy odźwierciedlenie faktów, hipotetycznie zaszłych między rokiem 1408 a 1410. Z tego, co p. R. mówi na początku, w rozdziale „*Drang nach osten*“ („przed pięciuset laty“), oraz w zakończeniu (na str. 234) możnaby wnosić, że „pierwszy *kulturkampf*“ niemiecki nawiedził terytoryum nasze dopiéro przy schyłku wieku XIV-go; wkrótce potém doszedł do niezwykłéj potęgi, i nagle, po ogłoszeniu tryumfu w r. 1410, upadł. Przypuszczenie takie nie zgadza się ani z dokumentami dziejowemi, ani z naturalnym biegiem spraw ziemskich. „Pierwszy“ na wielką skalę „*kulturkampf*“ nosi w historyi polskiéj datę — więcéj, niż o cały wiek, wcześniejszą. Fakt najazdu tatarskiego (1241), prawie równoczesny z powstaniem Hanzy, wywołał, jak wiadomo, ów płynący z zachodu ruch kolonizacyjny, który, aczkolwiek w dalszych następstwach mógł być dla nas bardzo groźny,—ciepłym wtedy promieniem słońca i deszczem ożywczym spłynął na niwy nasze. Nie zapominajmy wreszcie, jakie w wie-

ku XIV-ym znaczenie miało dla niższych warstw społecznych, t. zw. „prawo niemieckie“ wobec „polskiego.“ Pierwsze, jak wiadomo, było równoważnikiem samorządu gminnego, drugie—niewoli. Trudno się téż zgodzić z autorem na to, że laury na polach Grunwaldu zerwane, położyły koniec rozrostowi pierwiastka germańskiego w Polsce. Zaszkodziły one zapewne Hanzie, któréj protektorem był wielki mistrz krzyżacki; ale gmachu jéj potęgi nie zdołały podkopać w takim np. stopniu, jak zdobycie Nowogrodu przez Iwana III. Scharakteryzowawszy „gniazdo sępów“ oświecimskich, żyjących w zaraniu XV wieku, p. R. na str. 27-éj dodaje: „Oni otwiérają pierwsi ten długi korowód rodzin (piastowskich), co konał w uściskach germanizmu.“ O, nie pierwsi. Czyż mamy przywodzić długi spis książąt szląskich nietylko z XIV, ale i z XIII-go stulecia? Czyż Henryk IV Probus, w 1290 r. zmarły, nie był teutońskim *minnesängerem?*

Cokolwiek można zarzucić „Hanzie“, jako utworowi, stronnie przerabiającemu historyę, a silnie nacechowanemu dążnością antygermańską, przyznać potrzeba, że jest-to praca na poważnych studyach oparta i jedna z najlepszych powieści ostatniéj doby.

Antoni Gustaw Bem.

„Gwara warszawska w spółczesnym języku literackim“, przez L. W. Szczerbowicza, „Biblioteka Warsz.“, sierpień, 1890 r.

Ogólnie dzisiaj znany fakt upośledzania języka przez liczne czasopisma warszawskie, wywołuje kiedy niekiedy okrzyk oburzenia ze strony ludzi, poważniéj myślących. Potrzeba jednak pewnéj odwagi, ażeby publicznie wytykać usterki w mowie, rzadko kto bowiem ma tyle zaparcia się na rzecz ogólnego dobra, ażeby uznać popełniane błędy, a stąd wytykający je niezawsze mile są widziani. Pomimo to autor wymienionéj tu na czele pracy nie po raz pierwszy już występuje z szczeremi chęciami zaradzenia złemu, nie ustając w gorliwości, lubo, jak sam się żali, głos jego rozlegał się dotąd jak na puszczy.

P. S. słusznie występuje w swojéj wiązance trafnych najczęściéj spostrzeżeń—przeciw zbytecznemu „wzbogacaniu“ słownika i pomnażaniu form językowych przez nowotwory. I kogóż tu stawiają sobie za wzór? Oto warstwy, które autor nazywa „motłochem“ z niskich instynktów i nawyknień. A jakie znajdujemy tu kwiatki dobrego smaku i logiki! Są tutaj wyrazy, z powodu których „wartałoby“ ułożyć slownik dla tych, co nie poznali tajemnic wymowy tych sfer „naciągaczy“, „kpiarzów“, oraz „przyłapanych“ i „nieprzyłapanych“,

„koniokradów.“ Malowniczy wyraz zryć się (pokrewny z ryjem a znaczący upić się) przypomina nam obrazek podchmielonego chłopa u Reja:

> ...Leje mu w gardło dzbanem: to za zdrowie twego
> (Ktoby mu nie życzył) pana łaskawego.
> Potém chłop, z szkapy spadłszy, pośród pola leży...

Zdumiewający jest zaiste polot fantazyi, jaki się objawia w wyrażeniu: robi mi się nieswojo, lub w wyrazach: najhistoryczniejszy, zachodniejszy i t. p.!

Podobnych herezyi dopuszczają się przeważnie „nowe siły“, gdyż, jak słusznie twierdzi pan S., zaczynają się one pojawiać dopiéro w ostatnich czasach.

Zanim znajdzie się ktoś szczęśliwszy w pomysłach i zdoła podać środek zapobiegający złemu, starajmy się opiérać mu, wytykając usterki językowe. Jeżeli po kilkakrotnych usiłowaniach nie doszliśmy do porozumienia i ogólnéj zgody w pisowni, mniéj to dziwi, gdyż co do sposobu pisania tego lub owego wyrazu zdania mogą być w pewnych razach podzielone; ale w nauce języka, gdzie chodzi tak, jak w każdéj nauce, o wykrycie prawdy, dwóch zdań w jednéj kwestyi być nie może. To téż, wytykając jakiś błąd w mowie, starałbym się wykazać to prawo gramatyczne, lub ten przepis stylistyczny, które pogwałcono; wyjaśniłbym, w jaki sposób sprzeciwia się on danemu prawidłu, i jak na zasadzie takowego usterkę poprawić. Postawa niedość stanowcza dyskredytuje nas w oczach przeciwnika. P. S. jednak niezawsze ma to na względzie. Pomiędzy jego uwagami znajdują się takie, które, wypowiedziane w sposób ściślejszy, dodałyby więcéj siły jego głosowi. I tak przy objaśnieniu niewłaściwości formy przepłacić zam. przypłacić, autor twierdzi, że przyimek prze znaczy w złożeniu nad i przed. W ostatniém znaczeniu ma on występować w słowie przewidzieć (przedwidzieć). Tymczasem prze oznacza także i nawskróś, np. przebić, przewlec, przedziurawić, i to właśnie znaczenie ma w wyrazie przewidzieć (przewidzieć zasłonę, dzielącą nas od tego, co będzie). Tu dla utrzymania ciągłości poruszonéj materyi należało powiedzieć o formach: dobrem kobietom i t. d., o których autor mówi gdzieindziéj; w obu bowiem razach przejawia się taż sama dążność ludzi nieokrzesanych do zamieniania *y* na *e* (piewo zam. piwo!). Ze wzmianki o rzeczownikach Hiszpan i Amerykanin nie dowiadujemy się, na jakiéj zasadzie te dwa różne rzeczowniki mają formować

2 przyp. l. m. jednakowo: Hiszpanów i Amerykanów, jeżeli według wskazówek gramatycznych pierwszy odmienia się według téjże deklinacyi kategoryi rzeczowników, co i pan, a ostatni, jako dwutematowy, — podług chrześcijanin. Język nasz nie dopuszcza nawet takich dwuznaczności, które nastręczają się przy pierwszém skierowaniu myśli na dany przedmiot, chociażby zaraz w następnym momencie rozwagi rzecz się miała wyjaśnić. W tym celu, jeżeli wyraz może mieć więcéj, niż jedno znaczenie, używa on dla znaczenia dodatkowego i formy niezwykłéj. Pomiędzy np. rzeczownikami żywotnemi tylko jeden, t. j. wół ma 2 przyp. na *u* zam. na *a*, a to dlatego, że wyraz woła odpowiadałby dwom pojęciom. Wyraz Amerykan ma również dwojakie znaczenie, bo oprócz 2 przyp. l. m. od Amerykanin, oznacza także rodzaj powozu; nadto, w ustach ludu (jak to i pan S. potwierdza) bywa to 1 przyp. l. poj. zamiast Amerykanin. Otóż w wyrażeniu np. północnych Amerykan mogłoby się nasuwać na myśl pojęcie powozu, a ten i ów mógłby nawet w podobnym zwrocie wziąć wyraz amerykan za 1 przyp. l. poj. Składnia w takim razie mogłaby się téż z pierwszego wrażenia wydać dziwną, i dlatego język używa naszego wyrazu z niezwykłą w tym przypadku końcówką *ów*. W innych przypadkach l. m. może się nastręczać taż sama dwuznaczność, ale tu nie mamy do wyboru dwojakich końcówek. „Mówią i piszą niektórzy: słońce wzeszło, wtrącając tu *z* bez żadnéj potrzeby“, mówi autor. Ze swojéj strony dodam, że i dawniéj np. w XVI w. już tak mówiono, *z* zaś nie wtrącają tu, gdyż ono stanowi część przyrostka *wz*, oznaczającego kierunek ku górze, np. wzbijać, wspinać się, wstępować (wz-stępować), wezbrać. Forma weszło nie malowałaby tego pojęcia, o które tu chodzi, gdyż oznaczałaby kierunek ku wnętrzu; dlatego téż mówimy słońce wschodzi, a jedynie możliwą postacią czasu przeszłego od tego czasownika będzie właśnie wyraz wzeszło, gdyż nie można by dla względów eufonicznych wyrazić się: wz-szło lub wez-szło. Dla rzeczowników, oznaczających mężczyzn (a nie „męskich“), mamy dziś dwie jednakowo dobre końcówki w 1 przyp. l. m.: *i* i *owie*. Obie spotykamy w naszym języku od najdawniejszych czasów, skąd więc autor wziął wiadomość, że „dawniéj wyłącznie panowała końcówka *owie*“ w następujących, błędnie dziś zakończanych wyrazach: Hunni, Longobardzi, ortodoksi, gwardyani, dyrektorzy, profesorzy, inspektorzy, filolodzy, geolodzy, ideolodzy, mecenasi, a nawet wrodzy? Ponieważ gramatyka nie ma nic tak przeciw jednéj, jak i drugiéj końcówce, przeto zwyczaj tylko rozstrzyga, kiedy któréj z nich użyć. Nie wszystkie przytoczo-

ne tu formy walczą przeciw ogólnemu użyciu, gdyż mówi się dziś: gwardyani, doktorzy i doktorowie, inspektorzy i inspektorowie, filolodzy i filologowie, teolodzy i teologowie, a właśnie wyłącznie tylko: mecenasi. Mówiąc o wyrażeniach: wykończa, spóźnia się lub spaźnia się, zagasa, zakończając, upłaca, utraca, zatraca, uklęka, ugaszcza, podraża (drożeje), autor wszystkie je potępia, twierdząc, że przedstawiają niewłaściwie utworzony czas teraźniejszy dokonany. Z pomiędzy tych słów niewłaściwie utworzonemi są tylko: zakończa, zagasa, podraża i upłaca, dlatego, że pojęcie złożone w pierwszych trzech z nich, język wyraża jedynie tylko przez czasowniki: kończy, gaśnie i drożeje. Nadto, trudno zmusza język do tworzenia form częstotliwych od tych czasowników, gdyż te mieć ich nie mogą. Wyraz upłaca jest rusycyzmem. Spóźnia się lub spaźnia się, zatraca, utraca, uklęka, ugaszcza nie są nowotworami, przeciw którym walczy p. S., u Lindego bowiem (niewłaściwie pod wyrazem spóźnić się) czytamy takie np. sposoby mówienia: Ta szczęśliwość, któréj on tak chciwie pragnie, jakaś zbyt długa spóźnia przewłoka. Deputat trybunalski, spóźniający się... W „Żywotach“ Skargi czytamy: Utracała na marności drogie olejki. W biblii Budnego: Modliłem się Panu, nie zatracaj ludu Twego; w biblii Gdańskiéj zaś: Nie zatracajże ludu Twego. U Birkowskiego: Do nóg Twoich uklękam. W Dyaryuszu sejmu grodzieńskiego: Przyjmijcie dziękczynienie za takie w domu waszym ugaszczanie. Dlaczego autor występuje przeciw formom ugaszcza, a nawet spaźnia się—nie rozumiem, boć przecież są to zwykłe formy słów częstotliwych, przy których tworzeniu *o* w temacie przechodzi w *a* (por. upraszczać, wyrabiać) i za któremi przemawia ogólne użycie. Wyrazy, o których mowa, używane, jak widzimy, przez mistrzów, zalecanych przez p. S. do naśladowania, nie są nowotworami „pojawiającemi się, dopiéro po 1860 r.“ Przy téj okazyi autor robi wymówkę gramatyce, że „zabrania“ używać czasu teraźniejszego od słów dokonanych, a językowi, — że „wszedł na manowce“, używając wyrazów: spóźni się, wykończę, spali się w znaczeniu czasu przyszłego. Tu należy zaznaczyć, że p. S. pojmuje znaczenie czasu teraźniejszego w sposób inny, aniżeli wszyscy, a stąd nieporozumienie. Zwykle uważamy za teraźniejszą czynność, która w chwili, kiedy ją omawiamy, jeszcze trwa, za przeszłą zaś—tę, która w chwili, kiedy o niéj mówimy, już się nie odbywa. Tymczasem p. S. rozszerza to ogólnie przyjęte pojęcie w ten sposób, że dla niego czynność, odbywająca się „w téj chwili“ i (odbywająca się?)

„przed chwilą“, jest jednakowo teraźniejszą. To też czasowniki: zawoła, krzyknie, odpowie i t. p. nie wyrażają, według autora, czasu przeszłego w opowiadaniach o przeszłości, ale teraźniejszy. Tą drogą doszedł p. S. do przekonania, że „jest rzeczą niesłychaną“, ażeby czas przyszły miał się używać w znaczeniu czasu przeszłego. Jest-to przekonanie dziwne wobec faktu, że żadne t. zw. *praesens* (co do formy) *historicum* od słów dokonanych czasu teraźniejszego nie oznacza i używane jest zawsze dla oznaczenia czynności przeszłéj. Wyraz każę, który co do formy jest czasem teraźniejszym, przez analogią do czasownika kazać = mówić kazanie, ma też znaczenie czasu teraźniejszego. W wyrażeniu: zawsze powiész mi coś przykrego, zawsze odpowiész niegrzecznie — wyrazy: powiész i odpowiész mówią o czynnościach nie teraźniejszych, ale przeszłych, mowa tu bowiem o tém, co zwykle dotąd miewało miejsce. Wobec tego nie mogę zrozumiéć, jakim sposobem formy: spóźni się, skończy (chociażby poprzedzone dodatkiem „oto już“), spali się miałyby, wbrew duchowi języka polskiego i wbrew duchowi wszystkich języków słowiańskich, oznaczać czas teraźniejszy dokonany.

Poruszony tu wzajemny stosunek czasu przyszłego dokonanego, „teraźniejszego historycznego“ i przeszłego wyjaśnia nam zupełnie p. A. Kryński w II-im tomie „Prac filologicznych“, odkrywając nową stronę bogactwa naszéj mowy, jakiém nie wszystkie pokrewne naszemu języki poszczycić się mogą. Przekonywamy się tu mianowicie, że wyrażenia takie, jak spóźni się, skończy, odpowie, zawoła, krzyknie są odwiecznym aorystem, t. j. czasem przeszłym chwilowym, który u nas i dziś jest w powszechném użyciu, ale już tylko w niektórych czasownikach i to tylko w 3 os. l. poj. Ponieważ zaś ta ostatnia pod względem formy niczém nie różni się od takiéjże osoby w czasie przyszłym słów dokonanych, pociągnęła więc za sobą do pełnienia funkcyi aorystu i osobę drugą, oraz pierwszą, a nadto liczbę mnogą. Wyrażenia więc: zawołam, zawołasz, zawoła i t. d. w opowiadaniach o przeszłości są aorystem co do znaczenia, a „zawoła“ i t. d. prócz tego i co do zewnętrznéj postaci. Że zaś formy te nie różnią się od form teraźniejszości (za-woła, s-kończy), stąd złudzenie, jakoby one były cz. teraźniejszym od słów dokonanych.

Uwagami o nim dał p. S. dowód zbytniego uganiania się za puryfikacyą języka, wskutek czego sam staje się nowatorem. Tego samego dowodzą i następujące uwagi.

Znaczenie wyrazu szykować radby autor ograniczyć do pojęcia szeregować, rozumiejąc tu przedewszystkiém ustawianie według pewnych prawideł, bo chociaż mówi, że szykować oznacza

i porządkować, to jednak, wytykając błędne sposoby użycia czasownika szykować, nie robi z tego znaczenia użytku. A szkoda, bo chociaż „nie można jednego przedmiotu ustawiać w szeregi“, to jednak można go doprowadzać do porządku. Wyrażenie: nauczyciel każe uczniowi szykować (t. j. odszukać, wyjąć) książkę lub pióro—ma za sobą ogólne użycie, datujące się co najmniéj od XVI-go wieku. Linde bowiem objaśnia nasz czasownik przez wyrazy przyrządzić, przygotować, nastrajać, powołując się między innemi na Stryjkowskiego, który mówi: „Mistrz Liflandzki, szykując na arcybiskupa przyczyny, złożył sejm w zamku swoim.“ Podobném znaczeniem tego wyrazu dadzą się usprawiedliwić i wyrażenia: krawiec szykuje ci palto, szklanka herbaty jest dla ciebie naszykowana. Linde objaśnia również nasz czasownik przez wyrażenia: zbiérać się do czego (Do niesłychanych kunsztów się szykuje), a tym sposobem nie ma powodu występować przeciw wyrażeniu szykuje się na bal. Nie można przecież widziéć w wyrazach tylko ich pierwotne znaczenie, zapominając o późniejszych, przenośnych. Wszak i wyraz porządek zawierał w sobie pierwotnie (kiedy np. obowiązek znaczyło obwiązanie) pojęcie rzędu, nikt jednak dziś nie zakwestyonuje wyrażenia: krawiec wykończył robotę porządnie, albo nawet przyrządzić herbatę. To téż nawet wyraz przyszykować, jak i przyrządzić, jest tu wyrazem bez zarzutu. Wyrażenie nałazić kogo również nie podoba się autorowi, dlatego, że czasownik łazić jest nijakim, nie może się więc używać z przyp. 4. Tak, ale słowo nałazić jest czynném, powstałém z nijakiego przez dodanie przyimka, tak, jak np. od jechać, spać mamy czasowniki czynne przejechać (kogo), przespać (noc). Natomiast wyrażenie: nałazić (nachodzić) do kogo, które proponuje p. S., walczyłoby przeciw wymaganiom składni.

Nie uznaje autor widocznie powagi powszechnego użycia, bo mówi, że mimo wadliwości czasowników znosić się, znieść się, znane są one w powszechném użyciu. Wyrazy te, jak sam twierdzi, znane były już i w XVI w., ale... znowu w zmysłowém znaczeniu łączyć się, zléwać się. A czy łączyć się duchem, t. j. komunikować się nie można? (por. wyraz stosunek, pochodzący od stosować = zestawiać, łączyć). Linde objaśnia nasz wyraz właśnie przez naradzać się, radzić się kogo, porozumiewać się z kim. Forma zauważyć byłaby rzeczywiście błędną, gdybyśmy nie mieli czasownika uważyć, ten jednak ostatni używany był w naszym języku np. w XVI w. w Quinc. Orzechowskiego (107, gdzie czytamy: Niech nam niczego nie dostanie ku téj tak uważonéj

i uczonéj rozmowie; a w *Volum. leg.*, 3, 67: Podajemy pod uważenie wszystkich). Dodanie przyimka *za* w niczém tu nie wykracza przeciw duchowi języka polskiego, nie ma więc żadnego powodu do unikania zakwestyonowanego wyrazu. Zauważyć nie w znaczeniu dostrzedz, ale zrobić uwagę jest rzeczywiście niewłaściwym nowotworem. Gdybyśmy chcieli wyrażenie zdzielić kijem zastąpić przez ściągnąć kijem, to właśnie dalibyśmy dowód, że obstajemy za nowotworami ulicznymi. Autor, proponując podobną zamianę, nie zwrócił uwagi na pierwotne znaczenie wyrazu ściągnąć. Dalsze znaczenie tego wyrazu (ściągnąć nienawiść, podejrzenie) również nie nadaje się do odmalowania operacyi z kijem, p. S. więc chce tu nadużyć jego znaczenia, idąc chyba za przykładem tych, co mówią zmiatać zam. uciekać i t. p. A stałoby się to kosztem usunięcia z języka wyrazu, trafiającego w rdzeń téj rzeczy, którą oznacza. Oddawna bowiem istniał w naszym języku czasownik zdziałać = pokonać, pognębić, wycieńczyć, wysilić, pobić. W „Śnie Niewieścim" Bielskiego czytamy: Te rozkoszne ludzie łacno zdziałać wszędzie, — u Stryjkowskiego zaś (O niewoli turec.): Turków dwieście tysięcy na placu zostało, Bajazet się téż sam otruł, szczęście go zdziałało. Słowo zdzielić i przymiotnik dzielny są wspólnego pochodzenia z tym czasownikiem z tą różnicą, że zdziałać, jak widzimy, znaczyłoby raczéj skutki uderzenia, ciosu, dzisiejsze zaś zdzielić—samo wymierzenie razu (por. dotknął go cios). Wyraz kwandrans przedstawia niewłaściwą asymilacyą pierwszéj sylaby z drugą, ambonować zaś powstało pod wpływem analogii do częściéj spotykanego w mowie wyrazu ambona (por. arkuszerka zam. akuszerka od arkusz). Dlaczego autor z błędnych wyrażeń paru, paroma wnosi, że chybaby trzeba przypuścić dla ich objaśnienia istnienie przymiotnika pary, para, pare—niepodobna zrozumiéć. Ponieważ para znaczy dwa, widocznie więc dla rzeczownika tego zapożyczono tu końcówek z liczby podwójnéj. Objaśniając pisownię wyrazu nurzyć, sięga autor po pokrewne wyrazy do obcych języków i przytacza: sanskr. nara, greckiego Nereusza z Nereidami, nasz Nur i Narew, niem. *nass*=wilgotny; czy to jednak przekona niespecyalistów, do których autor stosuje swoje uwagi? Czy nie właściwiéj było powołać się na wyrazy: nurek, nurt, ponury? Nadto, wyraz Narew i dawniejsza jego równoległa forma Narwa (por. konew i konwia) pochodzi od pierwiastku *rw* (rwać), od którego również pochodzi nazwa Drwęcy = Rwęca (por. d-rdzeń, d-rdza). Nie rzuca światła na pisownię wyrazu nużyć zestawienie go z wyrazami nuda

i nędza, gdyż jeżeli one są rzeczywiście sobie pokrewne, to wykazywałoby się z nich pokrewieństwo spółgłosek *ż* i *d*, *dz*, ale nie w polskim języku. Dlaczego pokrewieństwo z *ż* jest „właściwie pokrewieństwem z *dż*“—autor nas nie poucza. Wyrazy robić i czynić p. S. objaśnia w sposób nieokreślony, pozostawiający nas w wahaniu: „pierwsze oznacza jakieś zajęcie, pracę, robotę (3 synonimy, z których ostatni jest właśnie poszukiwaną niewiadomą!); — drugie po prostu pełnienie, wykonywanie jakiéjbądź czynności, jakiegobądź postępku.“ Jeżeli mowa tu „o jakiéjbądź czynności“, to mamy prawo przypisywać czasownikowi czynić i te czynności, jakie rozumiemy pod wyrazem robić, a w takim razie różnica między naszymi czasownikami nie została wskazaną. Czy nie krócéj i dosadniéj byłoby powiedziéć, że robić oznacza pracę fizyczną, któréj skutkiem będą wyroby (przedmioty zmysłowe—z wyjątkiem chyba robić żarty), i że czynić oznacza pracę, któréj skutki bywają moralne? Pracować oznacza oba te gatunki zajęcia. P. S. i tutaj rozumié wyraz tylko w pierwotném znaczeniu, utyskując, że dzisiaj czasownika robić używają tam, gdzie „żadnéj roboty nie było.“ A więc nie mogą chyba liczyć na jego pobłażanie wyrażenia: robić żarty, robić grymasy (właściwie robić odpowiednie miny) lub zapisane już u Lindego: robić fortunę. Z tém ostatniém przedstawia analogią dzisiejsze wyrażenie robić partyą, które się nie podoba autorowi. Za właściwe nowotwory uważam wyrażenia: robić straty—zaznaczone przez p. S. (gdyż nikt nie pracuje nad wyrabianiem swych strat), i robić kasę, robić tualetę (gdyż czynnością taką zajmują się stolarze).

W swojéj dążności do „oczyszczania“ języka autor tak daleko się posuwa, że jakkolwiek wyżéj przewidywał potrzebę użycia w pewnych razach czasownika robić, to jednak następnie radzi go unikać i używać w miejsce niego słowa czynić. Czy zawsze, czy tylko w pewnych razach?—nie dowiadujemy się. Nie każe zatém mówić: Co robisz? Patrz, co zrobiłeś! tylko: co czynisz? patrz, co uczyniłeś! Nie są to jednak wyrażenia identyczne: w pierwszych z nich mamy na myśli to zajęcie, na które w danéj chwili patrzymy; w drugich zaś, patrząc na robotę, myślimy o jéj doniosłych moralnych skutkach (co uczyniłeś, nieszczęśliwy!).

Nie zasługiwał na zaznaczenie błąd, polegający na przekręceniu wyrazu czci na cczi, gdyż takiego się nie spotyka, i autor musiał miéć do czynienia z omyłką drukarską, lub z jakiegoś *lapsus linguae* żyda. *Władysław Niedźwiedzki.*

NOWOŚCI NAUKOWE I LITERACKIE.

— *L. Szepielewicz.* Studya nad Dantem I. **Apokryficzna „Wizya ś. Pawła“.** Część I. (Charków, 1891, str. 130, po rusku).—Autor zajmujący się badaniem literatur średniowiecznych, znany i czytelnikom „Ateneum“ z paru rozpraw (r. 1887 i 1890) i recenzyi, daje w pracy powyżéj przywiedzionéj cząstkę wyników swych przygotowawczych poszukiwań, zmierzających ku wyjaśnieniu treści i formy „Boskiéj komedyi“. Zadawszy sobie pytanie, o ile oryginalną jest najogólniejsza forma pomysłu Dantego t. j. forma wizyi pozagrobowéj, starał się p. Sz. dojść do jego rozwiązania za pośrednictwem rozbioru wszystkich wizyi, które mogły być znane wielkiemu poecie i w mniejszym lub większym stopniu przezeń spożytkowane. Ponieważ sam Dante w II pieśni „Boskiéj komedyi“, wspomina Eneidę i Wizyą św. Pawła, i ponieważ stopień wpływu pierwszego utworu dostatecznie już został określony, przeto autor zajął się specyalnie drugim. Dotychczas nieznamy téj redakcyi „Wizyi“, jaką się mógł posługiwać Dante, a że nie wszystkie teksty jéj zostały opisane, należało się przedewszystkiém zająć zebraniem ich i ugrupowaniem, a jeżeli się da, odkryciem jakich odmianek, któreby dały możność wyrobienia sobie choć przybliżonego pojęcia o tekście, zużytkowanym przez Dantego. Podzieliwszy teksty „Wizyi“ na dwie grupy: zachodnią i wschodnią, p. Sz. w obecnéj rozprawie zajmuje się tylko tą drugą. We wstępie zastanawia się wogóle nad wyobrażeniami o życiu zagrobowem, o ile te wyraziły się w zabytkach literackich; przebiega szybko i trochę bezładnie to, co się w klasyczném znajduje piśmiennictwie, szczegółowiéj i systematycznie roztrząsa pomniki średniowieczne tego rodzaju, a więc legendę o ś. Karpie, o ś. Saturze, o ś. Krystynie, Dyalogi Grzegorza W., opowiadanie Grzegorza z Tours o ś. Salwiuszu; zwłaszcza zaś: „Podróż ś. Brandana“, „Wizyą Tundala“, „Czyściec ś. Patryka“ i „Wizyą Alberyka z Monte Cassino“. W końcu wykazuje, jak owe wizye były spożytkowane nietylko w celach dydaktycznych, ale także i satyrycznych. Po takim wstępie (str. 34) przechodzi dopiéro p. Sz. do rozbioru „Wizyi ś. Pawła“. Z krytycznéj analizy świadectw historycznych wynika, że prawdopodobnie najpierw powstało „Wzniesienie się (*Anabatikon*)“ ś. Pawła pośród gnostyków, i dopiéro potém „Wizya ś. Pawła“ wymierzona w części przeciwko odszczepieńcom. Pierwszy utwór całkowicie zaginął, drugi przechodząc zapewne przez ręce przerabiaczy, dostał się do naszych czasów w bardzo licznych odpisach. W téj formie, w jakiéj obecnie go posiadamy, nie może on być wcześniejszy nad wiek V-ty, a był wymierzony głównie przeciw nestoryanom i paulicyanom. Wśród odpisów wscho-

dniéj grupy rozróżnia autor trzy główne redakcye: grecką, słowiańską i syryjską. Czy zabytek powstał odrazu, czy téż stopniowo, niepodobna rozstrzygnąć stanowczo; autor przechyla się ku przyjęciu pierwszego przypuszczenia z tym atoli dodatkiem, że w formie obecnéj mógł on być czysto mechanicznym zlewkiem kilku oddzielnych opowiadań. Rozpatrzywszy drobiazgowo różnice pomiędzy trzema wzmiankowanemi redakcyami, p. Sz. dochodzi do przekonania, że każda z nich powstała całkiem niezależnie, że syryjska i słowiańska ułożone zostały według oryginałów bardzo do siebie podobnych, ale nie tychże samych. Od obszerniejszych uogólnień wstrzymuje się autor, ponieważ nie są mu znane w s z y s t k i e opracowania „Wizyi"; przypuszcza, że może się znaleść tekst, który pozwoli rozklasyfikować zadawalniająco istniejące odpisy, nakreślić genealogiczny związek redakcyi i podać znamienne właściwości archetypu. Prócz tego krytycznego rezultatu p. Sz. rozbierając niektóre epizody „Wizyi", wykazuje ich wpływ na twórczość ludową i na sztukę. Co do polskich tekstów, podaje tylko wiadomość zakomunikowaną sobie przez prof. Brücknera, że w bibliotece Krasińskich znajduje się początek kazania, osnutego na „Wizyi ś. Pawła"; być może jestto przekład homilii przypisywanéj Bedzie. W dodatkach pomieścił p. Sz. niedrukowany dotychczas tekst „Wizyi" w języku ruskim, oraz kilka odmianek kazania o téj wizyi w tymże języku. Praca p. Szepielewicza jest bardzo staranna i sumienna, ale zyskałaby na przejrzystości, gdyby lepiéj, systematyczniéj była ułożona.

— *Bernard Perez.* **Psychologia dziecka.** I. Trzy pierwsze lata życia dziecka. 1890. Przekład z 4-go wyd. franc. — *Dr. L. Wolberg* **Psychologia dziecka.** 1891. — Z dwu wymienionych dzieł, pierwsze jest oryginalne, drugie opracowane na podstawie Pereza, Preyera, Darwina i innych, nadewszystko zaś zarówno treść, jak i układ wzięte są z Pereza. Rzecz rozpoczyna się od pierwszych wrażeń dziecka. Czy płód odbiéra jakiekolwiek wrażenia w łonie matki, bodaj czy wiemy o tém cokolwiek. Doświadczenia Kussmaula (1859) są stare i dość surowe. Nadto Soltmann wywoływał ruchy mimiczne u dziecka nowonarodzonego bez wszelkich odczynników, co świadczy za ich odruchowém pochodzeniem. Po zmysłach następują instynkty i uczucia (u dr. W. prawie to samo, co „uczucia ogólne"), następnie wola. Ostatni rozdział jest bez porównania lepiéj opracowany u dr. W., a przyczynia się do tego psychofizyologiczne traktowanie rzeczy, zapożyczone u Preyera. Najwięcéj miejsca wobu dziełach zajmują czynności umysłowe dziecka; do ciekawszych należy rozdział o rozwoju mowy. Książka dr. W. jest przeróbką — z małemi zmianami w treści

i układzie — pierwszego tomu Pereza, do którego dodano jeszcze rozdział, traktujący o „własnościach psychologicznych w zastosowaniu do wychowania“, a będący uzupełnieniem rodziału VI dzieła Pereza („Dążności umysłowe“). Psychologią wychowawczą dr. W. nazywa praktycznem zastosowaniem psychologii ogólnéj, jéj cząstką; zachodzi między niemi stosunek taki sam, jak np. między botaniką a ogrodnictwem. Trudno z tém się zgodzić. Psychologia dziecka mogłaby istniéć jako przedmiot badań, niezależnie od celu praktycznego, przedewszystkiém jako nauka dostarczająca danych dla psychologii ogólnéj; za analogon ogrodnictwa uważałbym raczéj pedagogikę, która przecież z psychologią dziecka nie jest identyczną. Metoda, przez autorów używana, jest spostrzegawczo-doświadczalna, i bardzo słusznie; tylko, że ją stosują, mojém zdaniem jednostronnie i surowo. Gdy mi mówią o psychologii dziecka, oczekuję czegoś więcéj nad zwykłe fakty z życia dziecięcego, spodziewam się, iż przy pomocy spostrzeżeń zewnętrznych, wprowadzą mię do samego wnętrza tego ze wszech miar ciekawego świata, słowem, pragnąłbym poznać mechanizm, proces, nietylko jego rezultat, wyraz zewnętrzny. Byłoby to prawdziwa, naukowa psychologia. Autorowie omawianych dzieł biorą natomiast gotowe formy z psychologii ogólnéj i szukają ich w życiu psychicznem dziecka. Zarzut ten dotyczy szczególniéj Pereza, mógłbym go nawet wcale nie stosować do dr. W., ten bowiem wyraźnie stawia sobie cel praktyczny i z nim się liczy.

Do ujemnych stron książek zaliczyłbym niezwykłą obfitość przykładów, które, o ile czynią czytanie lekkiém, o tyle swoją jednostajnością nużą czytelnika. Z tego względu postawiłbym dzieło dra W. wyżéj od dzieła Pereza, ponieważ obok wspólnych zalet i wad, tę jeszcze posiada zaletę ważną, że jest krótsze. Za to dr. W. popełnia kilka błędów psychologicznych, bardzo rażących. Oto przykłady: „Wrażenia zewnętrzne oddziaływają na nerwy“ (str. 5) zamiast „bodźce“; co np. znaczy wyrażenie „wrażenie umysłowe“, lub takie zdanie: „to zaś (t. j. wrażenie), ograniczone co do czasu i przestrzeni, staje się wyobrażeniem (percepcyą); wreszcie, gdy przyczyna wyobrażenia ujawni się umysłowi naszemu, wtedy mamy pojęcie (ideę)“? Są to zdania dla czytelnika, przyzwyczajonego do terminologii psychologicznéj, wcale niezrozumiałe, dopieroż dla profana. Ale oto próbka jeszcze gorsza: „A zatém w działalności zmysłów istnieją cztery stacye: wrażenie, uczucie, wyobrażenie i pojęcie“. James Mill w sposób dosadny wykazał, iż „otrzymać wrażenie“, „uczuwać wrażenie“ i t. d. są to wszystko wyrażenia jednoznaczne, gdyż samo wrażenie jest czuciem; a już o wyobrażeniu i pojęciu jako stacyach działalności zmy-

słów, chyba nikt jeszcze nie słyszał. Są to wytwory czysto umysłowe, lubo mające swe źródło ostateczne w wrażeniu. Innych usterek wyliczać nie będę. Język jest wogóle poprawny, gdzieniegdzie tylko zdarzają się zwroty niepolskie („śledzić za“, zaimek „który“ w 2 przypadku na drugiém miejscu, i t. d.); w przekładzie Pereza błędów takich jest więcéj, np.: niepodobném jest nauce rozgatunkować“ (29); „któréj ono samo mogłoby się stać dla nich sprawcą“ (97); dziwoląg fizyologiczny „psychomoteur“ należało tłómaczyć przez „ruchowy“, co najzupełniéj wystarcza, gdyż przymiotnik „duchowo-ruchowy“ (30) nietylko w języku polskim jest bezsensowny; zdanie: „zrobiły mi silne wrażenie“ nie jest polskie.

— *Dr. Lubor Niederle.* **Příspěvky k Antropologii zemi Českých. I. Hroby s kostrami z konce doby praehistorické v Čechách.** Praga. 1891, 8-o, str 121.—Przedmiotem pracy są czeskie groby rzędowe ze szkieletami, zaliczane przez autora do czasów stosunkowo późnych, bo od wędrówki narodów do wprowadzenia chrześciaństwa w Czechach. W szczególności zaś chodzi autorowi o licznie w tym kraju napotykane groby z ubogiemi zabytkami, powszechnie uznawane za słowiańskie. Inne groby z bogatemi przedmiotami złotemi, srebrnemi, żelaznemi, szklanemi i emaliowanemi (groby epoki Merowingów) są w Czechach rzadkością i odpowiednia kultura nigdy nie była tam miejscową. Ubogie groby słowiańskie Czech są rzędami zgromadzone na cmentarzach. Głowa szkieletu zwykle jest zwrócona ku zachodowi, ale i pojedyńcze groby i całe cmentarze miewają odmienny kierunek. Grób jest poprostu wykopany w ziemi, albo też bywa wyłożony kamieniami, tworzącemi niekiedy sklepienie. Mogiły nad grobami bardzo są rzadkie. Szkielet leży na grzbiecie z rękami po bokach wyciągniętemi, niekiedy założonemi na piersiach. Używanie trumien jest wątpliwe, czasami jednak kładziono trupa na desce, niekiedy malowanéj. W rzeczonych grobach znajdują się znamionujące je przedmioty: metalowe kółka kabłączkowe (*esovite kroužky*) i naczynia gliniane bez uch, z wywiniętym brzegiem, toczone na kółku, ozdobione wkoło liniami falistemi; na dnie często znajduje się wyciśnięty znak. Kółka, najczęściéj bronzowe lub miedziane, rzadziéj cynowe, srebrne, mosiężne, albo złote, niekiedy złocone, srebrzone lub miedzią pokryte, znajdowano dotychczas tylko w tych krajach środkowéj i wschodniéj Europy, gdzie w początkach doby historycznéj mieszkali Słowianie i dla tego są one uważane za oznakę grobów słowiańskich. Kółka znajdowano także w grobach ciałopalnych, w popielnicach. Ze względu na sposób chowania umarłych, autor jest zdania,

że w Czechach tak grzebanie, jak palenie ciał istniały obok siebie od czasów najdawniejszych aż do wprowadzenia chrześciaństwa, tylko w pewnych epokach przeważało grzebanie, w innych palenie. Stąd groby ze szkieletami i z popielnicami mogą być współczesne. W grobach słowiańskich rzadko zdarza się broń. Zwykle spotykamy w nich małe, proste noże, dosyć często kamienne siekiery, niekiedy długie, proste miecze, wzięte od Rzymian. Oprócz kółek kabłączkowych, inne ozdoby złote, bronzowe, szklane, kamienne i żelazne rzadko się przytrafiają.

Kultura, objawiająca się w grobach czeskich okazuje ciągły rozwój aż do epoki wędrówek narodów; tylko przy przejściu z neolitu do epoki bronzowéj, oraz w epoce teńskiéj można wnioskować o wystąpieniu nowéj cywilizacyi i nowego ludu. Musimy jednak przyjąć dwie równolegle istniejące cywilizacye: ludu, który pozostawił groby ze szkieletami, i ludu, którego szczątki znajdują się w popielnicach. Po wędrówkach narodów pojawia się w Czechach kultura, łącząca znamiona dawniejszych cywilizacyi z właściwą sobie charakterystyką. W grobach dawniejszych występują czaszki bardziéj wydłużone, t. j. względnie węższe (długogłowi autochtonowie). W epoce teńskiéj czaszki są wprawdzie długie, ale stosunkowo znacznie szersze od poprzedzających, oraz staje się widocznym wpływ ludności krótkogłowéj. W dobie słowiańskiéj, o któréj grobach powyżéj była mowa, wzmaga się stosunek czaszek krótkich, które téż większą niż poprzednio okazują względną szerokość. Obecnie w Czechach jeszcze większy jest stosunek krótkich czaszek, jako téż większy jest wskaźnik ich szerokości. Krótkie czaszki są obecnie stałem znamieniem Słowian, wszakże w słowiańskich grobach z kółkami kabłączkowemi i charakterystycznemi naczyniami, czaszki męskie są po największéj części długie, a tém samém należy wnosić, że Słowianie byli pierwotnie długogłowi (Kollmann, Virchov). Krótkość czaszek u tych ludów powstała, według autora, skutkiem zmieszania się z ludem krótkogłowym, skupionym obecnie w krajach alpejskich i bałkańskich. Od tego samego ludu jasnowłosi Słowianie przejęli ciemną skórę, ciemne oczy i włosy. O tym przedhistorycznym ludzie krótkogłowym żadnych zresztą nie ma wiadomości.

Autor w następujący sposób streszcza swój pogląd na palaetnologię Czech.

„Sądzę, że pierwotną, długogłową ludność Europy, jaką nam wykazują wykopaliska dyluwialne, o któréj nie chcę rozstrzygać czy była tubylczą, lub przybyłą, zastąpiła inna ludność liczebnie silna niewielkiego wzrostu, skóry, oczu i włosów ciemnych, wyraźnie krót

kogłowa, która wkrótce rozpostarła się szerokim pasem od wschodu ku zachodowi Europy. W pewnym czasie, którego bliżéj oznaczyć nie można, do środkowéj, zachodniéj i północnéj Europy poczęły się wciskać od północo-wschodu nowe szczepy, wyróżniające się od tubylców cywilizacyą i budową ciała, a mianowicie wysokim wzrostem, oraz jasną barwą i długiemi czaszkami. Ten nowy lud, oznaczany rozmaitemi nazwami, odpowiednio do geograficznego rozmieszczenia i następstwa w wędrówkach, cisnął starszych mieszkańców, czy to gniotąc ich i ujarzmiając, czyli téż zapędzając do miejsc mniéj dostępnych głównie do wielkich pasm górskich środkowéj Europy i Bałkanu. Gallowie, Germanowie i Słowianie należeli do téj grupy ludu aryjskiego o jasnéj barwie i długich głowach. Wszyscy oni byli tego samego pochodzenia antropologicznego, a wkraczając do Europy środkowéj, byli pod względem antropologicznym tacy sami, albo przynajmniéj bardzo podobni. Tylko w ten sposób można wytłómaczyć świadectwa historyczne, w których jednakowo opisano Słowian, Germanów i Gallów. Wszędzie przedstawiają ich jako lud wielkiego wzrostu, jasnych oczu, białéj, różowéj skóry, włosów blond lub rudych. Gallowie byli mniéj więcéj pierwszymi, Słowianie ostatnimi w wędrówce, a za nimi poczęły wchodzić do Europy same tylko obce ludy uralo-ałtajskie, mongolskie i inne“.

August Wrześniowski.

= *F. Paulhan.* **Le nouveau mysticisme.** Paris. Alcan. 1891, p. 201. — W niewielkiém tém dziełku stara się autor oświetlić współczesną epokę przejściową myśli i zaznaczyć główne jéj prądy, a z zestawienia tych ostatnich przewidziéć cel, do którego zdążają, jakkolwiek cel ten t. j. najbliższa przyszłość, według oświadczenia samego autora, zaledwie w mglistych i niewyraźnych rysach się zaznacza. Prąd filozoficzny XVIII w., przewaga w nim racyonalizmu, zachwiały cały szereg dawniejszych wierzeń i przekonań. Reakcya filozoficzna i religijna na początku bieżącego stulecia nie mogła przywrócić wierzeniom tym dawnéj potęgi. Umysły, chwilowo ujęte pozorną przejrzystością, konsekwencyą i harmonią poglądu na świat naturalistyczny, wkrótce przekonywają się, że ten pogląd zadowolić ich nie może. Zdarta zasłona w świątyni Izydy odkrywa tylko wielką pustkę. Popęd ku tajemniczości szuka wyjścia i kieruje myśl ludzką ku spirytyzmowi, okultyzmowi i innym pokrewnym objawom, których cechą wspólną jest zabobon, odziany w szatę zwodniczo-naukową. Moralnym wynikiem tego stanu umysłowego (mowa tu naturalnie o inteligentnych warstwach społeczeństwa) jest popęd ku złemu (*l'amour*

du mal). Paulhan poświęca osobny rozdział analizie tego wyrafinowanego, a tak potwornego uczucia, które znalazło dość trafną charakterystykę w wyrazie d e k a d e n t y z m. Autor stara się wykryć pierwiastki nowego ducha (*esprit nouveau*) w literaturze i sztuce, filozofii i prawie, w ideałach społecznych lub ich braku, trafnie charakteryzując naszą epokę, jako anarchią intelektualną i moralną. Całe studyum jest zbyt pobieżne, aby mogło być wyczerpującém, zawiera jednak wiele sądów trafnych, pouczających zestawień i daje żywy obraz współczesnego życia duchowego warstw, stojących na wyżynach intelektualnych społeczności francuskiéj, a przez potężny zawsze wpływ Francyi w zakresie myśli znajdujący odbicie, przynajmniéj w głównych rysach — w całéj Europie. *W. K.*

— **Naturwissenschaft und bildende Kunst.** v. *Emil du Bois-Reymond*. Leipzig 1891, str. 73. — Autor téj broszury (która jest osobném wydaniem mowy, wypowiedzianéj na uroczystém zgromadzeniu, corocznie odbywającém się w akademii berlińskiéj dla uczczenia pamięci Leibnitza) należy do rzadkiego dziś typu uczonych-myślicieli, t. j. takich, którzy nie ograniczając się na szperaniu w jakimś ciasnym zakątku wiedzy, starają się nietylko całkowity obraz téj wiedzy objąć okiem duchowém, ale przeniknąć w głębszą jéj istotę, oznaczyć jéj stosunek do najrozmaitszych dziedzin ducha ludzkiego. Z ciekawością zajrzeliśmy więc w karty tego dziełka, zestawiającego dwie tak dalekie od siebie rzeczy jak sztukę plastyczną i wiedzę przyrodniczą, tak dalekie, że jak autor sam zaznacza, epoki rozwoju sztuki były te, gdy wiedza przyrodnicza najmniéj postępów czyniła, i odwrotnie. „W istocie, powiada autor, dwa kierunki (t. j. sztuki i wiedzy) są tak odmienne, że jak łatwo się przekonać, sztuka może tylko w sposób zewnętrzny dopomagać wiedzy, również jak wiedza sztuce“ (str. 8). Wobec tego oświadczenia nie można już się spodziéwać, ażeby autor mógł wykryć głębszy związek dziedzin, między któremi, jak powiada, związku takiego nie ma. Nic dziwnego więc, że cała broszura zajęta jest wprost mechaniczném wyliczeniem rozmaitych korzyści, jakie technika zewnętrzna sztuki osiąga z odkryć naukowych, a które zresztą okazują się bardzo nieznacznemi, lub jeśli mają większe znaczenie, najczęściéj były przez instynkt sztukmistrzów wprzód, aniżeli przez badanie umiejętne wykryte (np. prawa perspektywy; niektóre kształty architektury, łączące w najdoskonalszym stopniu lekkość z trwałością i t. d.). Jeszcze mniejsze jest odwrotne oddziaływanie sztuki na wiedzę. Zgadzając się najzupełniéj z poglądem autora, że nic nie ma wspólnego pomiędzy dziedziną ideału, a przyrodoznaw-

stwem,— powiedzielibyśmy nawet, że dwa odpowiadające tym dziedzinom kierunki duchowe są sobie wrogie, i że uprawa jednego z nich przytępia zmysł do drugiego,— moglibyśmy mu mieć tylko za złe, że obrał tak niewdzięczny temat, gdybyśmy nie widzieli pewnéj korzyści w tym ujemnym wyniku, jaki wypada z zestawienia nie dających się wcale zestawiać rzeczy, wobec spotykających się w literaturze sądów o dziełach sztuki „uwzględniających“ lub téż „nieuwzględniających najnowszych zdobyczy wiedzy“. Myślą tą, że przeczytanie rozprawy znakomitego profesora, zmusi niejednego, wygłaszającego podobne sądy, do zastanowienia się nad znaczeniem takowych, staraliśmy się pocieszyć z rozczarowania, jakie nam to czytanie sprawiło.

Wł. K.

= *Serge Tatistcheff*. **Aleksandre I-er et Napoléon, d'après leur corespondance inédite 1801—1812** (Paris, Librairie académique Didier, 1891, p. XIII i 640). Z wielkim naciskiem podnosi autor w przedmowie doniosłość własnéj książki, która „jest przedewszystkiem dziełem restytucyi, przywraca historyi posiadanie dokumentów, bez jakich obejśćby się nie mogła, i uzupełnia lukę, nie dozwalającą dotychczas wyrobić sobie dokładnego pojęcia o wielkim dramacie wszechświatowym pierwszych lat piętnastu b. w.“. Chodzi mianowicie o niespodziane „odkrycie“ przez autora, jak sam się wyraża, w archiwach ruskiego ministeryum spr. zagr. i wojny, listów oryginalnych Aleksandra I do Napoleona, które zabłąkały się tutaj po 1815 r. z archiwów rządowych paryskich. Obok tego, jak zapewnia p. T., uzupełnienia „czerpał ze źródeł wyłącznie rękopiśmiennych i po największéj części nieznanych“. Szumne te zapowiedzi w bardzo małéj części się sprawdzają. Gruba książka p. T., rozgłoszona szeroko po pismach francuskich i ruskich, jeśli zawiera niektóre szczegóły nieznane, w niczém nie modyfikuje ustalonych zarysów historyi przedkongresowéj bieżącego wieku. Co się tyczy samych listów Aleksandra I, są one znane nie od dzisiaj z rozmaitych wydawnictw ruskich; tak np. ostatnio, a na półtora roku przed p. Tat., rozpoczął prof. Traczewskij systematyczną ich edycyę w „Zbiorze pet. ces. tow. hist.“ (T. LXX, Pet. 1890), gdzie w pierwszym ogłoszonym tomie znajdujemy podane przez p. Tatiszczewa jako nowoodkryte listy NN. IV—VI i VIII—XIV (Traczewskij) str. 257, 298, 300, 369, 406, 444, 512, 531, 552). Podobnież listy N. 33 i nast. z r. 1808, dotyczące wojny szwedzkiéj i zajęcia Finlandyi, ogłoszone były 1889 r. przez p. Ordina w pracy o „Zdobyciu Finlandyi“. O tych i t. p. szczegółach nic nie wspomina p. Tatiszczew przed czytelnikiem euro-

pejskim, jak również przemilcza częsty, a na opak skierowany, użytek jaki czyni z „Pamiętników“ Adama Czartoryskiego (np. 82 i nast.), którego zresztą i tutaj, jak w niedawném osobném o nim „studyum“, obiéra sobie chętnie za podsądnego. Chodzi mianowicie o chwiejność stosunków francusko-ruskich w owym okresie, trzykrotnie przerywanych wojną, co p. Tatiszczew, chcący być przekonanym o naturalnych sympatyach wzajemnych i wspólności interesów, tłómaczy przeniewierstwem pojedyńczych obcych osobników. Cudaczność tezy pociąga wszakże za sobą sprzeczności ciągłe w dowodzeniu. Na str. 42 wykazuje p. T. niechęć cesarzowéj matki, całego dworu, samego wreszcie cesarza, pozostającego pod wpływem Laharpe'a, przeciw Bonapartemu i Francyi konsularnéj; na str. 193 i nast. opowiada o ciężkich przejściach Savary'ego, posła francuskiego, w Petersburgu 1807 r. (a więc już po Tylży i usunięciu ks. Adama), gdzie całe towarzystwo wyższe zajęło względem niego wrogą wprost pozycyę, zamykając przed nim swoje salony, nie rewizytując go nawet; opowiada daléj, jak w tym samym czasie poseł ruski w Paryżu, Tołstoj, wbrew własnym instrukcyom, usiłował przeciwdziałać zbliżeniu dwóch rządów. Tymczasem na str. 81 winę wypadków 1805 r. zwala na Czartoryskiego, a nawet ochłodzenie, powstałe niebawem po zjeździe w Tylży, które doprowadzić miało do wojny 1812 r., również przypisuje wpływowi „tajnego komitetu“ Czartoryskiego, Nowosilcowa, Koczubeja, jakkolwiek „komitet“ ów przestał był już na ten czas funkcyonować (202 i nast.). Uskarża się téż gorzko p. T., dymisyonowany dyplomata, na „wynarodowienie zupełne dyplomacyi ruskiéj, zaszłe pod kierunkiem Polaka Czartoryskiego, a które trwa o w Rosyi do dzisiejszych niemal czasów, przyczyniając się do wypaczenia antynarodowego polityki ruskiéj przez przeszło trzy ćwierci wieku“ (102 i nast.). Szczegółowo zatrzymuje się autor nad głośnym projektem „podziału świata“, t. j. właściwie Turcyi, przedłożonym Aleksandrowi I-mu, przez Napoleona w słynném piśmie z 2 lutego 1808 r.; opiéra się tu na ciekawym raporcie dyalogowanym Caulaincourt'a, datowanym z Petersburga z 1 marca t. r., a który p. Tatiszczew po raz pierwszy drukuje *in extenso*; lecz nie dowodzi autor przenikliwości, albo szczerości, gdy wypowiada pogląd, jakoby fantastyczna ta propozycya bardziéj na seryo była przyjmowaną, niż była przez Napoleona zrobioną. Drobny szczegół z wzmiankowanego raportu dobitnie świadczy, że było inaczéj: mianowicie zamiar wysłania z nadzwyczajném poselstwem do Paryża w sprawie tak niesłychanéj doniosłości— pana senatora Seweryna Potockiego! (322). Z innego w téj saméj materyi raportu Caulaincourt'a z 2 maja, o odbytéj z Rumiancowem konferencyi, uderza

zabawny szczegół, że kanclerz proponował posłowi francuskiemu przy projektowanym podziale powołać na tron do księstewek naddunajskich... ks. Koburskiego (333). Do spraw polskich, zaostrzających się od 1809 r., są niektóre wyjaśniające szczegóły na str. 494 i nast. i ciekawe pismo Aleksandra do Napoleona z końca stycznia 1810 r., dotyczące konwencyi z 4 stycznia t. r. o przyszłości Księstwa Warszawskiego (516). W podanym po raz pierwszy w całości raporcie gen. Bałaszowa, wysłanego 1812 r. do Napoleona do Wilna z ostatniém poselstwem od Aleksandra, znajdujemy słowa Napoleona, że miał w swéj armii w owéj chwili 80 tys. wojsk polskich, a zorganizuje jeszcze 200 tys. (598), cyfry bajeczne, w które wierzono naówczas.

S. Askenazy.

= *Karl Biederman.* **Fünfundzwanzig Jahre deutscher Geschichte 1815—1840. Vom Wiener Congress bis zum Thronwechsel in Preussen** (2 t. Wrocław, 1890). Książka niniejsza, jak przekonywają dołączone do niéj, sposobem niekoniecznie przyjętym w pracach naukowych, liczne wyciągi z celniejszych czasopism niemieckich, znalazła w różnych obozach politycznych zarówno przychylne przyjęcie. Stanowi ona niejako, razem z wydaném przez autora w roku zaprzeszłym „*Dreissig Jahre deutscher Geschichte* 1840—1870 (Tamże, 1889, 2 t.), liberalne i popularne *pendant* do najnowszych wielkich dzieł Treitschke'go i Sybla o tym samym przedmiocie. Autor, b. profesor uniwersytetu lipskiego, obywatel saski z urodzenia, w 1848 r. postępowiec gorący i poseł do parlamentu frankfurckiego, pogodził się z losem, zostawszy poddanym pruskim, milcząco zasiadał (1871—74) w sejmie niemieckim i reprezentuje ciekawy typ uczciwego, a zrezygnowanego w nowém otoczeniu, liberała niemieckiego dawnego autoramentu. Nowe jego dzieło, nie oparte wprawdzie na badaniach samodzielnych, jak praca Sybla, lecz pilnie zebrane z materyałów drukowanych, oraz najnowszych prac historycznych do téj epoki, urozmaicone téż często osobistemi wspomnieniami wiekowego autora, poleca się jasnym, prostym wykładem i tendencyą względnie umiarkowaną. W tym ostatnim względzie staje autor często i świadomie w sprzeczności z Treitschke'go „Historyą niemiecką w XIX w.", wychodzącą już nawet nie z pruskiego, a wyłącznie administracyjno-pruskiego stanowiska. Najsłabiéj wypadł u B. rozdział pierwszy o kongresie wiedeńskim, gdzie uskarżając się na krzywdy, wyrządzone Prusom przez „pozbawienie" ich Luxemburga (I, 39, 44), przez pominięcie w drugim pokoju paryskim zbawiennego projektu humboldtowskiego podziału Francyi (122 i nast.), wpada w ton handlarski, właściwy niektórym

historykom tego okresu. Natomiast zajmująco i szczegółowo opowiedziane są dzieje ruchu korporacyjnego śród młodzieży niemieckiej w drugim dziesiątku b. w.; uderza tu, między innemi ciekawy a mało znany szczegół, jako na sławnym obchodzie wartburskim 1817 r. pośród niecnych piśmideł reakcyjnych, spalonych publicznie na stosie przez młodzież akademicką i profesorów niemieckich, znajdował się też — Kodeks cywilny francuski, wraz ze znakomitym komentarzem Zachariae'go. *A. S.*

— **Katechizm Ledesmy w przekładzie wschodnio-litewskim** z wydania wileńskiego z r. 1605 wydał i gramatycznym wstępem i słownikiem opatrzył dr. *Jan Bystroń*, nauczyciel gimnazyalny w Stryju (Kraków, 1890, str. 131). — Autorem katechizmu, o którym tu mowa, był Hiszpan, Jakób Ledesma z zakonu jezuitów (ur. 1520 † 1575). Przekład litewski, a właściwie żmudzki jego utworu, dokonany przez kanonika Mikołaja Daukszę z oryginału polskiego, którego dotychczas nie odnaleziono, wydrukowany został w Wilnie r. 1595 (przedrukowany w 1886 w Petersburgu przez uczonego ruskiego E. Woltera). Ponieważ uskarżało się wielu Litwinów, iż nie rozumieli tego żmudzkiego tłómaczenia, jakiś bezimienny dokonał poprawek w narzeczu wschodnio-litewskiém i ogłosił ten przekład jako drugie wydanie tłómaczenia Daukszy, w r. 1605. W przedmowie tego nieznajomego znajduje się ustęp zagadkowy. „Aby ustały te mowy—powiada—iż nie mamy katechizmu litewskiego, nanowo przełożyłem ten Katechizm Ledesmy, który już przedtém był przełożony i nie wiem jak zginął“. Prof. Bystroń podawszy dokładne wiadomości o ortografii, fonologii i morfologii tego zabytku, przedrukował starannie wydanie z r. 1605, dołączywszy u spodu stronic ważniejsze odmianki z edycyi Daukszy, a w końcu wyczerpujący słownik litewsko-polski, gdzie jest przy każdym wyrazie znajdującym się w tym zabytku podana stronica i wiersz oryginalnego wydania, oraz przytoczony dłuższy, lub krótszy ustęp tekstu dla lepszego uwydatnienia znaczenia wyrazu.

— **Kilka słów o żargonie i teatrze żydowskim**, napisał *Ignacy Suesser* (Lwów, 1890, str. 20).—Autor wyznawszy, że do studyów nad literaturą żargonową żydowską pobudziły go prace Klemensa Junoszy i dra Manscha („*Der jüdisch-polnische Jargon*“), uważa gwarę tę za złe konieczne, a zarazem za środek oddziaływania na ciemne masy.

Skreśliwszy niezbyt miłe położenie aktorów żydowskich, podobne zresztą do tego, jakiém było dawniéj i aktorów chrześciańskich, odmalowawszy wrażenie, jakiego doznał podczas pierwszego widzianego przez siebie przedstawienia, charakteryzuje zwięźle, ale dobitnie trzy sztuki najpopupularniejszego dramaturga żydowskiego Goldfadena, zamieszkałego w Nowym Yorku, a mianowicie „Sulamitę“, „Bar-Kochbę“, oraz „Ahaswera i Esterę“, wymienia jego komedye i farsy, które mają przewyższać utwory“ majstrów francuskich i ich naśladowców“, wylicza w końcu cały szereg dramatycznych pisarzy i ich dzieł. Oto nazwiska przez p. Suessera podane: M. Horowic, Eppelberg, Lilienblum, Rabinowicz (pseudon. Salom Aleikum), Zamoszczyn, Szajkiewicz, Gruenberg, Jarochowski, Latajner, Schorr. Zachęca w końcu autor inteligencyę żydowską, ażeby starała się pokierować objawami życia, ujawniającemi się w gwarze, mówiąc: „Dopóki z książek i gazet, których czytelnictwo jest tak obfite i szerokie, jak może żadnego ludu, i ze sceny tak popularnéj u masy nie będzie do niéj przemawiał duch nowoczesny i tendencya uspołeczniająca: — o gruntownéj zmianie pojęć, dążeń i zwyczajów ludności żydowskiéj mówić niepodobna“. Cała ta rozprawka napisana jest żywo, energicznie, językiem gdzieniegdzie tylko niepoprawnym.

= **Kazania świętokrzyskie**. Zabytek języka polskiego z wieku XIV. Wydał i objaśnił A. Brückner (Odbitka z „Prac filologicznych“, Warsz. 1891, str. 44). — O tém wielce interesującém pod względem językowym odkryciu pisał w „Ateneum“ sam odkrywca: nie będę więc powtarzał szczegółów już znanych czytelnikom. Obecnie wydrukował tekst zabytku podwójnie: t. j. w pisowni o ile można zbliżonéj jaknajbardziéj do oryginału i — w dzisiejszéj; wykazał przytém bardzo szczegółowo właściwości ortograficzne, fonetyczne, morfologiczne i składniowe, uwydatniając te, które są całkowitą nowością w zakresie naszych wiadomości o staropolszczyźnie. Stwierdza on, że zarówno w pisowni, jak w języku kazania świętokrzyskie zostały spisane w trzeciéj ćwierci XIV w. pod wpływem czeszczyzny; nie uważa ich atoli za przekład; podaje wszakże domniemanie, że za wzór do ich ułożenia mogły służyć kazana biskupa praskiego Jana III († 1278), który słynął wymową zarówno w łacińskim jak i w czeskim języku. Porównywając kazania przez siebie odkryte z dwoma innemi zabytkami polszczyzny z w. XIV t. j. z Psałterzem floryańskim i kazaniami gnieźnieńskiemi, zaznacza ich pokrewieństwo z tym drugim tak pod względem pisowni jak i języka, nadmieniając, że kazania świętokrzy-

skie są o kilkanaście lub kilkadziesiąt lat starsze od gnieźnieńskich. Kilka osobliwości przedstawia ten zabytek ciekawych, a niekiedy jedynych jak dotychczas. W innych pomnikach językowych np. forma *sirce* bywa wyjątkową, tu — stałą; rzadkością niezwykłą są formy: trzynadzieście, zdręki (z ręki), lije (leje); rzadkością téż liczne aorysty i imperfekta; unikatami, nietylko w polskim, ale we wszystkich zachodnich językach słowiańskich są formy: chociał, miłosirdy, wrzemienny (chwilowy); wrzemię (czas, chwila) po raz pierwszy we właściwéj formie tu się przedstawiło (dawniéj znaliśmy z „Psałterza flor.“ mylną formę brzemię); unikatem polskim jest tu dzińsia (dzisia); form: togo, tomu; cztworodla, zwrotu moja mnie nie znali dotychczas nasi lingwiści w pomnikach polszczyzny. Pod względem tedy językowym bardzo to ważny zabytek; pod względem cywilizacyjnym ma znaczenie tylko pośrednie, uboczne: nie ma tu bowiem żadnych rysów malujących społeczeństwo, wśród którego powstał; z faktu tylko, że żadne piśmiennictwo europejskie od kazań się nie zaczęło; oraz z właściwości pisowni wnioskować należy, iż przed tym zabytkiem, który obecnie uważać musimy za najdawniejszy, istniéć musiały inne, bodaj tłómaczenia choćby najważniejszych jedynie wykładów katechetycznych. Przypuszczenie to, które dawniéj opierano tylko na analogiach z innemi piśmiennictwami, zyskuje teraz rozleglejszą podstawę i niemal za pewnik uchodzić może.

= **Memoryał J. N. Kamińskiego (1829),** wydał i wstępem opatrzył dr. *Bronisław Czarnik* (Lwów, 1890, str. 24). Jest to dokument ciekawy i ważny, na który autor powoływał się i z którego robił przytoczenia w artykule o Kamińskim, który drukowało „Ateneum“ w listopadowym zeszycie roku zeszłego. Memoryał ten, „napisany żywo i barwnie, z uczuciem człowieka, który wié, że od słów przezeń wypowiedzianych zależy jego ratunek“, jest niewątpliwie świadectwem nietylko „wielce pożytecznéj działalności niestrudzonego dyrektora, ale zarazem nader ruchliwego usposobienia i téj przedsiębiorczości, jaką musiał rozwinąć, usiłując przez tyle lat i wśród takich warunków utrzymać się na raz zajętéj placówce“ (str. 8). Do memoryału dołączył Kamiński projekt towarzystwa akcyjnego celem utrzymania sceny polskiéj we Lwowie. Projekt ten dołączył p. Czarnik (str. 20—24).

— **Corpus iuris Polonici medii aevi.** Program wydania zbioru ustaw polskich średniowiecznych oraz regesta tychże ustaw napisał *Oswald Balzer*. Lwów 1891, 8-vo, str. 87. — Ważną myśl poruszył w téj książce prof. Balzer. Znane dotąd zabytki starodawnych ustaw naszych rozrzucone są po kilkudziesięciu wydawnictwach, już to specyalnych, już nawet po czasopismach charakteru ogólnego, składających się niekiedy ze znacznéj liczby tomów. Oryentować się w takiéj masie zasobu historyczno-prawnego nie łatwo, skupienie więc wszystkich zabytków tego rodzaju w jednym zbiorze jest istotnie potrzebne. Nie dość na têm. Teksty ustaw, które już ogłoszono, bywają częstokroć zepsute, należy przeto rozebrać je krytycznie i wydać w brzmieniu poprawném. Wreszcie, nie wszystkie dochowane ustawy zostały wydrukowane, konieczna zatém przeszukać troskliwie archiwa i biblioteki publiczne i prywatne, celem wydobycia na jaw tych pomników prawnych, których dotąd oko badaczów nie dostrzegło. Prof. Balzer nie bez słuszności utrzymuje, że projektowany przez niego zbiór winien obejmować nietylko te ustawy, które dochowały się w całości w tekście pierwotnym, ale także i te, które znamy tylko w excerptach, fragmentach, lub chociażby w krótkiém streszczeniu. Do zbioru tego wcielić téż należy dawne przekłady ustaw na język polski. Co do układu materyału, autor uważa, że osobną część winny stanowić prawa, dotyczące całego państwa, a osobną obowiązujące w pewnych jego prowincyach, mianowicie téż mazowieckie i litewskie. Oddzielna nakoniec dałaby się złożyć grupa z uchwał wiecowych i zjazdów ziemskich. Pod względem chronologicznym, rok 1588 dla Litwy a rok 1578 dla Mazowsza byłyby datą końcową. Dr. Balzer zastanawia się daléj szczegółowo nad pytaniem: „co według pojęć średniowiecznych uważać należy za ustawę, jakie tedy zabytki mają wejść w skład rzeczonego zbioru“. Jest to najważniejsza część pracy i spodziéwać się można, że specyaliści pośpieszą głos co do niéj zabrać. Autor wyłącza traktaty międzynarodowe i wymienia te, które z dawniejszych zbiorów praw pominąćby należało. Na równi z niemi stawia téż umowy, zawierane przez książąt dzielnicowych; uznaje natomiast, że zabytki dotyczące stosunku Polski do cesarstwa niemieckiego i papiestwa, szczególniéj w czasach początkowych wcielić do zbioru należy. Toż samo stosuje się do aktów urządzających „stosunek Polski do państw lub prowincyi, które z nią pozostawały w trwałém połączeniu“. Roztrząsa daléj prof. Balzer kwestyę przywilejów, ustaw handlowych i górniczych, uchwał podatkowych, poręczeń królewskich, prawodawstwa kościelnego, dotyczącego miast, ludności żydowskiéj, ormiańskiéj; dodaćby można i tatarską. Uwagi w przed-

miocie uchwał konfederacyjnych, oraz laudów ziemskich, zamykają ten rozbiór, przeprowadzony z wielką znajomością rzeczy i rozwagą, które to przymioty w pracy dokonanéj przez prof. Balzera same się już przez się rozumieją. Jako robotę wstępną do wydania zamierzonego zbioru, autor wygotował szczegółowy spis zabytków, które według niego do zbioru wejść powinny, podzielony na cztery grupy: 1) ustawy polskie, 2) mazowieckie, 3) litewskie i 4) uchwały ziemskie. Zbioru zawierającego 407 pozycyi powtarzać tu, oczywiście, nie będziemy, poprzestając na kilku uwagach i uzupełnieniach. Przy zapisie Ody (N. 1) dodać można cytatę rozprawy Ant. Żukowskiego „Stosunki Bolesława Chrobrego ze stolicą apostolską (Krak. 1877, str. 57). Po N. 2 dodać kary na gwałcących przepisy kościelne (Thietmar VIII, 2, MPh. I, 311—312); po N. 3, określenie stosunku zależności Zbigniewa względem Krzywoustego (Gallus. II, 38); przed N. 11 przywiléj trzech książąt, który potwierdził papież. N. 14*a* obejmujący obedyencyę Leszka Białego dla stolicy apost. wydaje mi się nienależącym do zbioru ustaw, bo tego rodzaju akta każdy monarcha powtarzał. Po N. 16 czy nie możnaby dodać bulli papieskiéj z 12 maja 1227, która potwierdza nadanie Leszka dla biskupa krak. co do Niemców osiedlanych w kasztelaniach Tarżeckiéj i Kieleckiéj (Kad. katedr. krak. I, N. 17, str. 25; Gładyszewicz, 209). W kronice Hipacego (wyd. 1871, str. 505) mamy wzmiankę o umowie Polaków z Rusią 1228 r., aby w razie wojowania z sobą, nie uprawadzano czeladzi w niewolę. Ze względu na międzynarodowy charakter ugody, nie należałoby to do zbioru, ale ponieważ pomieniona kronika wspomina i znacznie późniéj, że w Polsce tak tę zasadę zachowywano (l. c. str. 582), wzmianka o niéj przed N. 19 byłaby może na miejscu. Natomiast statut Henryka Brodatego 1237 r. wydaje mi się pomysłem Długosza. Układ celny z krzyżakami 22 marca 1243 (Kod. Wielkop. N. 237 i Raczyński N. XX) lubo daje wiadomość o opłatach uiszczanych wewnątrz kraju, jako umowa międzypaństwowa, pewnie ulegnie wyłączeniu. Po N. 20 dałaby się pomieścić uchwała kruświcka: *quod cuilibet nobili sine militi liceat possessiones donare et legare* (Rzyszcz. II, 52). Po N. 21 jest miejsce dla wmianki, że Leszek ks. Sieradzki (1268—1276) zniósł *penam Tresene* (Rzyszcz. II, 91). Akt Leszka ks. Raciborskiego z 20 września 1319, który ogranicza dla miasta Raciborza opłatę za zwolnienie od przysięgi, znosi karę konfiskaty na zbiegów i określa części spadkowe żony i dzieci (Boehme, *Diplomatische Beyträge*, Berlin, 1770, I, 54—55), ulegnie zapewne wyłączeniu. Przy N. 38 można dołączyć wzmiankę, jaką o edykcie co do zbiegów podaje akt z 26 stycznia 1370 (Kod. Wielkop. N. 1627). Możeby dały się uwzględnić: *a*) nadanie arcypiskupowi gniezn. 16

czerwca 1343 przez Kazimierza W. prawa stawania w sądach przez prokuratorów (Wielkop. 1216) i oznaczenie dróg handlowych przez Kazimierza dla Toruńczyków 19 czerwca 1349 (K. Wielkop. 1289). Przywilej dla kościoła gniezn. z 1 marca 1357 r. obejmuje ważne rozporządzenia: 1) co do justycyaryuszów, 2) co do dziesięcin, 3) o główszczyźnie, 4) o wyklętych, 5) o procedurze granicznéj i 6) ponowienie wzmiankowanego już przepisu o prokuratorach (K. Wielkop. N. 1354); punkt 5, dotyczący tak zwanego „przypuszczenia na powództwo“, lubo w przywileju zbyty krótką wzmianką, miał doniosłe znaczenie praktyczne (Porówn. w akcie 1430 słowa: „*circa limitaciones bonorum*“, A. G. Z. IV, 143 i akt 1447 r. w Rzyszczew. II, 503). Przepisy zawarte w przywileju dla Kalisza z r. 1365 (K. Wielkop. N. 1549), ponieważ ich doniosłość sięgała po za mury tego miasta, możeby wziąć należało pod uwagę. Statut Jagiełły z r. 1416 o spadkach mieszczan poznańskich (Raczyń. *Cod. Dipl. Mai. Pol.* 148) do zbioru nie będzie należał. Na czele ustaw mazowieckich zaznaczyćby wypadało ślad dwóch jakoby artykułów statutowych, zawartych w aktach 4 czerwca 1350 i 11 czerwca 1350 (Kod. Wielkop. N. 1300 i 1301) w ustępach: 1) „*si aliqui militem ius militale*“ *etc.* i 2) „*si aliqua virgo vel mulier*“ *etc.* (l. c. str. 8 i 9). Nakoniec do ustaw mazowieckich należą „*Articuli de pace communi*“, zawierające 18 tytułów, a wydane przez ks. Annę 29 listopada 1511 r. Co do uchwały ziemi Sieradzkiéj, z 2 listopada 1399 r. nadmieniam, że tekst ogłoszony przez ś. p. R. Hubego wydaje mi się niedokładnie odczytanym. Miałem w ręku oryginał, i zamiast „*per quatuor panczNadzescze*“ (Sądy, ich praktyka, dodatki, str. 62 wiersz ostatni) ja czytam: „*pena que dicitur panczNadzescze*“; w ustępie zaś drugim (l. c. str. 63) zamiast „*dare percipiant*“ czytam „*dare precipiatur*“, zamiast „*exigerentur*“ widzę „*exigentur*“; przed wyrazami „*si quis nobilium*“ jest w oryginale kropka; zamiast „*si vero*“ stoi jeden wyraz „*alias*“, po którym dodałbym „*si*“; ostatnim wyrazem uchwały w oryginale jest nie „*tenetur*“ lecz „*debetur*“. Po N. 374 pomieścić należy uchwałę wiecową sieradzką z 17 lutego 1416 dotyczącą prowadzenia granic; uszkodzony jéj tekst został ogłoszony 1875 r. w broszurce „O prawie graniczném polskiém“, na str. 80.

Pobieżna niniejsza notatka nie wyczerpuje przedmiotu, ale pobudzi może bieglejszych znawców dawnego prawa do wypowiedzenia swoich na rzecz tę poglądów.

St. Ł.

Wydawcy: ***W. Spasowicz*** i ***A. Pawiński***.—Redaktor ***P. Chmielowski.***

OGŁOSZENIA.

= **„Echo muzyczne, teatralne i artystyczne“** od Nr. 392 (14)—402 (24) zawiera następujące artykuły:

Życiorysy z portr. Minnie Armstrong (Melba), Juliusz de Swert, St. Duniecki p. J. Kl., Fr. Hacklaender p. W. Stebelskiego, Phineas Barnum, Tad. Popiel p. J. Zdorę, Eug. Bertrand, Jan Tatarkiewicz p. Al. Rajchmana, Mich. Chapu, Fran. Eysmond p. W. Gersona, Jan Al. hr. Fredro, Alfred Jolly, Anna Judic, Adolf Sonenthal, Jan Verga, Piotr Loti, Andr. L. Antoine, Al. Moszkowski. *Poezye:* Noc haremowa z poematu: „Sobieski pod Wiedniem“ p. Deotymę. „Z życia poety“ p. A. Pileckiego. „Przy słońcu“ p. W. Gomulickiego. „Ostatnia walka“ p. Br. Grabowskiego; „Pieśń bez echa“ p. M. Konopnicką.—*Powieści i nowelle:* „Ćma“ p. M. Gawalewicza; „Brizeis“ p. Jul. Lemaitre; „Brat znakomitości“ p. Alf. Karra; „Tom i Bob“ p. L. Halévy; „Raut muzyczny“ p. Boret'a; „Wyprzedaż“ p. M. Faleńską; „Pochód historyczny“ p. Gyp'a; „Cień szczęścia“ p. G. Benique; „Zawód panny Róży“, „Rycerskość wieśniacza“ p. J. Verga.—*Dramaty i komedye:* „Wiosna w zimie“, kom. p. L. Fulda. — *Przegląd literacki:* „Notatki z literatur obcych“ p. Anat. Krzyżanowskiego; „Jezus Chrystus“ O. Didon'a; „Echa dziennikarskie“; „Realista włoski“ p. A. St.; „Pieniądz“ E. Zoli p. Wit. Janickiego; „Z dawnéj Warszawy“, I tom pism Kl. Junoszy, p. W. J., „Na straconym posterunku“, dramat Jeske-Choińskiego, p. Al. Rajchmana. — *Artykuły i rozprawy:* „Reforma fugi“ p. Z. Noskowskiego; „Sztuka i piękno“, szkic est. p. H. Struvego; „O harmonii“ Z. Noskowskiego; „Dawne szkoły muzyczne“ p. E. Nowakowskiego.—*Przegląd artystyczny:* „Listy z Paryża“ p. m. z.; „Biczownicy“, obraz K. Marra; „Nasi rysownicy“, IV. Nowatorzy (z portr.): J. Ejsmond, J. Pankiewicz, Wł. Podkowiński p. W. Gomulickiego; „Almea“, obraz N. Sichela (z rys.); „Cracoviana“ p. K.; „Leopoliana“ p. Aisa; „Pomniki artystów“ (z rys.); „Z wystawy berlińskiéj“ p. Kredkę; „Szkoła deklamacyi i dramaturgii“ p. Al. Rajchmana; „Salony paryskie“ p. J. J. L.; „Plafon teatru Wielkiego“; „Konkurs na pomnik dla Moniuszki“; „Fotografia w kolorach“; „Teatr w Trianon“ (z rys.). — *Teatr i muzyka:* „Ze scen duńskich“ p. L. K.; „Przegląd muz.“ p. J. Kleczyńskiego; „Przegląd dramat.“ p. Al. Rajchmana: „Honor“ Sudermana, „W niełasce“ Chęcińskiego, „Księżna Mortin“ Meilhaca, „Postscriptum“ Augier'a, „Marya Gauthier“—benefis Tatarkiewicza, „Je-

denaste przykazanie“ Szamberga, „Ojciec marnotrawny“ Dumasa (syna), „Dwanaście żon Jafeta.“ Notatki o muzyce japońskiéj: „Paziowie“, opera Dunieckiego, p. J. Kleczyńskiego; „Neron“, pantomina, z muzyką Ed. Salo, p. A. A. „Ze scen niemieckich“ p. d-ra G.; „Z teatru“ p. A. R.; „Helena Modrzejowska w Pradze Czeskiéj“ p. B. G.; „Fortepian elektryczny“ p. J. K.; „Sceny wiedeńskie“ p. S. G.; „Koncert Noskowskiego“ p. J. Kleczyńskiego, „Uroczystości w Bayreuth“, „O pobycie Henryka Walezyusza we Włoszech“, „Wakacye opery“, „Eliasz“ p. J. Kleczyńskiego, „Występy Anny Judic“, „Mesyasz muzyczny“, „O metodzie śpiewu“, „Scena wolna w Paryżu.“—*Feljeton:* „Odgłosy“ p. Carillon'a, „Ze świata tonów“, „Fraszki i satyry“, „Kronika“ (Teatr, muzyka, z piśmiennictwa, kuryerek malarski, nekrologia, repertuary), Adresy artystów i pedagogów i t. p.

= **Zeszyt V i VI „Ekonomisty Polskiego“** zawiera: 1) „Statystyka parcelacyi w Austryi“ przez d-ra Wł. Czerkawskiego; 2) „Sprawozdanie inspektorów przemysłowych z czynności r. 1890-go“, według źródeł urzędowych, przez d-ra M.; 3) „Memoryał wydziału krajowego o kolejach lokalnych“ przez d-ra Ciesielskiego; 4) „Kasy oszczędności w Galicyi z końcem r. 1889-go“, studyum ekonomiczno-finansowe przez d-ra Ant. Molickiego; 5) „O kopalniach soli potasowych w Kałuszu i Stassfurcie“ przez Leona Syroczyńskiego; 6) „Kilka słów o większéj własności ziemskiéj na Wołyniu“ przez A. Misiągiewicza; 7) 1572—1795, „Rządy sejmikowe w epoce królów elekcyjnych.“ Adolf Pawiński, Warszawa, 1888, ocena przez d-ra Zygmunta Lisiewicza; 8) Bibliografia; 9) Dodatek: „Mowa posła Szczepanowskiego, wypowiedziana w Izbie deputowanych austryackiéj rady państwa, w ciągu debaty budżetowéj dnia 18 czerwca 1891 r.“ (tłómaczenie według stenogramu).

KRAJ.

„Kraj“ wychodzić będzie w Petersburgu w drugiém półroczu r. b. na dotychczasowych warunkach, pod redakcyą *Erazma Piltza* przy współudziale *Włodzimierza Spasowicza.*

„Kraj“ wychodzi co tydzień w objętości od 32 do 40 str. i zawiera: *Artykuły wstępne; Artykuły bieżące* treści społecznéj, politycznéj,

ekonomicznéj, naukowéj i literackiéj; *Sprawozdania* naukowe i literackie; *Korespondencye* z głównych ognisk Europy zachodniéj; Listy specyalnych i przygodnych *korespondentów* z główniejszych miast i okolic *Królestwa* i *Cesarstwa;* Przegląd *polityki zagranicznéj;* Ziemie *słowiańskie* (listy i wiadomości); Rubryka *„Z tygodnia“*, w któréj redakcya omawia ważniejsze sprawy bieżące; *Wiadomości ogólne* (informacye o nowych rozporządzeniach rządowych, zmianach osobistych i t. d.); Wiadomości *petersburskie;* Kronika *warszawska;* Listy z *prowincyi;* Kronika *zagraniczna; Rozmaitości; „Prawo i sądy“* (sprawozdania sądowe; Wiadomości prawne; Informacye z senatu i z sądów; Odpowiedzi na zapytania w kwestyach prawnych); *Kuryer kościelny* (Rozporządzenia rządowe, Echa Watykańskie, Wiadomości o zmianach osobistych w duchowieństwie wszystkich dyecezyi i t. d.); *Kuryer szkolny* (Rozporządzenia w wydziale szkolnym; Wiadomości o wyższych, średnich i niższych zakładach naukowych; Sprawozdania z działalności towarzystw akademickich); *„Ekonomista“* (Artykuły i wiadomości ekonomiczne, Kronika handlowa i t. d.); *Powieści*, *nowele*, *szkice literackie*, *poezye* i t. d.'

PRENUMERATA „Kraju“ z przesyłką pocztową wynosi: rocznie rs. 12, półrocznie rs. 6, kwartalnie rs. 3. Prenumeratę można składać w *Petersburgu:* w księgarni Br. Rymowicz (Kazańska, 26), przy któréj znajduje się główna administracya „Kraju“ i w *Warszawie:* w Warszawskim kantorze „Kraju“, ul. Czysta, nr. 2. Oprócz tego pośredniczą w przyjmowaniu prenumeraty wszystkie znaczniejsze księgarnie krajowe i zagraniczne.

OGŁOSZENIA w „Kraju“, jako w jedném z najbardziéj rozpowszechnionych i najdaléj rozchodzących się pism polskich, przynoszą niewątpliwą korzyść interesom rolnictwa, przemysłu i handlu. Cena ogłoszeń w „Kraju“ wynosi na 1-éj stronie okładki 20 kop., na innych 15 kop. od wiersza. Przy wielokrotnych ogłoszeniach odstępuje się odpowiedni rabat. Ogłoszenia do „Kraju“ przyjmują wyłącznie w *Petersburgu:* Administracya „Kraju“ (Kazańska, 26), w *Warszawie:* Warszawski kantor „Kraju“ (ul. Czysta, nr. 2).

Cena pojedyńczego numeru „Kraju“ kop. 15. Sprzedaż pojedyńcza odbywa się w Petersburgu: w Księgarni Br. Rymowicz w Warszawie: Warszawski kantor „Kraju“ (ul. Czysta, nr. 2).



Дозволено Цензурою. Варшава. 25 Іюля 1891 г. — Druk Jana Cotty.